No to wojna?
– rząd Tuska atakuje prezydenta Nawrockiego

TYGODNIK LISICKIEGO

DO RZECZY

NR 33/642 11–17 SIERPNIA 2025
CENA 13,90 ZŁ (W TYM 8% VAT)

Europosłowie badają łamanie prawa przez polityków rządzących Polską

ŻONA W STANIE NIEWAŻKOŚCI – JAK ALEKSANDRA UZNAŃSKA-WIŚNIEWSKA ODLECIAŁA W KOSMOS

Trump – znajdzie sposób na Putina czy nie znajdzie?

KRÓL BLISKIEGO WSCHODU?

Mimo oskarżeń o ludobójstwo Beniamin Netanjahu buduje Wielki Izrael

WSTRZĄSAJĄCY FOTOREPORTAŻ Z GAZY STR. 18–21

ISSN 2299-8500 Nr indeksu 288 829
9 772299 850000 33 >

eprasa.pl d112db2

Uwaga: nowe ceny na rok 2025

TYGODNIK LISICKIEGO DO RZECZY

PÓŁROCZNA PRENUMERATA

TYGODNIKA „DO RZECZY" I MIESIĘCZNIKA „HISTORIA DO RZECZY"

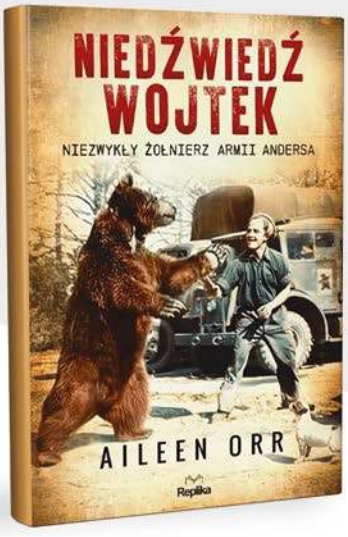

+

W PREZENCIE
KSIĄŻKA
AILEEN ORR:
„NIEDŹWIEDŹ WOJTEK"
ORAZ DOSTĘP DO E-WYDANIA

761 ZŁ

292,00 ZŁ
OSZCZĘDNOŚĆ 469 ZŁ

CO ZYSKUJESZ W PRENUMERACIE?

Niższą cenę od ceny w kiosku (nawet o 40%) | Nie przegapisz żadnego wydania
| Atrakcyjne oferty z dodatkowymi produktami | Każde wydanie trafi do Ciebie pocztą bez dodatkowych opłat
| W cenie dostęp do e-wydania, dzięki temu możesz czytać tygodnik już w niedzielę

JAK ZAMAWIAĆ PRENUMERATĘ:
WEJDŹ NA SUBSKRYPCJA.DORZECZY.PL, WYBIERZ I ZAMÓW W WYBRANEJ OFERCIE
WPŁATA NA KONTO: **UWAGA NOWY NUMER: 33 1600 1462 1816 5874 1000 0006**
W tytule przelewu prosimy o podanie danych adresowych oraz adresu e-mail
Do Rzeczy S.A., Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa

JEŻELI MASZ JUŻ PRENUMERATĘ:
Skorzystaj także z tej oferty, przedłużymy Ci obecnie trwającą prenumeratę, a prezent wyślemy kurierem.

ZOBACZ NASZE OFERTY: SUBSKRYPCJA.DORZECZY.PL

WIĘCEJ INFORMACJI E-MAIL: **prenumerata@pmpg.pl** TELEFON: **508 040 664, 539 953 631 (pon-pt od 10:00 do 16:00)** INTERNET: **subskrypcja.dorzeczy.pl**

eprasa.pl d112db2444

PAWEŁ LISICKI

W RZECZY SAMEJ

Wszystkie pola wojny

Stało się. Mimo obaw, całkiem zresztą naturalnych i uzasadnionych, biorąc pod uwagę zachowanie ekipy Donalda Tuska od 1 czerwca, Karol Nawrocki został zaprzysiężony na kolejnego prezydenta Polski. Jego pierwsze wystąpienie w nowej roli pokazało, że rządząca ekipa słusznie się go obawiała. Nic dziwnego, że niektórym puściły nerwy, jak choćby rzecznikowi rządu Adamowi Szłapce, który tuż przed uroczystościami zaczął wygrażać ustępującemu prezydentowi, Andrzejowi Dudzie, i przywoływać do porządku nowego.

Prezydent Nawrocki ze swadą i energią nie tylko przedstawił coś, co można by nazwać szkicem programu swojej prezydentury, lecz także od razu wyraźnie wskazał na kilka najważniejszych pól sporu z rządem. Muszę przyznać, że to najlepsze przemówienie samego Karola Nawrockiego od początku walki o prezydenturę, a także w ogóle jedno z lepszych wystąpień polskich polityków w ostatnich latach.

Po pierwsze, Nawrocki chce być, i mówił o tym wyraźnie, rzecznikiem tych wszystkich, którzy uważają, że Polska dojrzała do budowy i przeprowadzenia wielkich, nowoczesnych projektów, w tym przypadku przede wszystkim CPK. To ukłon w stronę ponadpartyjnego sojuszu ludzi, którzy marzą o Polsce potężnej i nowoczesnej.

Po drugie, nowy prezydent bardzo mocno podkreślał, że chociaż Polska jest częścią Unii Europejskiej, to nie może się zgodzić na kolejne uszczuplanie kompetencji. Nie zgodzę się na to – mówił prezydent Nawrocki – żeby Unia Europejska poszerzała swoją władzę, wykraczając poza ustalenia traktatowe. To bardzo ważna deklaracja i mam nadzieję, że Karol Nawrocki będzie się jej trzymał. Trudno nie zauważyć, że to podczas ośmioletnich rządów PiS Bruksela konsekwentnie, działając na zasadzie prawa kaduka, rozszerzała swoją władzę i poza ustalenia traktatowe wykraczała. Niestety, działo się to przy bierności poprzednika obecnego już prezydenta i wsparciu poprzedniego gabinetu. Trzeba mieć nadzieję, że prezydent Nawrocki nigdy nie zgodziłby się na regułę „pieniądze za praworządność" oraz na przyjmowanie ustaleń Zielonego Ładu.

Po trzecie, Karol Nawrocki jasno powiedział, że będzie walczył z nielegalną imigracją, a także wystąpi w obronie polskiej złotówki i nie dopuści do wprowadzenia w Polsce euro. Trudno się nie cieszyć. W ten sposób często powtarzane przez niego słowo klucz – a mianowicie „suwerenność" – nabrało wewnętrznej treści.

Nie da się nie zauważyć, że właśnie polityka wobec Unii i rozumienie miejsca Polski w Unii staną się, sądzę, pierwszym i ważnym polem walki z rządem Donalda Tuska. Koncepcji wtopienia się w Unię nowy prezydent przeciwstawił ideę polskiej suwerenności. I to nie tylko w sprawach gospodarczych czy politycznych. Dlatego wspomniał o potrzebie polskiej szkoły, polskich lektur i polskiego wychowania. To jest dokładnie odwrotność tego, co polskim uczniom usiłuje zaaplikować obecne Ministerstwo Edukacji na czele z minister Barbarą Nowacką. Szkoła ma wychowywać Polaków, zdawał się mówić prezydent, a nie pozbawionych tożsamości narodowej Europejczyków.

Drugim, najważniejszym zapewne punktem sporu będzie kwestia tzw. praworządności. Karol Nawrocki powiedział: „Polska musi wrócić na drogę praworządności. Dzisiaj Polska nie jest na drodze praworządności. Bo ciężko nazwać praworządnym państwo, w którym nie działa i nie funkcjonuje legalnie wybrany prokurator krajowy, w którym art. 7 konstytucji, mówiący o tym, że organy władzy państwowej muszą działać na podstawie i w granicach prawa, jest niestety regularnie łamany. Dlatego stoję tu, aby zaapelować do całej klasy politycznej, ale także, aby przekazać polskim sędziom i ministrowi sprawiedliwości, że sędziowie są od tego, aby wydawać wyroki w imieniu RP, a władza sądownicza jest jedną z trzech władz w polskim systemie demokratycznym". Słusznie. I dalej: „Nie będę awansował ani nominował tych sędziów, którzy godzą w porządek konstytucyjno-prawny RP. Będę promował, awansował i nominował tych sędziów, który porządek konstytucyjno-prawny RP, zgodnie z konstytucją i ustawami przyjętymi przez polski parlament i podpisanymi przez prezydenta, respektują". Te słowa, jeśli prezydent będzie się ich trzymał, zwiastują wojnę.

Inaczej niż jego poprzednik, Karol Nawrocki ma na szczęście dość animuszu i wiary w siebie, żeby stawić czoło coraz bardziej radykalnemu ministrowi sprawiedliwości. Minister Waldemar Żurek może się srożyć i grozić, lecz w starciu z prezydentem Nawrockim ma słabe karty. Wygląda na to, że coraz bardziej absurdalne pomysły – np. żeby nakładać na tzw. neosędziów kary finansowe – szybko doprowadzą do frontalnego starcia, które ekipa Tuska musi przegrać.

Co ciekawe i co odróżnia to orędzie od wielu wystąpień Andrzeja Dudy, Karol Nawrocki ani słowem nie wspomniał o Ukrainie. I bardzo dobrze. Trzeba mieć nadzieję, że naprawdę wziął sobie do serca słowa Romana Dmowskiego, które zacytował na sam koniec wystąpienia: „Jestem Polakiem – więc mam obowiązki polskie". ©℗

eprasa.pl d112db2444

TEMAT TYGODNIA

14 WITOLD REPETOWICZ
BIBI – KRÓL BLISKIEGO WSCHODU?
Netanjahu w oblężonej twierdzy

18
FOTOREPORTAŻ: IZRAELSKIE ZBRODNIE NA PALESTYŃCZYKACH W STREFIE GAZY

22 PAWEŁ LISICKI
NIE OSZCZĘDZAJ ŻADNEJ DUSZY

KRAJ

26 ŁUKASZ WARZECHA
PIERWSZA RUNDA NAWROCKIEGO
No to wojna? – rząd Tuska atakuje nowego prezydenta

29 PIOTR SEMKA
POLSKA EPOKA KAROLIŃSKA

32 RAFAŁ A. ZIEMKIEWICZ
„GRUPA TRZYMAJĄCA PRAWO" W PUŁAPCE ABSURDU

34 ROZMOWA Z PROF. ZDZISŁAWEM KRASNODĘBSKIM
KRACH TOTALNEGO LIBERALIZMU

37 ZUZANNA DĄBROWSKA-PIECZYŃSKA
ŻONA W STANIE NIEWAŻKOŚCI

40 RADOSŁAW WOJTAS
Z PAŃSTWEM TWARZĄ W TWARZ

KULTURA

42 PIOTR GOCIEK
LEPIEJ JUŻ BYŁO
Czy polityka zniszczyła kino Machulskiego?

45 KRZYSZTOF MASŁOŃ
BOHATEROWIE KSIĄG ZBÓJECKICH: JAGNA NA GNOJU

46 MONIKA MAŁKOWSKA
JEST U NAS TRYBUNA W WARSZAWIE

NIE PRZEGAP

48 NASZ PRZEWODNIK
FILMY, KSIĄŻKI, WYSTAWA, GRA

OPINIE

52 ROZMOWA Z HERMANNEM TERTSCHEM
W POLSCE TUSKA POD AUSPICJAMI BRUKSELI NISZCZONA JEST DEMOKRACJA
Europosłowie badają łamanie prawa przez polityków rządzących Polską

55 JAN FIEDORCZUK
WARZECHA, CZYLI MIŁO NIE BĘDZIE

56 WOJCIECH GOLONKA
TRUMP – ZNAJDZIE SPOSÓB NA PUTINA CZY NIE ZNAJDZIE?

58 KRYSTIAN KRATIUK
POLSKA DLA POLAKÓW I...?

60 PAWEŁ CHMIELEWSKI
KIEDY SOBÓR WATYKAŃSKI III?

HISTORIA

62 PIOTR WŁOCZYK
ZBRODNIARZE Z JEDNOSTKI 731
Japońscy odpowiednicy doktora Mengele

ŚWIAT

66 MACIEJ PIECZYŃSKI
PRZYZWYCZAJENI DO WOJNY
Jak działają alarmy bombowe na Ukrainie

EKONOMIA

70 JACEK PRZYBYLSKI
FIRMY CENNIEJSZE NIŻ PAŃSTWA
Amerykańskie korporacje rosną w siłę

WAKACJE

74 CEZARY GMYZ
WIELKA HISTORIA MAŁEGO MIASTECZKA
Tratwą po Wiśle

FELIETONY:

SEMKA (6), ZIEMKIEWICZ, JUREK (8), KOWALCZUK (9), GMYZ, GOCIEK (12), ŻEBROWSKI, KOPER (64), PRZYBYLSKI (69), GABRYEL, WARZECHA (73), KOMUDA (76), POSPIESZALSKI, KARWELIS (79), JASTRZĘBOWSKI, WIEROMIEJCZYK (80), ROSZKOWSKI (81), CEJROWSKI (82)

eprasa.pl d112db2444

TYGODNIK LISICKIEGO
DO RZECZY

ADRES: Tygodnik DO RZECZY
Batory Office Building II
Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa
tel.: +48 22 529 12 00
e-mail: listy@dorzeczy.pl, www.DORZECZY.PL

REDAKCJA: Redaktor naczelny: **Paweł Lisicki**
Zastępca redaktora naczelnego: **Piotr Gabryel**

SEKRETARIAT REDAKCJI: **Jacek Przybylski** (I sekretarz redakcji), **Radosław Wojtas** (II sekretarz redakcji), **Filip Memches**

KOLEGIUM KOMENTATORÓW:
Cezary Gmyz, Piotr Gociek, Krzysztof Masłoń, Piotr Semka, Łukasz Warzecha, Rafał A. Ziemkiewicz

STALI WSPÓŁPRACOWNICY I FELIETONIŚCI:
Olivier Bault, Joanna Bojańczyk, Grzegorz Brzozowicz, Wojciech Cejrowski, Wiesław Chełminiak, Dominika Ćosić *(Bruksela)*, **Tomasz Cukiernik, Łukasz Czarnecki, Wojciech Golonka, Ryszard Gromadzki, Marek Jurek, Jerzy Karwelis, Jacek Komuda, Sławomir Koper, Piotr Kowalczuk** *(Rzym)*, **Grzegorz Kucharczyk, Andrzej Krzystyniak, Piotr Litka, Łukasz Majchrzyk, Monika Małkowska, Andrzej Nowak, Jacek Pałkiewicz, Maciej Pieczyński, Jan Pospieszalski, Witold Repetowicz, Wojciech Roszkowski, Joanna Siedlecka, Teresa Stylińska, Artur Szeremeta, Błażej Torański, Piotr Włoczyk, Dariusz Wieromiejczyk, Jakub Wozinski, Tomasz Zbigniew Zapert, Łukasz Zboralski**

PORTAL DORZECZY.PL redaguje **Karol Gac** z zespołem: **Zuzanna Dąbrowska-Pieczyńska, Lidia Lemaniak, Alina Piekarz, Małgorzata Puzyr, Anna Skalska, Anna Szczepańska, Marcin Bugaj, Damian Cygan, Jan Fiedorczuk, Grzegorz Grzymowicz, Aleksander Majewski, Dawid Sieńkowski**

STUDIO GRAFICZNE: **Wojciech Niedzielko** (kierownik studia), **Marta Michałowska, Jakub Tański** (skład), **Jacek Nadratowski** (obróbka zdjęć)
Fotoedycja: **Edyta Bortnowska, Przemysław Traczyk**
Korekta: **Anna Zalewska, Agnieszka Szpak, Agata Błaszczyk-Stefaniak**

RYSOWNICY: **Andrzej Krauze, Cezary Krysztopa**
Okładka: **Graeme Sloan/Bloomberg/Getty Images, A. Burakowski/EN**

WYDAWCA: **Do Rzeczy SA**
Batory Office Building II, Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa
tel.: +48 22 347 50 00, *fax:* +48 22 347 50 01

Wydawca tytułu, Orle Pióro SA, wchodzi w skład Grupy Kapitałowej PMPG Polskie Media SA, notowanej na GPW.

Zarząd PMPG Polskie Media SA:
Katarzyna Gintrowska, Jolanta Kloc
Zarząd Spółki Do Rzeczy SA
Katarzyna Gintrowska, Paweł Lisicki

MARKETING: **Piotr Pech** tel. +48 500 112 377, marketing@dorzeczy.pl
BIURO REKLAMY: reklama@dorzeczy.pl;
tel.: +48 508 040 684, +48 888 727 213
PUBLIC RELATIONS: (PR manager), pr@pmpg.pl

DYSTRYBUCJA I PRODUKCJA:
Adam Borzęcki, a.borzecki@pmpg.pl, +48 500 112 424

DRUK: **Walstead Starachowice**

PRENUMERATA WYDAWNICZA:
Joanna Gosek, Joanna Nowakowska
+48 508 040 664, +48 539 953 631, Od pn.-pt. w godz. 10:00-16:00
e-mail: prenumerata@pmpg.pl, https://subskrypcja.dorzeczy.pl/

PRENUMERATA KOLPORTERSKA:
Kolporter sp. z o.o. (instytucjonalna), tel.: +48 (41) 367 88 88
e-mail: prenumerata.warszawa@kolporter.com.pl, www.kolporter.com.pl
Garmond tel.: +48 (12) 422 14 85, e-mail: prenumerataprasy@poczyta.pl, www.poczyta.pl/prenumerata#prasa
GLM sp. z o.o. tel.: +48 (22) 649 41 61, www.glm.pl
Poczta Polska https://prenumerata.poczta-polska.pl/

ISSN nakładu podstawowego 2299-8500
Nr indeksu 288 829

Sprzedaż egzemplarzy aktualnych i archiwalnych po cenie innej niż cena detaliczna ustalona przez wydawcę jest zabroniona.

Redakcja nie odpowiada za treść ogłoszeń ani nie zwraca materiałów niezamówionych. Zastrzegamy sobie prawo do skracania i adiustacji tekstów oraz zmiany ich tytułów. Na podstawie art. 25 ust. 1 pkt 1b prawa autorskiego wydawca wyraźnie zastrzega, iż dalsze rozpowszechnianie materiałów opublikowanych w tygodniku „Do Rzeczy" jest zabronione. © ℗ Wszystkie materiały w tygodniku chronione są prawem autorskim. Wszelkie prawa zastrzeżone. Dalsze rozpowszechnianie artykułu tylko za zgodą wydawcy. Regulamin i warunki licencjonowania materiałów prasowych na www.dorzeczy.pl/regulamin

Drodzy Czytelnicy!

Dziękujemy za wszystkie Państwa listy i e-maile. Przypominamy, by korespondencję elektroniczną kierować na adres: listy@dorzeczy.pl.

Warszawiacy śpiewają (nie)zakazane piosenki

Zgodnie z kilkunastoletnią tradycją 1 sierpnia wieczorem, w 81. rocznicę wybuchu Powstania Warszawskiego, miało miejsce spotkanie wszystkich pokoleń warszawiaków i przybyłych z całego kraju polskich patriotów. Przez dwie godziny na placu Józefa Piłsudskiego rozbrzmiewały piosenki, przypominając walkę naszych ojców i dziadów o wolną Ojczyznę. O tym, jaka

była atmosfera, pisać nie będę; ten, kto nie mógł uczestniczyć w tym niezwykłym wydarzeniu osobiście, miał możliwość obejrzenia go w telewizji i razem z tysiącami rozśpiewanych rodaków „zanurzyć się" w klimacie powstańczej stolicy. Niestety, co stwierdzam z wielką przykrością, na tak ważnej dla każdego Polaka uroczystości – przypominającej, że Powstanie Warszawskie i losy jego żołnierzy są symbolem polskiego ducha wolności – zabrakło dwóch osób: p. Rafała Trzaskowskiego, prezydenta m.st. Warszawy, i p. Ewy Malinowskiej-Grupińskiej, przewodniczącej Rady Warszawy. Oceniać ich absencji nie będę. Myślę, że dokonają tego sami warszawiacy, ale pewną refleksją chciałbym się podzielić.

Przez wiele lat powstańcy warszawscy nie mogli, tak jak kiedyś marzyli, „iść Alejami z paradą".

Zmienił to w roku 2004 ówczesny prezydent Warszawy prof. Lech Kaczyński. Cieszymy się, że dziś bohaterowie tamtych wydarzeń „Alejami z paradą" idą (czasem jadą na inwalidzkich wózkach), spełniając marzenia, o których śpiewali w powstańczej piosence: „Alejami z paradą / Będziem szli defiladą". Szkoda, że w tym marszu nie towarzyszy im dwoje najważniejszych urzędników naszego miasta. Ale to już „kwestia smaku".

Chwała bohaterom!
Wojciech Starzyński

Skutki ateizacji

Szanowni Państwo,
co najmniej od rewolucji francuskiej każde odejście od kanonów chrześcijaństwa skutkowało zbrodniami przeciwko ludzkości. Odrzucenie uniwersalistycznej koncepcji człowieka i zastąpienie jej pseudoreligiami typu Karty praw człowieka, komunistyczną walką klas czy nazistowską teorią ras kosztowały życie milionów ludzi. Wierzący ciemniak, wróg klasowy czy rasowy przestawał być człowiekiem, więc można było go bezkarnie zlikwidować.

Statystyki pokazują, że także obecnie tzw. świat chrześcijański gwałtownie się ateizuje. W związku z tym automatycznie pojawiają się nowe religie, jak klimatyzm czy prawa człowieka, a wraz z nimi hedonistyczne prawo do aborcji i eutanazji.

Wszystko wskazuje na to, że skutkiem ateizacji może być również spokój, z jakim „nasz" świat przygląda się ludobójstwu w Strefie Gazy, utrzymywaniu stosunków dyplomatycznych ze zbrodniarzem, premierem Izraela, niewiarygodnym propozycjom prezydenta Trumpa, by – po eliminacji rdzennych mieszkańców Palestyny – stworzyć tam riwierę. Warto pamiętać, że odbywa się to przy akompaniamencie rytualnych okrzyków „Nigdy więcej Auschwitz", powoływaniu się na wartości europejskie oraz przy braku jednoznacznego potępienia zbrodni przez papieża Leona XIV.

Z poważaniem
Ewa Kowynia

eprasa.pl d112db2444

PIOTR SEMKA

NA PIERWSZY OGIEŃ

TSUE nie próżnuje

W Polsce kolejne wyroki TSUE przestały być już obiektem specjalnego zainteresowania. Prawa strona przyjęła do wiadomości, że ze strony Trybunału w Luksemburgu trudno się spodziewać czegokolwiek dobrego. O ile jednak dotąd werdykty TSUE bywały bardzo brutalne wobec Polski, o tyle ostatni wzbudził irytację nawet w tak, zdawałoby się, prounijnych państwach jak Niemcy i Włochy.

Werdykt z końca lipca to efekt pozwu dwóch uchodźców z Bangladeszu, którzy przedostali się do Włoch, ale władze włoskie uznały, że ich kraj rodzinny to państwo bezpieczne, i trudno uznawać ich za uchodźców uciekających przed konfliktem zbrojnym. Włoski rząd zamierzał ich wysłać do obozów przejściowych w Albanii. Adwokaci imigrantów zaskarżyli tę decyzję do włoskiego sądu. A sędziowie uznali, że nie są pewni, czy lista bezpiecznych krajów sporządzona przez włoski rząd jest zgodna z prawem unijnym. I zwrócili się do TSUE.

Trybunał ustanowił nowe, ścisłe wytyczne w tej sprawie. Po pierwsze, każdy rząd w UE musi trzymać się zasady: kraj można uznać za bezpieczny, jedynie gdy „cała ludność danego kraju jest bezpieczna". Jest to idealna furtka dla wszystkich adwokatów. Po drugie, Trybunał już w ubiegłym roku w innej sprawie orzekł, że „państwo może być uznane za bezpieczne tylko wtedy, gdy sytuacja bezpieczeństwa dotyczy całego jego terytorium".

Adwokaci dwóch przybyszy z Bangladeszu triumfują, gdyż mogą twierdzić, że kraj pochodzenia klientów został przez Włochy niesłusznie uznany za bezpieczny. Giorgia Meloni wynegocjowała obozy przejściowe z rządem w Tiranie. Werdykt TSUE to gwóźdź do trumny tego projektu prawicowej premier, który i tak był już blokowany przez kolejne werdykty włoskich sędziów.

Meloni skrytykowała werdykt: „Wymiar sprawiedliwości – tym razem europejski – rości sobie kompetencje, które nie należą do niego, podczas gdy odpowiedzialność winna spoczywać na politykach". Tyle że jej krytyka niewiele daje. Media wspierające rząd Meloni wskazują, że wyrok jeszcze bardziej zawęża i tak już bardzo ograniczoną swobodę działania prawicowej koalicji. Co ciekawe, werdykt TSUE kwaśno skomentowany został też w RFN. Dziennik „Die Welt", który wspiera próby ograniczenia niekontrolowanego napływu migrantów, pisze: „Rządy europejskie po tym wyroku w razie sprzeciwu adwokatów imigranta przeznaczonego do deportacji są teraz sparaliżowane. Nie są w stanie udowodnić, że WSZYSCY obywatele kraju, który uznano za bezpieczny kraj trzeci – korzystają z pełnego bezpieczeństwa". Jak wskazuje na to niemiecki dziennik, jest to praktycznie, lecz także przede wszystkim prawnie niemożliwe. A zapewnienie 100 proc. bezpieczeństwa dla uciążliwych gości oznacza spadek bezpieczeństwa kraju gospodarzy.

Werdykty TSUE, gdy paraliżowały rządy PiS, niespecjalnie przeszkadzały niemieckim dziennikom opiniotwórczym. Teraz gdy elity RFN dojrzały już do tamowania imigracji, nagle niemieccy publicyści zaczynają dostrzegać, że TSUE żyje w świecie utopii. Lepiej późno niż wcale. ©℗

FOT. MARCIN ROLA/FACEBOOK

ZBEZCZESZCZONO POMNIK OFIAR RZEZI WOŁYŃSKIEJ

Odsłonięty w roku 2024 w Domostawie w województwie podkarpackim pomnik Rzeź Wołyńska autorstwa Andrzeja Pityńskiego został zdewastowany. Na cokole pomnika namalowano farbą banderowską flagę. Sprawcy umieścili również napis: „Chwała UPA" w języku ukraińskim. Policja szuka sprawców. Eksperci sądzą, że chociaż mogli to zrobić Ukraińcy, to równie dobrze, może to być rosyjska prowokacja. ***(jap)*** ©℗

eprasa.pl d112db2444

KSIĘGARNIA DO RZECZY

ZAPRASZAMY DO KSIĘGARNI DO RZECZY

KSIEGARNIADORZECZY.PL

eprasa.pl d112db2444

RAFAŁ A. ZIEMKIEWICZ

PŁYWANIE W KISIELU

Takich trzech

Osoba publiczna musi uważać, co mówi, bo kiedyś jej własne słowa mogą ją dopaść. Leszek Miller zasłynął kiedyś bon motem, że prawdziwego mężczyznę poznaje się nie po tym, jak zaczyna, a po tym, jak kończy. A dziś możemy zobaczyć, jak kończy polityczną karierę on sam. Mówiąc najuprzejmiej: jako oszołom.

Wpis Millera na portalu X po zaprzysiężeniu Karola Nawrockiego: „Na zaprzysiężeniu Nawrockiego nie było żadnego byłego premiera z SLD i szeroko rozumianej lewicy. W tym gronie nie ma patałachów i kunktatorów. Są za to ludzie, dla których uczciwość wyborów jest najważniejszym kryterium ich legitymizacji. Nie przyszli, bo nie chcieli firmować swoją obecnością znamion demokratycznej fikcji". Tym samym Miller znalazł sposób, by dołączyć do Giertycha, który z zaprzysiężenia demonstracyjnie wyszedł, oraz Wałęsy, który na nie demonstracyjnie nie przyszedł – czego bezpośrednio naśladować nie mógł, bo nie został zaproszony, podobnie jak inni żyjący jeszcze lewicowi byli premierzy, Włodzimierz Cimoszewicz i Marek Belka. Nie ma bowiem żadnego protokołu, który by ich zaproszenie, jeśli o to nie poproszą, nakazywał.

Zaproszony natomiast został, jako były prezydent, Aleksander Kwaśniewski. I to jego, jak rozumiem, chciał Miller upokorzyć, nazywając „patałachem i kunktatorem". Może była to celowa zniewaga, mająca swe korzenie jeszcze w sławnej „szorstkiej przyjaźni" obu towarzyszy, a może Miller aż tak zapędził się w negowanie wyniku wyborów, że obecności w loży Kwaśniewskiego nie zauważył? Zajadłość, z jaką podchwycił absurdalną przecież narrację Kontka i Giertycha o opanowaniu kilkunastu tysięcy komisji wyborczych przez spisek, nosi cechy zupełnie irracjonalnego, starczego zacietrzewienia. „Cóż, paraliż postępowy najzacniejsze trafia głowy" – pisał Boy, a głowa byłego sekretarza KC PZPR za najzacniejszą nie uchodzi. Ale tak czy owak, z zapowiadanych masowych protestów wobec wyniku wyborów pozostała ciekawa trójka: konfident „Bolek", komunista i „faszysta", który poszedł na służbę tych, którzy go tak nazywali. Takich dwóch jak tych trzech to nie powinno być ani jednego. ©℗

MAREK JUREK

PROTOKÓŁ ROZBIEŻNOŚCI

Czas suwerenności

Mowę inauguracyjną prezydenta „Gazeta Wyborcza" (piórem Romana Imielskiego) uznała za nacjonalistyczną, populistyczną – i konfrontacyjną. Elementy tej „konfrontacji" to dla „Wyborczej" szybkie zwołanie Rady Gabinetowej i spodziewane częste inicjatywy ustawodawcze prezydenta. Krótko mówiąc – wykonywanie jego konstytucyjnych uprawnień.

Sam premier Tusk prezydencką ocenę stanu praworządności w Polsce uznał za „szyderstwa pana Nawrockiego", a już sporo wcześniej, na konferencji prezentującej rekonstrukcję rządu, zachowywał się tak, jakby – niczym przed referendum 2023 r. – „unieważniał" głosy milionów Polaków, którzy Karola Nawrockiego wybrali. To jest sytuacja, którą prezydent Nawrocki zastaje.

Jeśli jego rola konstytucyjna i mandat polityczny będą kwestionowane, to będzie tym samym musiał o wypełnianie swojej misji walczyć. To będzie jego obowiązek, wynikający z niezbywalnej odpowiedzialności, która na jego urzędzie spoczywa. I nie chodzi tu o żadną konfrontację polityczną, ale o podstawowe narodowe wybory, od których – bez popadnięcia w relatywizm – nie można się uchylać.

W kluczowych kwestiach konstytucyjnych – takich jak prawo do życia (potwierdzone w orzeczeniach Trybunału Konstytucyjnego z lat 1997, 2015 i 2020) czy suwerenna nadrzędność Konstytucji RP nad regulacjami unijnymi (potwierdzona w orzeczeniach TK z lat 2006 i 2022) – nie można być „za, a nawet przeciw". Owszem, można i trzeba dyskutować o sposobie realizacji dobra wspólnego, na tym właśnie polega polityka; ale nie można dobra wspólnego i jego prawnych gwarancji wziąć w nawias.

Aby przywrócić Rzeczypospolitej pokój społeczny – trzeba najpierw zagwarantować jej suwerenną władzę. Problem jedynie w tym, żeby ten cel wypełnić poprzez zbudowanie stabilnego, szanowanego, mającego szeroką podstawę społeczną ładu. ©℗

eprasa.pl d112db2444

RYSUJE CEZARY KRYSZTOPA

PIOTR KOWALCZUK
Z RZYMU

PIECZEŃ RZYMSKA

Opowieść wigilijna

Trochę nie w czas wybieram się z tą opowieścią, ale budujące historie docierają do nas coraz rzadziej, więc sądzę, że kiedy się wydarzą, trzeba je opowiadać natychmiast. Przeczytajcie więc współczesny moralitet o ludzkiej solidarności w obliczu tępej, nieludzkiej bezduszności urzędasów.

Fabio Orlando ma 48 lat i bardzo trudne życie. Jego żona ciężko się rozchorowała i cztery lata temu uznana została za inwalidkę. Na Fabia, oprócz pracy na utrzymanie rodziny, spadły obowiązki opieki nad żoną i dwojgiem dzieci oraz prowadzenie domu.

Dzięki Bogu prawo w takich przypadkach przychodzi z pomocą. Zapewnia opiekunom nieco dodatkowego, płatnego wolnego. Żeby je dostać, należy regularnie wypełniać formularze i pisać podania do pracodawcy. Fabio, wysoko wykwalifikowany robotnik, pracuje w Fizzonasco pod Mediolanem w metalurgicznej firmie Deloro Microfusione.

Niestety, nie sprostał wszystkim wymogom biurokracji. Jednak gdy spostrzegł swój błąd, natychmiast przepraszając, poinformował o tym pracodawcę i włoski ZUS. Słowem, dokonał samooskarżenia i poprosił o polubowne załatwienie sprawy, zobowiązując się do pokrycia ewentualnych finansowych kosztów swego błędu. Ale gdy pojawił się w pracy, czekało już na niego zwolnienie ze skutkiem natychmiastowym z powodu, jak napisano, „pogwałcenia wymogów staranności i lojalności wobec pracodawcy", który bezpowrotnie stracił do niego zaufanie. Fabio po przeczytaniu pisma zemdlał. Utrata pracy byłaby dla niego i jego rodziny życiową katastrofą.

Na to dictum 160 ze 193 kolegów Fabia podjęło strajk. Produkcja stanęła. Protestowali przez cztery dni. Co ważne, jako że był to strajk „dziki", wiedzieli, że stracą nieprzepracowane dniówki, w tym przypadku niemal 20 proc. miesięcznych poborów. Mimo to poświęcili te pieniądze, aby pomóc koledze. I wygrali. Fabio został z powrotem przyjęty do pracy.

Włosi jakoś sobie dali radę z faszyzmem, komunizm wyrzucili do lamusa, ale nadal walczą z koszmarną biurokracją, ponosząc ciężkie straty. ©℗

Autor jest korespondentem Polskiego Radia.

eprasa.pl d112db2444

ZUZANNA DĄBROWSKA-PIECZYŃSKA

GWIAZDOBZDUR

TAKIE SAME, CZYLI PIĘKNE

Grube tysiące zainwestowane w to, aby wyglądać tak samo? Dziennikarka Karolina Korwin Piotrowska zwróciła uwagę na ciekawe zjawisko. Udostępniła w sieci post podpisany hasłem: „Gwiezdne wojny. Atak klonów". Na zdjęciu widać polskie celebrytki podczas koncertu Jennifer Lopez. W centrum Małgorzata Rozenek-Majdan, a obok niej m.in. znana makijażystka gwiazd Magdalena Pieczonka. Uśmiechnięte, wystrojone panie pozują do obiektywu, wyglądając, trzeba to przyznać, spektakularnie. Problem w tym, że właściwie – poza niewielkimi detalami – identycznie. Ktoś powie – moda. Jednak według dziennikarki problem

FOT. PIOTR KAMIONKA/REPORTER

sięga dużo głębiej. „Nie udawajmy, że nie ma problemu. Jest. Celebrytka będąca dziełem skalpela, hektolitrów kwasów i botoksu, sprzedaje kobietom uprząż na twarz na noc, żeby mieć taką linię żuchwy, którą ona ma po dziesiątkach operacji i tonie wstrzykniętego kwasu, czaicie? Ona WIE, że spora część kobiet ma już takie siano w mózgu, że w to uwierzy i to kupi. Ona wie, że ma armię klonów, które albo są bezmyślne, bezkrytyczne, albo tak sprano im mózgi. Dlaczego chcemy być identyczni? Tacy jak inni? A nie tacy, jak my sami?" – napisała z oburzeniem Karolina Korwin Piotrowska. Doczekała się szybkiej odpowiedzi od Rozenek-Majdan. Gonia zarzuca Korwin Piotrowskiej, że doszukuje się problemu tam, gdzie go nie ma. „To zdjęcie przedstawia mnie i moje cztery koleżanki. A mimo to ktoś postanowił nas wrzucić do jednego worka i wystawić na publiczną ocenę, jako »klony«, »produkty skalpela«, »symptomy problemu cywilizacyjnego«. Tymczasem ja nie mam problemu z odróżnianiem ludzi. Może to nie my wyglądamy tak samo, tylko wy patrzycie na nas stereotypowo? I to jest prawdziwy problem – nie twarze kobiet, tylko sposób, w jaki świat je ocenia" – zauważa „perfekcyjna".

DRAMA GONI DRAMĘ

Rozenek, pozostając w nastroju „dramowym", zagaiła na Instagramie kolejny temat. Stwierdziła, że najlepszą metodą obrony jest atak, a więc rozpoczęła aferę, zanim zrobili to internauci. Poszło o psa. „Od rana jest drama, więc czemu nie zacząć drugiej? Poznajcie Madlenkę – długo wyczekiwaną i bardzo kochaną jamniczkę, która właśnie dołączyła do naszej rodziny. Madlenka jest słodka, radosna i daje mnóstwo szczęścia. Ma jednak jedną poważną »wadę«. Nie została uratowana z interwencji, nie ma traumatycznej historii, nie była porzucona. Pochodzi z jednej z najlepszych, sprawdzonych hodowli w Polsce" – poinformowała celebrytka. „I wiem, że za chwilę rozpocznie się burza. Mimo że tylko w zeszłym roku: przekazałam ponad 200 tys. zł na działania prozwierzęce, aktywnie wspierałam walkę z bezdomnością zwierząt poprzez finansowanie kastracji, angażowałam się w działania legislacyjne, by poprawić systemową ochronę zwierząt, to zapewne i tak zostanę uznana za »zły przykład«, bo... kupiłam psa" – pisze. „Ale wiecie co? Nie żałuję ani przez chwilę. Bo wiem, że każda odpowiedzialna decyzja – czy o adopcji, czy o zakupie z dobrej hodowli – może być właściwa, jeśli stoi za nią miłość, wiedza i troska o dobro zwierzęcia. Więc oto jest, nasza Madlenka. Nasze małe szczęście" – podsumowała Małgorzata. Jak widać, lata w show-biznesie nie idą na marne!

PROBLEMY GWIAZDY

Młodsze koleżanki Goni po fachu uczą się szybko i wiedzą, że musi się dziać. A więc dzieje się u Marianny Schreiber. Marysi zaczyna doskwierać już popularność, bo gdy mieszka się w bloku, trudno o anonimowość – szczególnie gdy jest się tak rozpoznawalną. Na Insta Stories Schreiber opowiedziała fanom, z czym się zmaga w ostatnim czasie. – Popularność ma swoją cenę, czasami trzeba srogo za nią zapłacić, ale nie sądziłam, że aż tak [...]. Mieszkałam w jednym i drugim miejscu i znowu jest to samo. Ludzie mnie śledzą, obserwują, wypisują w Internecie, co ja robię w domu [...]. Czuję się jak więzień we własnym domu – rozpoczęła Marianna. Aktywistka zapowiedziała, że szuka nowego miejsca do życia – domu. Ma już nawet coś na oku. – Teraz podjechałam, nie pokażę jeszcze gdzie [...]. Jak znajdę ten dom, to pokażę wam go w środku. Oglądam już trzeci dom, jeden już wstępnie wybrałam i nie ma tego złego, co by na dobre nie wyszło, bo ja zawsze marzyłam o tym, żeby mieszkać w domu [...]. Być może w tym miejscu wzięłabym ślub. To nie temat na dzisiaj, ale na niedługo – relacjonowała. Skoro Marianna zapowiada, że coś będzie niedługo, to będzie. Interes musi się kręcić.

BLADY STRACH

Media obiegła wieść o powrocie Kingi Rusin do prowadzenia śniadaniowego programu „Dzień dobry TVN". Na stałe czy na chwilę? „Pozdrawiam serdecznie z wysokich, południowoamerykańskich gór wszystkich prowadzących »Dzień dobry TVN«! Portale plotkarskie mogą spać spokojnie – na pewno nikomu nie zabiorę miejsca!" – ogłosiła Rusin w sieci. „Będę, między moimi wyjazdami, prowadzić WYŁĄCZNIE jubileuszowe wydanie »DDTVN« we wrześniu. Tak się bowiem składa, że w 2005 r. (równo 20 lat temu) poprowadziłam pierwsze wydanie w historii porannego programu TVN. Cieszę się z tego pomysłu i z radością przyjęłam zaproszenie" – poinformowała. Uf! ©℗

eprasa.pl d112db2444

MŁODZI WYKSZTAŁCENI I Z WIELKICH OŚRODKÓW

Kochani, trwający sezon wakacyjny znów upływa pod znakiem dramatów wielu januszów i grażyn oraz ich tzw. paragonów grozy, które oznaczają ni mniej, ni więcej, a tyle, iż nie rozumieją, za co płacą, i nie potrafią liczyć xD.

Co nas natomiast nieodmiennie uderza, to fakt, iż każdego roku ponawiamy dyskusję na temat cen dorsza nad Bałtykiem. Pomimo tak wielu lat dyskusji, kontrowersji, różnego rodzaju złych praktyk opisywanych w mediach nadal istnieje wielu amatorów dorsza, którzy są gotowi dać się oskubać na równowartość abonamentu półrocznego w barze mlecznym, iżby tylko zjeść osoborybę smażoną na głębokim oleju wymienianym rzadziej niż olej w passacie 1,9 tdi na wsi pod Rzeszowem.

I jakoś nigdy nikomu nie przyszło do głowy, że może jest to najwyższy czas, aby przestać te osobodorsze jeść. Nie rozumiemy tego podejścia, iż każdy wyjazd nad morze musi być związany z jedzeniem ryby. Kaman, mamy globalizację, rybę można zjeść i w Katowicach. Czemu więc taki przeciętny wąsaty janusz nie może sobie odpuścić w Jastarni?

Już nie mówiąc o tym, iż populacja dorsza się bardzo mocno kurczy i w końcu podkarpacie zeżre je wszystkie, co sprawi, iż ten kraj będzie odpowiedzialny za wyginięcie kolejnego gatunku i tak się będziemy zapisywać na kartach historii, no wspaniale.

Wogóle strasznie nas denerwują te akcje pod hasłem back to school, iż jest to bezsensowne, niepotrzebne i skandaliczne stresowanie osobodzieci i osobostudentów jeszcze w trakcie wakacji. Kto normalny kupuje zeszyty w połowie sierpnia albo i pod koniec lipca – a takie stoiska w sklepach o tej porze roku zdarzało nam się widzieć.

Sprawę powinno się załatwić na poziomie ustawowym. Do końca sierpnia zero mówienia o szkole, zeszytach, jakiś zakaz czytania, liczenia i pisania w trakcie wakacji, a zabawy tylko w formie ruchowej i nieprzeintelektualizowanej.

No i w ogóle przypominamy, iż polska szkoła to instytucja wysoce opresyjna, skoro nawet w wakacje musi o sobie przypominać. Strasznie nas razi ta potrzeba kontrolowania emocji młodych ludzi, którym podczas zakupów w dyskoncie może się zrobić po prostu przykro. Nam też się robi. I ta notka absolutnie nie ma charakteru humorystycznego, jak cała polska szkoła zresztą.

A tak w ogóle to zauważcie, jak bez sensu nazywa się sierpień w języku polskim. Prawie wszędzie indziej to August, a u nas jakaś nazwa kojarząca się ze wsią, żniwami, średniowieczem, czyli znów odwołujemy się nie do tradycji i wspólnego dziedzictwa europejskiego, ale do polski gminnej, biednej, gorzej wykształconej i uboższej.

No i w sumie dlaczego? Przeciesh nie ma absolutnie żadnego powodu, iżbyśmy nie mogli teraz zmienić nazwy sierpnia na porządny europejski august. Nie będziemy musieli się wstydzić, iż jak wyślemy maila do znajomych z zachodniego oddziału korpo, to zobaczą te śmieszne nazwy ze śmiesznymi znaczkami.

Nawet chyba złożymy projekt ustawy w tej sprawie i złożymy do rządu, mamy nadzieję, iż tak otwarty i proeuropejski gabinet na pewno się tym zajmie!!! ©℗

FASHYSM NIE PRZEJDZIE! BĄDŹ Z NAMI OSOM NA FEJSIKU: FB.COM/MWIZWO

PODSŁUCHANE

Komisja Dunaju

Panie premierze, mogę?
O matko, to znowu pan... Panie Adamie, co tym razem?

Nic, nic, ja tylko chciałem zapytać, czy ma pan może dla mnie jakieś miejsce? TSUE, ETPC, bo ja wiem...
Ale pan tu właził z tym samym pytaniem wczoraj! A nie, momencik, nie wczoraj, tylko dzisiaj z rana. Pan myśli, że się coś zmieniło od tego czasu?

No, właśnie nie wiem...
Nie, nic się nie zmieniło, stanowisk nie ma i nie będzie. Na razie. Pracuję nad tym.

A może chociaż Komisja Dunaju?
To jest coś takiego? Przecież Dunaj nie płynie przez Polskę.

Ale przez Węgry płynie. Jakby co, to wystąpię o azyl. ©℗

Łukasz Warzecha

OD RZECZY

„Od wczoraj prezydentem Polski jest Karol Nawrocki. Przed nami dwa krytyczne lata walki o przyszłość naszego kraju".

DOROTA WYSOCKA-SCHNEPF, *pracownik Telewizji Polskiej w likwidacji, w TVP Info*

eprasa.pl d112db2444

dwaj panowie g

No i stało się – już po zaprzysiężeniu i inauguracji. Od tej pory możemy prezydenta Nawrockiego w naszej rubryce całkiem oficjalnie nazywać Karolem Tadeuszem (dotąd czyniliśmy to nieoficjalnie), tak jak wcześniej nazywaliśmy przez dwie kadencję prezydenta Dudę – Andrzejem Sebastianem. Żywotność naszej rubryki zaskakuje nas samych. Panie prezydencie, Karolu Tadeuszu, Make Polska Great Again!

Do ostatniej chwili obóz Silnych Razem nie tracił nadziei, że jednak uda się powstrzymać zaprzysiężenie. Jednak się nie udało i do tego pił właśnie marszymon Hołownia, mówiąc „rozmyślili się" – co wychwyciły mikrofony. A rozmyślili się z jednego powodu. Otóż Dobry Donald z Waszyngtonu, znaczy Trump, na zaprzysiężenie przysłał swoją delegację, co jest ewenementem. Bo nigdy takie delegacje nie były wysyłane na tę uroczystość. Zły Donald z Sopotu się wściekł, jak to on, ale na zaprzysiężenie pomaszerował. Ba! Za nim pomaszerowali karnie pozostali platformersi. Nawet Giertych. Ten wprawdzie wyszedł po hymnie, ale nikt nie zwróciłby na to uwagi, gdyby sam nie poinformował o tym na iksiku, dawniej twiterku.

W związku z zaprzysiężeniem i inauguracją prezydenta Karola Tadeusza 6 sierpnia w całej stolicy balowały nawrotczyki. Nie udało nam się odwiedzić wszystkich tych spontanicznych rautów, ale możemy powiedzieć, że świętowano naprawdę hucznie. Między innymi w pewnej knajpie na Foksal, która uchodzi za alt-right friendly, być może dlatego, że właścicielką jest żona byłego funkcjonariusza CBA. Ale tam obyło się bez ekscesów. Inna część balowała w knajpie znajdującej się na uliczce prowadzącej na Mariensztat. Tam sąsiedzi wezwali policję. Patrol jednak nawet nie wszedł do środka, gdyż było naprawdę spokojnie. Policjanci wręcz tłumaczyli, że oni nic do imprezy nie mają, a pani, która narzekała na imprezę, jest znaną w okolicy wariatką, która codziennie czyni takie zgłoszenia.

Bardzo oficjalnie było za to w hotelu Bellotto, gdzie odbywała się gala prezydencka Telewizji Republika. Która miała też wymiar międzynarodowy, gdyż bratano się z przybyłymi Amerykanami, m.in. nababami z CPAC. A także z uczestnikami odbywającej się w Warszawie konferencji MEGA – Make Europe Great Again. Niestety, tylko wybranymi zagranicznymi uczestnikami. Pojawiło się za to nieco działaczy aktywu PiS-owskiego. Absmak pozostał, bo zagraniczni goście lecieli przez pół świata, a ostatecznie nie mogli nawet pogadać z Przydaczem.

Warszawska konferencja MEGA odbyła się tymczasem zgodnie z naszymi zapowiedziami i nie będzie ostatnią, ale o tym innym razem. Były nie tylko panele dyskusyjne, lecz także świętowanie zaprzysiężenia prezydenta Karola Tadeusza, łącznie

FOT. ROBERT GARDZIŃSKI

eprasa.pl d112db2444

ze spontanicznym przemarszem z placu Piłsudskiego pod Pałac. Nie musimy dodawać, że najsilniejszym uczuciem panującym wśród gości było uczucie zazdrości. I my to rozumiemy. I teraz uwaga: goście przybyli z 40 krajów i czterech kontynentów. Duch krąży nad Europą, duch prawactwa.

Jeden z gości konferencji MEGA, który przyleciał aż z Meksyku, przywiózł prezydentowi Karolowi Tadeuszowi ciekawe dary. Między innymi bokserski pas czempiona. Niestety, nie udało się zorganizować bezpośredniej ceremonii wręczenia, ale skądinąd wiemy, że prezenty trafiły do adresata.

Najbardziej imponującą figurą warszawskiej odsłony konferencji MEGA był gość z Wenezueli. Alejandro Peña Esclusa jako jeden z pierwszych przestrzegał, że Hugo Chávez to nowe wcielenie Fidela Castro. I startował przeciw niemu w wyborach prezydenckich. Za co został zamknięty przez tegoż Cháveza w więzieniu. Señor Esclusa zapytany, jaką najważniejszą lekcję należy wyciągnąć z południowoamerykańskiej walki z marksizmem, rzekł: To wszystko przestępcy. Zwalczajcie przestępczość, to przy okazji zwalczycie lewicę. I my to też rozumiemy. W Polsce marksistów niewielu, ale potrzeba więzień – pilna.

Dwa słowa o buczeniu na Władka Kosiniaka-Kamasza, któremu na placu Piłsudskiego dostało się od tłumu, że zdrajca i niemiecki agent. Otóż spontaniczne zachowanie ludu prawackiego bardzo nie spodobało się pewnej części posłów PiS. Bardzo. Spisaliśmy nazwiska. Dzięki temu wiemy, kto w PiS najbardziej przebiera nogami, żeby już teraz zrobić koalicję z ludowcami.

Wracając do amerykańskiej delegacji przybyłej na zaprzysiężenie prezydenta Karola Tadeusza... Mało kto wie, że jej członkowie odbyli poza Sejmem dwa spotkania. Z wybranymi starannie personami. Jedną był minister finansów Andrzej Domański. Drugą – prezes PiS, Jarosław Kaczyński. Dla Amerykanów ważne są bowiem pieniądze i konkrety. Nie musimy chyba dodawać, że Zły Donald z Sopotu wściekł się ponownie. W sumie wściekły był przez cały dzień.

Wracając do Pałacu Prezydenckiego. Skład nowej Kancelarii cieszy nas tym bardziej, że w większości znamy tych ludzi osobiście. Martwi nas jedynie, że wśród nowych ministrów jest tylko jedna kobieta, której akurat niestety do tej pory nie mieliśmy okazji poznać. Martwi nas to dlatego, że kobiety w dużym Pałacu zwykle były najlepszymi wiewiórkami. Z jednym wyjątkiem – Małgorzaty Paprockiej, czyli byłej już szefowej Kancelarii. Ta niestety nie miała w zwyczaju chlapać ozorem dziennikarzom. Szanujemy, choć bardzo cierpieliśmy z tego powodu.

Apropos Małgorzaty Paprockiej, nie tak dawno podczas kolejnej dyskusji na temat obsady ambasadorów szefowa Kancelarii (ówczesna) w męskich słowach wyjaśniła Radosławowi Sikorskiemu, jakie są czerwone linie, jeśli chodzi o wysyłanie najważniejszych przedstawicieli Polski za granicę. Wytłumaczyła na tyle dobitnie, że nawet Sikorski to zrozumiał. W ramach gołąbka pokoju poinformowała jednak Sikorskiego, że prezydent zgodzi się na odwołanie tych ambasadorów, którzy byli na placówkach cztery i dłużej lat.

Tymczasem sam Andrzej Duda wziął udział w tzw. naradzie kierpłaców, którzy zostali zaproszeni do Muzeum Historii Polski. Kiedyś nazywało się to doroczną nardą ambasadorów, ale w tej chwili większość to nie są ambasadorzy, lecz kierownicy placówek. No i Andrzej Duda powiedział, że czerwoną linią dla niego jest nominowanie członków „zdradzieckiej i haniebnej Konferencji Ambasadorów". Niestety, nasze wiewiórki siedziały z przodu, więc nie mogły dostrzec wyrazu twarzy Ryszarda Schnepfa, skądinąd będącego członkiem wzmiankowanej Konferencji. O dziwo, Radek po przemówieniu prezydenta klaskał. Kurtuazyjnie, ale klaskał. Nie powiedzielibyśmy, żeby były to бурные аплодисменты, переходящие в овацию, ale jednak klaskał.

Jeszcze jedna ploteczka z gmachu. Niebawem MSZ ma opuścić główny kadrowy Radka, niejaki Wiśniewski. Dość powszechnie znielubiony w resorcie. Taki to los kadrowych, zwłaszcza tych gorliwych, a temu nie można odmówić gorliwości. Na razie trwa poszukiwanie dla niego placówki. Potem jeszcze trzeba będzie przekonać Marcina Przydacza, który odpowiada za politykę zagraniczną u Nawrockiego. Łatwe to nie będzie.

Coraz bardziej przechlapane ma za to niejaki Ruchniewicz jako szef Instytutu Pileckiego. Radek puknął go już z funkcji pełnomocnika do spraw stosunków polsko-niemieckich, po prostu likwidując jego stanowisko. Ale problem ma z nim też nowa szefowa resortu kultury, czyli Cienkowska. Między nami mówiąc, plotki, aby Ruchniewicz został zakapowany do „Rzepy" przez kogoś z Instytutu, nie polegają na prawdzie. Źródło było w samym MKiDN. Ruchniewicza nie cierpi jeden z wpływowych dyrektorów, który na to stanowisko chciałby wsadzić swojego kumpla. Kumpel co prawda nie ma wyższego wykształcenia. Ale czy Hołownia ma? A jest drugą osobą w państwie.

Z życia parlamentu. Doszło tam do ostrego spięcia między wicemarszałkiem Grodzkim i jego świtą a PiS-owcami. Wszystko za sprawą Dariusza Mateckiego, który na widok Tomka Grodzkiego zaczął skandować: „Stówka dla Tomasza! Stówka dla Tomasza". Przepychanka (niektórzy mówią: szamotanina) zakończyła się zwycięskim moralnym remisem prawicy, gdyż nikt nikomu nie natrzaskał, a hasło wybrzmiało.

Nie ma dnia bez nowej partii – tym razem założenie własnej ogłosiła Joanna Senyszyn. Partia nazywać się będzie Nowa Fala Profesor Senyszyn. Jesteśmy specjalistami od Nowej Fali, z poezji najbardziej cenimy wczesnego Barańczaka i Kornhausera, w kinie zaś Godarda z francuskiej oraz Petera Weira z australijskiej Nowej Fali. W związku z czym cóż, wyznajemy, na Senyszyn nie starczy już w naszych sercach miejsca. ©℗

eprasa.pl d112db2444

Bibi – król Bliskiego Wschodu?

Witold Repetowicz

Beniamin Netanjahu wykazuje wyjątkową zdolność przetrwania na stanowisku premiera, a lista sukcesów w walce z zewnętrznymi wrogami, które ogłosił w ostatnich latach, powinna zapewnić mu królewską pozycję w kraju i za granicą. Tyle że tak nie jest

W propagandzie sukcesu wygląda to tak: Bibi zdziesiątkował Hamas, następnie rozbił Hezbollah, doprowadził do upadku al-Asada, a na koniec rozłożył na łopatki Iran. I zapewnił sobie i Izraelowi pełne wsparcie USA. Izraelczycy powinni go nosić na rękach i traktować niczym drugiego króla Dawida, a wrogowie trząść się ze strachu i błagać o litość. Problem w tym, że tak nie jest, a Netanjahu jest coraz bliżej upadku.

Sondaż przeprowadzony 1 lipca przez ośrodek Midgam pokazał, że partia izraelskiego premiera, tj. Likud, może liczyć na 26 miejsc w 120-osobowym Knesecie, a jego koalicja rządząca na 49 miejsc. Według sondaży poparcie dla Likudu wzrosło minimalnie po wojnie z Iranem, ale kosztem jego ekstremistycznie prawicowych sojuszników, a nie opozycji. Tymczasem Netanjahu nie ma szans znaleźć poparcia innych ugrupowań.

ODLICZANIE DO POLITYCZNEJ ŚMIERCI

Bibi od kilku lat siedzi w oblężonej przez opozycję twierdzy, a jego działania jako szefa rządu podyktowane są wyłącznie obroną siebie przed wroga-

eprasa.pl d112db2444

FOT. EVELYN HOCKSTEIN/REUTERS/FORUM

mi wewnętrznymi, a nie Izraela przed wrogami zewnętrznymi. Dlatego słupki sondażowe mają kluczowe znaczenie dla jego działań i przyszłości. W ostatnich wyborach, które odbyły się 1 listopada 2022 r., Likud zdobył 32 mandaty, ekstremistyczna prawica – 14, a partie ortodoksyjne – 18, co dawało Netanjahu bezpieczną większość 64 mandatów. W przededniu ataku Hamasu na Izrael Likud mógł liczyć na 28 mandatów, ekstremiści na 10, a ortodoksi na 17, co łącznie dawało 55 mandatów. Wciąż dawało to szanse na utrzymanie się u władzy, gdyż opozycja mogła nie zebrać większości ze względu na mandaty przypadające Arabom, a wtedy nastąpiłaby powtórka z lat 2019–2022, gdy odbyło się pięć wyborów z rzędu. Bibi, nawet nie mając większości, utrzymywał się wówczas, gdyż jego przeciwnicy nie mogli stworzyć koalicji. Jednak po 7 października nastąpiło gigantyczne tąpnięcie w poparciu Likudu i nieco mniejsze, jeżeli chodzi o jego koalicjantów. Na początku 2024 r. Likud mógł liczyć na 16 mandatów, ekstremiści na 12, a ortodoksi na 16, co łącznie dawało 44 mandaty, czyli tylko 5 mniej niż obecnie.

Likud odbił się nieco od dna w połowie 2024 r., co w dużym stopniu było efektem niemrawości liderów opozycji. Brak było bowiem wśród nich charyzmatycznej postaci. W maju 2024 r. Likud mógł liczyć już na 20–22 mandatów, a w przededniu inwazji na Liban – na 26 mandatów. Cała koalicja mogła natomiast zdobyć 54 mandaty, co znów dawało szansę na pat w Knesecie i utrzymanie się Bibiego na powierzchni.

Jednak wojna w Libanie, która niby była sukcesem, zamiast pchnąć poparcie w górę, znów zbiła je w dół. I to mimo że opozycję opuścili likudowi rozłamowcy Gideona Sa'ara z partii Nowa Nadzieja, wracając na łono partii matki i ojczulka Bibiego. Tymczasem zegar politycznej śmierci dla Bibiego nienawistnie tyka. W chwili tąpnięcia poparcia były trzy lata do następnych wyborów, więc Bibi mógł liczyć, że jego krwawy plan odbudowy słupków da pożądany rezultat. No cóż, nie dał. A do wyborów zostało już tylko 15 miesięcy. Netanjahu zatem dwoi się i troi, by pod wpływem ogłaszanych sukcesów słupki poszły w górę, a te bezczelnie stoją w miejscu. W dodatku na horyzoncie pojawił się Brutus w osobie Naftalego Bennetta, czający się do zadania śmiertelnego ciosu. Ten o ćwierć wieku młodszy od Bibiego ambitny polityk był ministrem w kilku rządach Netanjahu, w tym ministrem obrony. Jest on paradoksalnie bardziej prawicowy niż Bibi, ale opozycja postawiłaby diabła na stołku premiera, aby dopaść Netanjahu, a dopiero co założona partia Bennetta z impetem wystrzeliła w sondażach. Pytanie: Na jak długo?

GDY OGON MACHA PSEM

Beniamin Netanjahu urodził się 76 lat temu w Tel Awiwie jako drugi syn Bencijjona Netanjahu vel Milejkowskiego. Fakt, że jego ojciec urodził się w Warszawie, posłużył antyizraelskiej propagandzie do głoszenia tezy, jakoby Bibi był Polakiem i powinien wrócić do swej „prawdziwej ojczyzny". W rzeczywistości jest to kompletna bzdura, gdyż Bencijjon wyjechał do Palestyny w 1920 r. w wieku 10 lat, raptem dwa lata po odzyskaniu niepodległości przez Polskę, a dziadek Bibiego, Natan Milejkowski, był działaczem syjonistycznym już w XIX w. Ani Natan, ani Bencijjon nigdy nie wykazywali szczególnego sentymentu do Polski. Tym bardziej dotyczy to Bibiego, który zaskarbił sobie „miłość" Polaków tym, że na koniec tzw. „konferencji bliskowschodniej" w Warszawie w lutym 2019 r. palnął, że „Polacy współpracowali z nazistami".

W latach 1967–1973 Bibi służył w armii i doszedł do stopnia kapitana. Jednakże znacznie większą sławę zyskał jego starszy brat Jonatan, który w 1976 r. dowodził operacją specjalną uwolnienia zakładników z porwanego izraelskiego samolotu na ugandyjskim lotnisku Entebbe, w której zginął jako jedyny z izraelskich komandosów biorących w niej udział.

W tym czasie Bibi kontynuował studia w USA, a do Izraela wrócił w 1978 r. W latach 1982–1984 znów przebywał w USA, pracując w ambasadzie Izraela. Łącznie do 1984 r. Bibi spędził w Ameryce ok. 15 lat, co z pewnością przydało mu się później w „machaniu psem przez ogon", czyli rozgrywaniu tamtejszej sceny politycznej w interesie Izraela oraz swoim własnym. W czasie ostatniego pobytu Netanjahu poznał też Freda Trumpa, ojca obecnego prezydenta.

Karierę polityczną Netanjahu rozpoczął dość późno, bo dopiero w wieku 39 lat, gdy po raz pierwszy wystartował w wyborach do Knesetu w 1988 r. z – kierowanego wtedy przez Icchaka Szamira – Likudu. Partia ta wówczas wygrała, a Bibi został wiceministrem spraw zagranicznych. Jednak jego kariera polityczna nabrała impetu dopiero dzięki przegranej Likudu w kolejnych

eprasa.pl d112db2444

wyborach, gdyż doprowadziło to do zmiany przywództwa w partii.

W 1993 r. 44-letni Beniamin Netanjahu objął stery w Likudzie, co otworzyło mu drogę do pierwszego premierostwa w roku 1996. Tymczasem gdy Netanjahu był liderem opozycji, w Izraelu doszło do bardzo ważnych wydarzeń. Następca Szamira na stanowisku premiera, Icchak Rabin, rozpoczął negocjacje z liderem Organizacji Wyzwolenia Palestyny Jasirem Arafatem, których efektem było podpisanie porozumień z Oslo w sprawie zakończenia konfliktu izraelsko-palestyńskiego, stworzenie Autonomii Palestyńskiej i normalizację stosunków z Jordanią. Miało to otworzyć drogę do ostatecznego pokoju poprzez wprowadzenie rozwiązania dwupaństwowego, tj. pokojowo współistniejących Izraela i Palestyny. Jednak w 1995 r. żydowski ekstremista Jigal Amir zamordował Rabina, a rok później jego następca Szymon Peres przegrał z o ćwierć wieku młodszym od siebie Netanjahu.

Były to pierwsze wybory, w których premiera wybierano w powszechnym głosowaniu, a Netanjahu pokonał Peresa przewagą niespełna 30 tys. głosów (50,5 proc. vs. 49,5 proc.), podczas gdy Likud zdobył w Knesecie tylko 24 mandaty, a Partia Pracy Peresa – 32. Bibi zdobył więc wówczas nową sprawność: klejenie wielopartyjnych koalicji, co przydało mu się jeszcze wielokrotnie. Siedmiopartyjna koalicja rozpadła się jednak po trzech latach, a w wyborach w 1999 r. nowy lider Partii Pracy Ehud Barak pokonał Bibiego, zdobywając aż 56 proc. głosów. Likud wprowadził do Knesetu tylko 19 deputowanych i Netanjahu stracił przywództwo w partii na rzecz Ariela Szarona. Wydawało się, że gwiazda Bibiego zgasła.

KARMIENIE ŻMII

Już w pierwszym dojściu do władzy Bibiemu pomógł Hamas. Oczywiście nie chodzi o oficjalne poparcie, ale o to, że przed wyborami zintensyfikował ataki terrorystyczne, co negatywnie wpłynęło na wynik ówczesnego premiera. Osobą, która przejęła wówczas kierownictwo nad zbrojnym skrzydłem Hamasu, czyli Brygadami al-Kassam, był Mohammad Deif, który 27 lat później odegrał kluczową rolę w zaplanowaniu i przeprowadzeniu ataku 7 października. Netanjahu odwdzięczył się wówczas ułatwianiem przepływu katarskiego finansowania dla Hamasu oraz torpedowaniem Porozumień w Oslo, którym Hamas też był przeciwny. Netanjahu nie robił tego z sympatii dla Hamasu, ale dlatego że chciał osłabić władze Autonomii Palestyńskiej i skompromitować Palestyńczyków, przyprawiając im gębę niereformowalnych terrorystów, z którymi nie da się dogadać. Tyle że karmienie żmii miało swoje dalekosiężne konsekwencje i z całą pewnością nie sprzyjało poprawie bezpieczeństwa Izraela. Teraz Bibi walczy, by wieczna wojna zablokowała plan stworzenia komisji śledczej, która miałaby dokładnie zbadać m.in. faktyczne wspieranie Hamasu przez Bibiego.

Wybuch drugiej intifady otworzył Likudowi drogę do powrotu do władzy już w 2001 r., ale z nowym przywódcą – Arielem Szaronem. W 2003 r. Szaron powierzył Netanjahu tekę ministra finansów. Dwa lata później Szaron postanowił wycofać siły izraelskie ze Strefy Gazy, jednocześnie likwidując powstałe tam osiedla żydowskie. Było to w interesie Izraela, ale w Likudzie podniósł się bunt, na którego czele stanął Netanjahu. W rezultacie Szaron wystąpił z tej partii i założył swoją o nazwie Kadima, a Bibi został ponownie liderem Likudu i poprowadził go do kolejnej klęski wyborczej, tracąc przy okazji miejsce w rządzie. W 2006 r. Kadima zdobyła 29 mandatów, a Likud tylko 12 (niespełna 9 proc. poparcia). Premierem został nowy lider Kadimy Ehud Olmert, bo Szaron zapadł w śpiączkę. Trzy lata później skandal korupcyjny zmusił Olmerta do rezygnacji (w 2014 r. został skazany na sześć lat więzienia) i choć w kolejnych wyborach w 2009 r. Kadima utrzymała pierwsze miejsce, to sprawniejszy w zlepieniu koalicji okazał się Netanjahu.

W marcu 2009 r. Netanjahu ponownie objął funkcję premiera, ale tym razem sprawował ją aż do czerwca 2021 r. Niespełna dwa lata później Arabowie zrobili Bibiemu prezent w postaci arabskiej wiosny, której najbardziej wyrazistym efektem, przynajmniej z punktu widzenia Izraela, było to, że jego wrogowie wzięli się za łby. W szczególności cenne było to, że między sunnickim Hamasem a szyickim Hezbollahem doszło do napięć, a Hezbollah zajął się zwalczaniem sunnickich dżihadystów w Syrii. Gdy Barack Obama i Hillary Clinton marzyli o demokratyzacji Bliskiego Wschodu, wspierając w tym celu islamistów z Bractwa Muzułmańskiego, izraelski rząd kierowany przez Netanjahu wspierał dżihadystów z Al-Kaidy (a zdaniem niektórych również Państwa Islamskiego). Oficjalnie była to „pomoc humanitarna". Jednak gdy w końcu 2024 r. ci dżihadyści obalili al-Asada i przejęli władzę, to Netanjahu uznał ich za terrorystów i wrogów, których należy bombardować, choć miał kanały, by się z nimi dogadywać. Bibi uznał jednak, że byłoby to zbyt ryzykowne, bo Arabowie nienawiść do Izraela wysysają z mlekiem matki. Tyle że to właśnie takie podejście nakręca wrogość tego arabsko-muzułmańskiego oceanu do izraelskiej wysepki, choć wcale tak być nie musiało.

Już w pierwszym dojściu do władzy Bibiemu pomógł Hamas. Nie chodzi o oficjalne poparcie, ale o to, że przed wyborami zintensyfikował ataki, co osłabiło wynik ówczesnego premiera

Między pierwszym a drugim premierostwem Netanjahu Amerykanie usunęli dotychczasowego wroga numer jeden Izraela w regionie, tj. Saddama Husajna. Miejsce zdestabilizowanego wojną między sunnitami a szyitami Iraku jako głównego zagrożenia dla Państwa Żydowskiego zajął więc Iran, w którym prezydentem był wówczas Mahmud Ahmadineżad. Za jego rządów program atomowy Iranu przyśpieszył, a on sam wezwał do „wymazania Izraela z mapy świata". Netanjahu miał więc dyżurnego wroga i nakręcił w Izraelu przekonanie, iż Iran dąży do zniszczenia Izraela przy użyciu broni atomowej. Założenie to było wielce wątpliwe, gdyż oznaczałoby samobójstwo Islamskiej Republiki, niemniej Bibi przekonał też Izraelczyków, że problem irańskiego programu nuklearnego można rozwiązać tylko

eprasa.pl d112db2444

militarnie. Tyle że wiedział, iż Izrael nie ma takich możliwości. Były irański minister spraw zagranicznych Dżawad Zarif ujął to w stwierdzeniu: „Netanjahu będzie walczyć z Iranem do ostatniego żołnierza. Amerykańskiego". W 2015 r. Iran podpisał układ m.in. z Amerykanami i Europą, poddający irański program nuklearny pod ścisłą kontrolę. Netanjahu stawał na głowie, by to storpedować, i gdy Trump został prezydentem, osiągnął ten cel. Dzięki temu Iran rozwinął ten program i w 2025 r. osiągnął taki poziom, że wyprodukowanie kilkunastu bomb atomowych było na wyciągnięcie ręki. Wówczas Bibi wreszcie dopiął swego i wybuchła wojna. Już pierwszego dnia okazało się, że bez wsparcia USA Izrael niewiele jest w stanie osiągnąć. Ostatecznie po 12 dniach nastąpiło zawieszenie broni, choć cele Izraela bynajmniej nie zostały osiągnięte. Według różnych ocen program atomowy został cofnięty o kilka miesięcy lub co najwyżej dwa lata. Izrael nie miał szans dobrania się do instalacji ukrytych głęboko pod ziemią, a skuteczność amerykańskiego uderzenia budzi wątpliwości. Znów więc działania Izraela mogą się okazać przeciwskuteczne, bo Iran może uznać, że tylko wejście w posiadanie broni nuklearnej zapewni mu polisę ubezpieczeniową przed kolejnymi atakami. Nic nie wskazuje też na to, że Iran pozbawiony został swojego arsenału balistycznego, a to, że kilku generałów zginęło i obrona przeciwlotnicza była słaba, nie ma długofalowo większego znaczenia. Iran ma teraz czas, bo USA prędko w niego ponownie nie uderzą. A już zapowiedzi „wyzwolenia Irańczyków od reżimu" okazały się całkowitą kpiną.

Największe jednak zasługi Bibi ma we wspieraniu Hamasu. Gdy w 2018 r. palestyński prezydent Mahmud Abbas postanowił wstrzymać przesyłanie pieniędzy na pensje do Gazy, by nie zasilały one Hamasu, Netanjahu zwrócił się wtedy do Kataru o to, by ten pompował pieniądze do tej organizacji, oraz poprosił USA, by się zgodziły na to i nie nakładały sankcji. Przy okazji na listę płac Kataru weszli ludzie z najbliższego otoczenia Bibiego, a zdaniem byłego wicepremiera w jego rządzie, Moszego Ya'alona swoją dolę dostał też Netanjahu. Gdy w 2025 r. Szin Bet zaczął wokół tego węszyć, Bibi doprowadził do dymisji szefa tej izraelskiej służby bezpieczeństwa, by ukręcić sprawie łeb. Niemniej sprawa toczy się dalej, a kilku jego współpracowników zostało aresztowanych.

Netanjahu udało się doprowadzić Izrael na skraj starcia zbrojnego z Turcją, która przez dekady była jego strategicznym partnerem

KLUCZOWE ŚLEDZTWO

To niejedyna sprawa korupcyjna, która ciąży na Bibim. Kluczowe znaczenie ma śledztwo wszczęte w styczniu 2017 r., które doprowadziło do ostrej polaryzacji politycznej w Izraelu i działań Netanjahu w celu podporządkowania sobie wymiaru sprawiedliwości. Netanjahu postanowił skryć się za immunitetem premiera, a opozycja usunąć go ze stanowiska, by trafił do więzienia. Wybory w kwietniu i we wrześniu 2019 r. oraz w marcu 2020 r. zakończyły się patem, ale po tych ostatnich Bibi przekabacił jednego z liderów opozycji, Beniego Ganca, na swoją stronę, dając mu stołek ministra obrony i rozbijając w ten sposób blok opozycji. Spowodowało to wybuch masowych protestów na ulicach Izraela i w rezultacie koalicja rozpadła się po roku. Po kolejnych wyborach w marcu 2021 r. opozycja zdołała zbudować ośmiopartyjną koalicję obejmującą 61 deputowanych, w tym czterech z arabskiej partii Ra'am. Nawiasem mówiąc, Bibi też chciał zdobyć jej poparcie, lecz to nie wystarczyłoby do większości. Musiałby jeszcze przeciągnąć na swoją stronę Bennetta, który jednak miał chrapkę na premierostwo. Poza tym wciągnięcie do jednej koalicji partii arabskiej i rasistów Bezalela Smotricza przerastało cudotwórcze moce Bibiego. I to mimo że w akcie desperacji tuż przed wyborami zaczął obiecywać arabskim wyborcom „bezpośrednie loty do Mekki" i tytułować się Abu Jairem (zgodnie z arabską tradycją). Bennett faktycznie został premierem, ale jego rząd przetrwał ledwie nieco ponad rok, bo Netanjahu przeciągnął na swoją stronę kilku deputowanych jego partii. Potem Bibi doprowadził do porozumienia kilku ekstremistycznych partii prawicowych, które dzięki temu wprowadziły do Knesetu aż 14 deputowanych. No i dzięki nim został premierem po raz trzeci, jednocześnie stając się zakładnikiem fanatycznych rasistów Ben-Gwira i Smotricza. Czego się jednak nie robi, by uniknąć więzienia?

Faktem jest, że we wrześniu 2020 r. Netanjahu udało się znormalizować stosunki z kilkoma państwami arabskimi, m.in. ze Zjednoczonymi Emiratami Arabskimi, ale była to raczej zasługa Trumpa. Poza tym Bibi ze swoją dyplomatyczną gracją słonia w składzie z porcelaną prawie doprowadził do ich storpedowania w ostatniej chwili, forsując pomysł aneksji Zachodniego Brzegu. Trump wybił mu to z głowy, ale nie zdołał już zapobiec zniszczeniu przez Bibiego planu objęcia normalizacją również Arabii Saudyjskiej. Najśmieszniejsze jest to, że Bibiemu na układzie z Saudami zależało do tego stopnia, że w czasie mundialu w Katarze robił z siebie pajaca, demonstrując bycie fanem saudyjskiej drużyny. Tyle że dla Saudów taka normalizacja stała się niemożliwa ze względu na rzeźnię w Gazie i pomysły wysiedlania 2 mln Palestyńczyków.

Wojna w Strefie Gazy trwa w najlepsze i żaden z dwóch zadeklarowanych celów nie został zrealizowany: zakładnicy wciąż są w rękach Hamasu, a Hamas wciąż kontroluje Strefę Gazy. Netanjahu udało się natomiast doprowadzić Izrael na skraj starcia zbrojnego z Turcją, która przez dekady była jego strategicznym partnerem. Pomysłami przesiedlania Palestyńczyków zepsuł też relacje z kluczowymi partnerami arabskimi, tj. Egiptem i Jordanią. A zamiast do arabsko-izraelskiego sojuszu antyirańskiego doszło do tego, że państwa arabskie potępiły izraelski atak na Iran. Do tego stopień niechęci do Izraela w Europie i w USA jest najwyższy w historii. Nastroje antysemickie szaleją coraz bardziej, a izraelska dyplomacja swą arogancją tylko to podsyca. Czy Izrael jest bezpieczniejszy w wyniku rządów Netanjahu? Odpowiedź jest jednoznaczna: Nie!

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl d112db2444

u112db2444

FOT. KAMAL JABER/AFP/PRESS/FORUM

IZRAELSKIE ZBRODNIE NA PALESTYŃCZYKACH W STREFIE GAZY

W wyniku izraelskich działań w Strefie Gazy zginęło już co najmniej 60 tys. Palestyńczyków, a 150 tys. zostało rannych (przy ogólnej liczbie ludności szacowanej na 2,14 mln osób). Zabitych może być jednak znacznie więcej, ponieważ tysiące ciał mogą spoczywać pod gruzami. Ci, którzy przeżyli izraelskie naloty, nie mają ani gdzie mieszkać (zniszczonych lub zrównanych z ziemią zostało co najmniej 70 proc. budynków), ani co jeść. W wyniku izraelskich działań w Strefie Gazy panuje powszechny głód. Mimo międzynarodowego potępienia izraelscy żołnierze nadal otwierają ogień do Palestyńczyków, którzy próbują dotrzeć do rozdawanej lub zrzucanej z powietrza żywności, każdego dnia zabijając dziesiątki osób i raniąc setki. Według danych ONZ od 27 maja 2025 r. z rąk izraelskich wojskowych zginęły już co najmniej 1373 osoby poszukujące pomocy humanitarnej.

ONZ szacuje też, że każdego dnia z powodu izraelskich działań umiera średnio 28 palestyńskich dzieci (giną bezpośrednio w izraelskich atakach lub z głodu, z powodu blokady transportów z żywnością). Eksperci wskazują również na ogromną liczbą poronień wśród Palestynek, a także na dużą śmiertelność matek, które po porodzie umierają z głodu lub z braku dostępu do opieki medycznej. Izraelska armia systematycznie wyburza palestyńskie szpitale, meczety oraz domy mieszkalne. Coraz więcej dziennikarzy, obrońców praw człowieka, naukowców, prawników i polityków oskarża więc obecne władze Izraela (których przedstawiciele określali Palestyńczyków mianem „ludzkich zwierząt") nie tylko o zbrodnie wojenne czy zbrodnie przeciwko ludzkości, lecz także o ludobójstwo. Organizacje B'Tselem oraz Lekarze na rzecz Praw Człowieka (Physicians for Human Rights) opublikowały raporty, w których dowodzą, że Izrael prowadzi „skoordynowane, celowe działania mające na celu zniszczenie palestyńskiego społeczeństwa w Strefie Gazy". I chociaż odpowiedzią władz w Tel Awiwie są zarzuty o antysemityzm, to wśród ekspertów krytycznie oceniających izraelskie akcje w Gazie są także eksperci z Izraela. Wśród nich m.in. Omer Bartov, obywatel Izraela, były żołnierz i profesor Studiów nad Holokaustem i Ludobójstwem na Uniwersytecie Browna, który w rozmowie z Euronews w ubiegłym tygodniu wskazał na izraelskie działania sugerujące zamiar zniszczenia społeczności palestyńskiej.

Według ekspertów za zbrodnię można też uznać ataki przeprowadzone przez bojowników Hamasu 7 października 2023 r. (zginęło w nich ponad 1,1 tys. Izraelczyków). Obecne działania Izraela to odwet za tamten atak. ©℗

FOT. HABBOUB RAMEZ/ABACA/ABACA PRESS/FORUM

FOT. AA/ABACA/ABACA PRESS/FORUM

FOT. APAIMAGES/SHUTTERSTOCK/EAST NEWS

FOT. STRINGER/REUTERS/FORUM

DO RZECZY

eprasa.pl d112db2444

FOT. OMAR ASHTAWY/ZUMA PRESS/FORUM

FOT. AA/ABACA/ABACA PRESS/FORUM

d112db2444

Nie oszczędzaj żadnej

Paweł Lisicki

Kto stanowi ideologiczne zaplecze rządów premiera Beniamina Netanjahu? Fragment nowej książki redaktora naczelnego „Do Rzeczy"

Do zachodniej opinii publicznej praktycznie nie docierają informacje na temat tego, kim są żydowscy fanatycy religijni. A to oni przecież stanowią najliczniejszą i najbardziej wpływową grupę ruchu na rzecz budowy Trzeciej Świątyni, który to z kolei cieszy się uznaniem i poparciem najważniejszych amerykańskich chrześcijańskich syjonistów. Ci zaś współdecydują o wyborze republikańskich prezydentów. Jest prawdą, że tysiące Żydów odrzucają politykę dyskryminacji i ucisku premiera Netanjahu, a jeszcze więcej sprzeciwia się syjonizmowi mesjańskiemu i religijnemu. Nie zmienia to jednak faktów – wpływy radykałów rosną, a nie maleją.

Wielu z nich otwarcie mówi o tym, że w czasie wojny należy zabijać niewinne dzieci, kobiety i mężczyzn, praktycznie wszystkich nie-Żydów w Strefie Gazy. Te horrendalne pomysły pojawiają się wśród rabinów, którzy mają duży wpływ na izraelskie elity polityczne. Ten dehumanizujący język pojawia się coraz częściej. Są to też ci sami rabini, którzy najgłośniej i najbardziej ochoczo wspierają projekt budowy Trzeciej Świątyni. Zręcznie potrafią godzić przywiązanie do idei świątyni dla wszystkich narodów z przekonaniem, że zagrażający Żydom naród należy po prostu wytrzebić.

PODSTAWOWE PRAWO

„Podstawowe prawo podczas wojny religijnej, a to jest przypadek Gazy, mówi: »nie oszczędzaj żadnej duszy«" – mówił w marcu 2024 r. rabin Eliasz Mali. „Jest to bardzo prosta logika: jeśli nie zabijesz ich, to oni będą usiłować zabić ciebie". Te okrutne słowa padły podczas wykładu dla grupy studentów w założonej przez samego rabina w Jaffie akademii, w której uczy się religii żołnierzy armii izraelskiej. Najwidoczniej ktoś uznał, że nauki

eprasa.pl d112db2444

Izba Apelacyjna Międzynarodowego Trybunału Karnego (MTK) w Hadze uchyliła w maju 2025 r. nakaz aresztowania premiera Izraela Beniamina Netanjahu za zbrodnie wojenne i zbrodnie przeciw ludzkości

FOT. YVES HERMAN/REUTERS/FORUM

duszy

rabina są na tyle szokujące, że je nagrał i rozpowszechnił. „Dzisiejsi terroryści są dziećmi wcześniejszych operacji wojskowych, kiedy to zostawiono je przy życiu. Kobiety zaś z zasady produkują terrorystów" – twierdził rabin, cytuję za portalem LifeSiteNews.com. „Albo ty, albo oni. I w rzeczywistości »nie oszczędzaj żadnej duszy« oparte jest na doktrynie, która mówi »tego, który przychodzi zabić ciebie po południu, zabij rano« (Talmud babiloński) – mówił dalej. „Tym, który przychodzi zabić ciebie tutaj, w szerokim tego słowa znaczeniu, nie jest ktoś, kto ma 16, 18, 20, 30 lat. To nie ten, który wycelował w ciebie właśnie teraz swoją broń. Tym kimś jest także następne pokolenie, a także te [kobiety], które zrodziły następne pokolenie, ponieważ w rzeczywistości nie ma różnicy". W odpowiedzi na pytania, jak nauka ta odnosi się do ludzi starszych, rabin Mali stwierdził: „Nie ma czegoś takiego jak niewinne stworzenie, starszy człowiek wciąż jest w stanie nosić strzelbę i strzelać. Dlatego koncept Tory jest bardzo jasny, tak jak cała reguła".

Na nagraniu słychać, że ktoś zadał pytanie: A co z dziećmi? Zapewne radykalizm i okrucieństwo doktryny musiały wywołać poruszenie. Rabin pozostał niewzruszony: „odnosi się do nich to samo, co wynika z tego, że nie wolno przechytrzyć Tory. Gdy Tora mówi »nie oszczędzaj żadnej duszy«, wtedy nie wolno oszczędzać żadnej duszy. Dziś jest on młodzieńcem, jutro bojownikiem. Bojownicy, których my nazywamy sabotażystami, którzy dziś mają 18 lat, podczas poprzedniej wojny mieli osiem. Dlatego nie wolno przestać zabijać".

NISZCZYĆ I ZABIJAĆ

Nie jest to tylko wybryk, przypadkowe słowa wypowiedziane przez oszalałego fanatyka. Nauki te to smutna konsekwencja całej syjonistycznej doktryny, tyle że podane tu bez żadnego zmiękczenia, bez zastrzeżeń, bez owijania w bawełnę. Zasadza się ona przecież na konieczności wyczyszczenia Ziemi Izraela z Palestyńczyków, z obcych. Już w latach 30. XX w. Dawid Ben-Gurion, który został pierwszym premierem Izraela, stwierdził, że pozbycie się mieszkających w Izraelu Arabów (wówczas stanowili dwie trzecie populacji) będzie wymagać »brutalnego przymusu«. Od tej pory podobne wezwania do oczyszczenia ziemi z Palestyńczyków padają raz za razem.

Dokładnie te same nauki głosił w 2009 r. związany z Chabad Lubawicz rabin Manis Friedman. „Nie wierzę w zachodnią moralność" – pisał. „Jedynym sposobem toczenia wojny w sposób moralny jest sposób żydowski: Zniszcz ich miejsca święte. Zabij mężczyzn, kobiety i dzieci (i bydło)". Nic dziwnego, że na mieszkającego na stałe w USA w stanie Minnesota rabina spadła po tych radach fala krytyki. W odpowiedzi stwierdził, że to, o czym mówił, to działania, które można tylko podjąć w „samoobronie". Nie bardzo wprawdzie wiadomo, w jakim sensie w samoobronie można zabijać dzieci i kobiety, ale rabinowi najwyraźniej ten problem umknął. Jego słowa staną się zrozumiałe, tylko jeśli pamięta się, że ów „żydowski sposób toczenia wojny" to nawiązanie do klątwy, „haram", którą Bóg nałożył na Kanaan i jego mieszkańców ze względu na okrutne, krwawe formy bałwochwalstwa. Izraelczycy byli narzędziem Bożej kary na mieszkańców Kanaanu. Przenoszenie tego sposobu myślenia do współczesności jest z różnych powodów absurdalne. Przede wszystkim Arabowie, tak muzułmanie, jak chrześcijanie, nie uprawiają kultu Molocha i nie ofiarują okrutnemu Bogu w ofierze własnych dzieci. Nie są kanibalami, nie uprawiają rytualnych, wyuzdanych orgii czy masowych rzezi, jak to robili Kanaanejczycy, i co ściągnęło na nich Boży gniew i surową karę. Dlatego używanie wobec nich metod, którymi starożytni Hebrajczycy mieli pozbyć się okrutnych bałwochwalców, jest niedorzeczne.

> **„Gdy Tora mówi »nie oszczędzaj żadnej duszy«, wtedy nie wolno oszczędzać żadnej duszy"**

Jedyne, co tłumaczy słowa rabinów, to głęboko zakorzenione rasowe uprzedzenie. Niektórzy żydowscy nauczyciele gotowi są wspierać takie sposoby zabijania wroga, bo widzą w nim kogoś po wielokroć, w sensie ontologicznym, gorszego i niższego. Nie mogą uzasadnić swoich nauk, wskazując na wołającą o pomstę do nieba niegodziwość Arabów, tak jak to było w przypadku mieszkańców starożytnego Kanaanu.

Co zatem nimi kieruje? Wyznawana przez siebie, głęboko zakorzeniona teoria rasowa. Jest to zresztą też rzecz osobliwa – przecież Arabowie są takimi samymi semitami jak Żydzi. Najwyraźniej

eprasa.pl d112db2444

syjonistycznym mędrcom problem ten nie spędza snu z powiek.

Inny przykład. Za zamkniętymi drzwiami, zwracając się do młodych przyszłych żołnierzy w 2018 r., rabin Ofir Wallas twierdził, że Żydzi mogą zniszczyć naród Palestyńczyków, „ich wszystkich", bo w ten sposób zabiorą im ziemię. Jedynym powodem, dla którego nie należy tego czynić, była obawa przed reperkusjami międzynarodowymi i potencjalną zemstą – mówił dalej. Ci, którzy znają Talmud, zauważą osobliwe podobieństwo do jego nauk na temat relacji z gojami: niektórzy mędrcy uzasadniali pomoc humanitarną, jaką należy okazać nie-Żydom, nie powszechnie wiążącym przykazaniem miłości bliźniego, ale wyłącznie możliwym odwetem pogan, gdyby brak pomocy lub wręcz dokonana krzywda stały się znane. Ze słów rabina Wallasa i jemu podobnych wynika, że gdyby dysponował on pierścieniem Gygesa i mógł działać całkowicie anonimowo i niepostrzeżenie, to nie miałby żadnych oporów, by zabić wszystkich Palestyńczyków.

NIE MA RÓŻNICY

Dokładnie te same tezy znajdują się w książce nieżyjącego rabina Me'ira Kahane, „Tora Króla". Kahane to duchowy mentor najważniejszego przywódcy ruchu Trzeciej Świątyni. Otóż w książce, którą jeden z izraelskich tabloidów nazwał „podręcznikiem żydowskiego terroru", pojawiło się twierdzenie, że piąte przykazanie »Nie zabijaj!« stosuje się jedynie do »Żyda, który zabił Żyda«. Współautorami książki było dwóch innych rabinów, Icchak Szapira i Jozef Elicur, którzy utrzymywali, że należy zabijać dzieci przeciwnika, bo „jest jasne, że gdy dorosną, będą nam szkodzić". Inny rabin, Jozef Mizrachi, na stałe mieszkający w Nowym Jorku, mówił: „Nie miej miłosierdzia dla dzieci. Zabijaj także wszystkie ich dzieci. Dlaczego? Nie ma różnicy między nimi a ich dziećmi. Za 10 lat od teraz te dzieci będą ciebie atakować".

Kanadyjski portal LifeSiteNews.com zauważa, że książka, w której znalazły się te wszystkie tezy, cieszyła się poparciem m.in. rabina Dov Liora, jednego z najważniejszych autorytetów religijnych, uznawanego przez różne odłamy syjonizmu religijnego. Tak się składa, że odwołujące się do jego nauk ugrupowania są częścią koalicji rządowej pod przywództwem Beniamina Netanjahu. Uczniem rabina Liora był żydowski terrorysta Baruch Goldstein, który w 1994 r. zamordował w Hebronie 29 Palestyńczyków. Lior uznał wówczas, że „Goldstein był świętszy niż wszyscy męczennicy Holokaustu". W 2014 r. rabin, nazywany przez wielu prawdziwym „władcą Izraela", wezwał do całkowitego zniszczenia Gazy, łącznie z jej mieszkańcami.

Pomysł, że dzieci są przyszłymi terrorystami, dlatego należy je zabijać na wszelki wypadek od razu, do złudzenia przypomina strategię masowego terroru stosowaną przez bolszewików

Pomysł, że dzieci są przyszłymi terrorystami, dlatego należy je zabijać na wszelki wypadek od razu, do złudzenia przypomina strategię masowego terroru stosowaną przez bolszewików. Podobne było zresztą jej uzasadnienie: nie wystarczy zabić wroga klasowego, trzeba też unieszkodliwić jego potomstwo, bo w przeciwnym razie będzie się ono chciało mścić. O ile jednak komunistyczna moralność słusznie została potępiona i odrzucona, o tyle nauki żydowskich rabinów cieszą się uznaniem. Protesty, jeśli się pojawiają, są szybko tłumione. Tymczasem posługiwanie się kategorią odpowiedzialności zbiorowej, a do tego dokładnie zachęcają niektórzy żydowscy nauczyciele, jest najgorszym i najbardziej niegodziwym przejawem barbarzyńskiej plemienności. Nie chodzi zresztą tylko o rabinów. Jak przypomniał LifeSiteNews.com w 2018 r., kiedy to izraelska armia otworzyła ogień do pokojowej demonstracji w Gazie (od kul snajperów zginęły 183 osoby, 1600 zostało rannych), minister obrony Avigdor Lieberman stwierdził, że „w Gazie nie ma niewinnych".

Inna ważna postać izraelskiej sceny politycznej to Bezalel Smotrich, który był ministrem finansów w rządzie Netanjahu. Według niego Palestyńczycy mają tylko trzy opcje: mogą pozostać na miejscu, ale bez prawa głosu, mogą migrować lub zginąć. Wszystko to wynika, jakby mogło być inaczej, z lektury Pisma Świętego. Ten sam Smotrich, już po ataku Hamasu na Izrael 7 października 2023 r., twierdził, że jest czymś słusznym i właściwym, żeby „zagłodzić na śmierć dwa miliony Palestyńczyków w Gazie. A to nauki Jo'awa Galanta, ministra obrony Izraela: „W Gazie nie będzie elektryczności, żywności, wody, paliwa. Wszystko zostanie zamknięte. Walczymy przeciwko ludzkim zwierzętom i działamy stosownie do tego". To w ogóle fraza, którą wielu żydowskich polityków i rabinów lubi się posługiwać.

Rabin Me'ir Maroz w izraelskiej telewizji Channel 7 mówił tak: „Jeśli oni [mieszkańcy Gazy] byliby ludźmi, to posłalibyśmy im pomoc humanitarną… ale to dotyczy zwierząt". A minister edukacji Izraela, Jo'aw Kisch wtórował w tym samym duchu: „To są zwierzęta, nie mają prawa istnieć. Nie powinno być żadnych granic, co się tyczy odpowiedzi. Mówiłem to milion razy, że zanim nie zobaczymy setek tysięcy uciekających z Gazy, my, IDF, nie osiągnęliśmy celu". Nigdzie nie ma ani słowa o niewinnych ofiarach, o dzieciach czy kobietach. Wskutek moralności wyrastającej z przekonania o metafizycznej różnicy między duszą żydowską i nieżydowską ta pierwsza reprezentuje światłość, ta druga ciemności, wszyscy nie-Żydzi, którzy mogą stanowić zagrożenie dla Izraela, są winni. Niczym w amoku wściekłości i furii najważniejsi izraelscy przywódcy duchowi i polityczni, należący do różnych ugrupowań syjonistycznych i mesjanistycznych, powtarzają jeden i ten sam refren: zabijmy ich wszystkich. „Zburzyć Gazę. Nic innego nas nie usatysfakcjonuje" – to słowa wicemarszałka Knesetu Nisima Vatturiego. „Nie zostawiać tam dzieci, wygnać każdego, kto tam zostaje, tak że nie będą w stanie odbudować niczego".

Ogólnie dla wyznawców tej teorii żaden nie-Żyd na terenie Palestyny, którą uważają za swoją własność, nie może być niewinny, bo gdyby był niewinny, to już by go na tej ziemi nie było, a jeśli jest, to znaczy, że ponosi winę. Co najwyżej jego wina może być chwilowo nieaktywna, ale przecież trzeba się spodziewać, że w sytuacji gdy

eprasa.pl d112db2444

Niedawno do grona zwolenników ostatecznego rozwiązania kwestii palestyńskiej dołączył naczelny rabin Missouri Jeffrey Abraham. Według niego „nie ma niewinnych cywilnych mieszkańców w Gazie"

będzie się chciało go wygnać, będzie się bronił, a więc wina przejdzie z potencji do aktu, używając języka Arystotelesa.

Wielu sądzi, że wybrane tu wypowiedzi to przykłady opisujące działania ekstremistów lub ludzi pod wpływem chwilowych emocji. Jednak to nieprawda. Jest odwrotnie – te nauki cieszą się coraz większą popularnością. Mają też swój bezpośredni wpływ na sposób prowadzenia wojen. Gdyby nie one, izraelscy żołnierze nie prowadziliby tak okrutnej i bezwzględnej kampanii, zabijając na masową skalę cywilów, kobiety, dzieci i starców.

Jak się ocenia, aż 57 proc. spośród ok. 50 tys. śmiertelnych ofiar w okresie od października 2023 do końca 2024 r. to właśnie oni, najsłabsi, niemogący się bronić. Radykalny syjonizm zdobywa coraz więcej zwolenników. Niedawno do grona zwolenników ostatecznego rozwiązania kwestii palestyńskiej dołączył naczelny rabin Missouri, z Saint Louis, Jeffrey Abraham. Według niego „nie ma niewinnych cywilnych mieszkańców w Gazie", „wszyscy ludzie w Gazie są członkami Hamasu". A żeby nikt nie miał wątpliwości, jakie jest jego stanowisko w kwestii tego, czy Arabowie są ludźmi czy nie, wyjaśnił, że mieszkańcy Gazy to „zwierzęta. Kropka".

MILCZENIE ŚWIATA

Żadna z tych wypowiedzi, skrajnie nieludzkich, agresywnych i nienawistnych, nie spotkała się z odpowiednią ripostą. Tak żydowscy rabini, jak politycy powtarzają coraz śmielej najbardziej rasistowskie i poniżające oceny i… nic. Nie słyszałem ani jednego głosu potępienia ze strony tych, którzy jako jedyni mogliby w istotny sposób wpłynąć na zachowanie Żydów, a więc chrześcijańskich syjonistów. Tego typu sformułowania puszczają oni mimo uszu. Nie chcą ich słyszeć, nie chcą widzieć.

Kiedy już któraś z wypowiedzi poruszy na chwilę opinię publiczną, chrześcijańscy syjoniści dbają o to, żeby oburzenie nie było zbyt głośne i nie trwało zbyt długo. Dowodzą, że wezwania do masowego mordowania to wynik starganych nerwów i przesadnej może reakcji na doznane straszliwe krzywdy. Ewentualnie próbują argumentować, że to wypowiedzi wyrwane z kontekstu. W ostateczności, gdy żadna z metod nie skutkuje, po prostu atakują krytyków, zarzucając im antysemityzm. Ani na krok nie odstępują swoich żydowskich partnerów, przekonani, że tego chce Bóg, że wykonują Bożą misję.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

Powyższy tekst to fragment książki „Mesjasz i Trzecia Świątynia. Herezja chrześcijańskiego syjonizmu, jej wyznawcy i ich wojny", która ukazuje się właśnie nakładem wydawnictwa Fronda.

REKLAMA

ODWIEDŹ STRONĘ filmopedia.org
I ODKRYJ MAGIĘ HISTORII POLSKIEGO KINA

Projekt współfinansowany przez Polski Instytut Sztuki Filmowej

POLSKI INSTYTUT SZTUKI FILMOWEJ

eprasa.pl d112db2444

FOT. MIKOŁAJ BUJAK/KRRP

Pierwsza runda Nawrockiego

Łukasz Warzecha

Kontekst, w jakim urzędowanie rozpoczyna Karol Nawrocki, daje mu duże możliwości wyrobienia sobie mocnej pozycji. Wszak jest w tej chwili najmocniejszym instytucjonalnym przedstawicielem opozycji w Polsce. Jednak prawdziwy test nowej prezydentury nadejdzie wraz z – prawdopodobną – zmianą władzy

Dotrzymam zobowiązań wyborczych, które składałem, choć wielu dzisiaj w to wątpi. Ale ja jestem człowiekiem niezłomnym" – oznajmił skromnie, lekko spięty, Andrzej Duda podczas swojego inauguracyjnego orędzia 6 sierpnia 2015 r. Nieco złośliwie można by powiedzieć, że jego ówczesna skłonność do chwalenia się swoimi przymiotami przetrwała 10 lat, bo kończąc sprawowanie urzędu, prezydent był równie z siebie zadowolony co na początku.

Podczas przemówienia 10 lat temu prezydent ani razu nie zwrócił się bezpośrednio do pani premier lub ministrów. Mówił bez kartki, podkreślał potrzebę jedności i zaproponował kilka inicjatyw, które – jak powiedział – mogłyby być realizowane razem z rządem. A rząd – wówczas pod przewodnictwem Ewy Kopacz – momentami nawet klaskał. Ba, na koniec jego członkowie wstali i bili brawo nowo wybranemu prezydentowi na stojąco. Rzecz działa się zaledwie trzy miesiące przed wyborami parlamentarnymi, które pozbawiły władzy Platformę Obywatelską i PSL, a oddały ją w całości PiS.

Orędzie Karola Nawrockiego wydaje się odległe o eony od tamtego sprzed 10 lat. Gdyby sądzić po pierwszych kilkudziesięciu minutach sprawowania urzędu przez obu panów, obecny prezydent czuje się w nowej roli znacznie swobodniej, mimo że nie ma politycznego doświadczenia, które przecież miał Andrzej Duda. Znać jednak, że jesteśmy w kompletnie innym momencie. Karol Nawrocki rozpoczął od ogólnego przypomnienia ataków na siebie w czasie kampanii – spoglądając, jak wiele razy w czasie orędzia, wprost w kierunku ław rządowych – i deklaracji, że te ataki i pogardę po chrześcijańsku wybacza.

O ile Andrzej Duda na początku orędzia mówił o konieczności odbudowania wspólnoty, co się kompletnie nie udało, o tyle Karol Nawrocki inaczej rozłożył akcenty. Zapowiedział mianowicie, że nie będzie decyzji podejmował zgodnie z podziałami partyjnymi. Warto na ten pozorny detal zwrócić uwagę, bo nie oznacza to jedynie, że nowy prezydent deklaruje niezależność od obecnego rządu – była to również wyraźna deklaracja niezależności od partii, która poparła jego kandydaturę.

ZAPOWIEDŹ KONFRONTACJI

Członkowie obecnego rządu również od czasu do czasu bili brawo, lecz także znacznie rzadziej niż Andrzejowi Dudzie,

eprasa.pl d112db2444

bo też – to kolejna ważna różnica – akcentów konfrontacyjnych w wystąpieniu obecnego prezydenta było o wiele więcej niż w orędziu sprzed dekady. Deklaracja dotycząca ustawy o przywróceniu pierwotnego kształtu CPK; deklaracja mówiąca o tym, że Polska ma być w Unii Europejskiej, lecz także ma być Polską, a nie Unią Europejską; zapowiedź niezgody na ograniczanie kompetencji państwa poza ramy traktatów – wszystko to były ciosy wymierzone w rząd obecnej koalicji. Odwołanie do polskich lektur w szkole było wyraźną szpilą wbitą minister Nowackiej. Recenzja dużych projektów rozwojowych – prezydent dokonał ich podziału na zarzucone, opóźnione i poważnie okrojone – to kolejny akcent krytyczny wobec obecnej władzy. „Coś trzeba zmienić" – stwierdził Karol Nawrocki. „Premiera!" – odkrzyknął ktoś z sali.

Prezydent otwarcie zapowiedział konfrontację z rządem na polu, które premier uznaje dzisiaj za podstawową dziedzinę aktywności władzy – w wymiarze sprawiedliwości. W Polsce nie funkcjonuje dzisiaj legalnie wybrany prokurator krajowy – stwierdził Karol Nawrocki, dodając, że sędziowie są jedną z trzech władz, obok wykonawczej i ustawodawczej, a prawo powstaje – mówił – „w tej izbie" i musi zyskać akceptację prezydenta wybranego w wyborach powszechnych, „a sędziowie nie są bogami i mają służyć Polsce i polskim obywatelom". Te słowa były skierowane przeciwko tym przedstawicielom władzy sądowniczej, którzy roszczą sobie pretensje do wchodzenia w kompetencje władzy ustawodawczej, czyli przeciwko upolitycznionej frakcji sędziów aktywistów politycznych, bliskiej ministrowi Waldemarowi Żurkowi, a głoszącej od dawna, że na sali sądowej sędzia ma prawo orzekać bezpośrednio na podstawie konstytucji, tak jak ją sobie zinterpretuje.

Prezydent zwrócił się wprost do ministra Żurka i premiera Tuska, zapowiadając, że nie uzyskają jego nominacji sędziowie godzący w porządek konstytucyjny. Mowa była oczywiście o nominacjach na konkretne stanowiska w systemie sądownictwa (prezydent odpowiada również za nominacje do samego stanu sędziowskiego).

Wreszcie zapowiedział prezydent pracę nad nową konstytucją – wątek nieobecny w orędziu Andrzeja Dudy, choć w sposób dość nieudolny i wręcz kompromitująco nieskuteczny podjęty przez niego w latach 2017–2018. Być może właśnie ta sprawa najlepiej pokazuje, jak bardzo zmienił się czas: to, co było mrzonką siedem lat temu i co spotkało się z oporem PiS (Senat zdominowany wtedy przez tę partię nie zatwierdził wniosku Andrzeja Dudy o referendum konsultacyjne w sprawie nowej konstytucji), teraz może zostać przyjęte z dużo większym entuzjazmem.

Akcent pojednawczy, ale w charakterystycznej dla siebie formie, pozostawił nowy prezydent RP na koniec. Wtedy przytoczył cytaty z ojców polskiej niepodległości, reprezentujących różne nurty polityczne: Romana Dmowskiego, Józefa Piłsudskiego, Wincentego Witosa, Wojciecha Korfantego, Ignacego Daszyńskiego, Ignacego Paderewskiego.

„Niech Bóg błogosławi Polsce! Niech żyje Polska!" – wzniósł na koniec Karol Nawrocki gromki, niemal kibicowski okrzyk, w czym znów odróżnił się od bardzo stonowanego i nieco niepewnego Andrzeja Dudy sprzed 10 lat. W rządowych ławach nastąpił podział. Ich pierwsze rzędy, z premierem i wicepremierami, nie tylko nie wstały, lecz także w ogóle nie klaskały, podobnie zresztą jak posłowie KO obecni na sali. Byli jednak członkowie rządu, którzy zachowali się inaczej, zajmujący miejsca bardziej z tyłu „tramwaju" (jak nazywane są miejsca dla Rady Ministrów).

DUŻE MOŻLIWOŚCI

Stawianie w tym momencie daleko idących tez jest ryzykowne, lecz także coś jednak można wywnioskować, również uwzględniając opisane uderzające różnice pomiędzy dwoma inauguracjami. Różnice uderzające – nawet jeśli wziąć pod uwagę odmienne okoliczności, w jakich zaczynają się te prezydentury. Andrzej Duda zaczynał rządy co prawda jeszcze przy Ewie Kopacz jako szefowej rządu. Był to jednak bardzo krótki czas, a Ewa Kopacz, nominatka Donalda Tuska, była w tamtym momencie premierem całkowicie już bezwładnym, zaangażowanym w nieudolną kampanię wyborczą. Karol Nawrocki natomiast ma naprzeciwko siebie rząd co prawda mocno dysfunkcjonalny z powodu swojego koalicyjnego kształtu, jednak z bardzo doświadczonym premierem Tuskiem na czele i ponaddwuletnim zapasem czasu. Lider KO walczy zaś w dużej mierze o kształt własnego dziedzictwa politycznego i swoją osobistą przyszłość. O ile Karol Nawrocki ma 42 lata i przed sobą co najmniej pięcioletnią kadencję jako głowa państwa, o tyle Donald Tusk ma lat 68 i jest raczej u schyłku kariery, a sprawy nie rozwijają się dla niego pomyślnie, co czyni z niego politycznego kamikaze – a więc przeciwnika naprawdę groźnego.

Paradoksalnie jednak Karol Nawrocki ma dzisiaj przed sobą zadanie łatwiejsze niż miał Andrzej Duda. Rozpoczyna kohabitację z obozem politycznym, którego dominacji tak bardzo obawiała się część wyborców nowego prezydenta, że przy wszystkich zastrzeżeniach gotowa była oddać głos na kandydata PiS, choć samego PiS nie ceni albo nawet nie cierpi. Jasno zarysowane zostały pola konfliktu, a w orędziu prezydent w ogóle nie próbował stylizować się na prezydenta pojednania czy tym bardziej „prezydenta wszystkich Polaków" – choć ukłon w kierunku wyborców Rafała Trzaskowskiego wykonał, dziękując im za udział w głosowaniu. Mając naprzeciwko wręcz wrogi sobie rząd, prezydentowi stosunkowo łatwo będzie się zdefiniować, pokazać stanowczość i determinację. Zagrożeniem jest natomiast, że będzie instytucjonalnie ogrywany z powodu swojego małego politycznego doświadczenia. Będzie oczywiście korzystał z pomocy zespołu, który zbudował sobie w Kancelarii Prezydenta, lecz w części pochodzącej z IPN jest to zespół równie niedoświadczony politycznie co sama głowa państwa, a w części pochodzącej z polityki można mieć wątpliwości, gdzie będzie leżeć lojalność ludzi takich jak szef kancelarii, Zbigniew Bogucki – w Pałacu Prezydenckim czy przy Nowogrodzkiej.

Mimo to kontekst, w jakim swoje urzędowanie rozpoczyna Karol Nawrocki, daje mu duże możliwości wyrobienia sobie mocnej pozycji. Wszak jest w tej chwili najmocniejszym instytucjonalnym przedstawicielem opozycji w Polsce.

Spośród zarysowanych przez niego w orędziu stref starcia najoczywistsza jest ta dotycząca wymiaru sprawiedliwości. Nominacja fanatyka, za którego można uważać Waldemara Żurka, na

eprasa.pl d112db2444

stanowisko ministra sprawiedliwości była przez Donalda Tuska obliczona właśnie na starcie z nowym prezydentem. Zapowiedź niepowoływania sędziów aktywistów do Sądu Najwyższego, Naczelnego Sądu Administracyjnego, Trybunału Konstytucyjnego – to konkretne pole starcia, które dla koalicji będzie problemem. Nominacja otrzymywana od prezydenta wydaje się bowiem warunkiem niezbędnym, aby daną funkcję pełnić, a przecież nie da się prezydenta zmusić do jej wręczenia. Ponadto zapowiedź Karola Nawrockiego jest dla Donalda Tuska wygodna. Tak jak nowy prezydent będzie mógł pokazać swoje zdecydowanie na tle rządu, tak rząd będzie mógł odgrywać własny spektakl konfrontacji z prezydentem, zaspokajając zapotrzebowanie najtwardszej części własnego elektoratu.

Prezydent zapowiedział również, że stworzy radę, której zadaniem będzie znalezienie rozwiązania pata ustrojowego przede wszystkim w wymiarze sprawiedliwości, a to wyłamuje się z tradycyjnego polaryzacyjnego podziału. Ten podział mogą próbować podtrzymywać przedstawiciele KO, odmawiając udziału w radzie, jednak jeśli weszliby do niej przynajmniej przedstawiciele Polski 2050 oraz PSL (Lewica, siedząca już w kieszeni Donalda Tuska, to inna historia), będą na przegranej wizerunkowo pozycji. To oni wówczas w oczach znacznej części wyborców, także własnych, staną się głównym hamulcowym normalizacji. Jedynie frakcja Silnych Razem może być usatysfakcjonowana.

Przedsięwzięcie nie jest jednak pozbawione pułapek czyhających na Karola Nawrockiego. Najważniejszą będzie kwestia oczekiwań zgłaszanych przez PiS, któremu na utrzymaniu duopolu zależy nie mniej niż Koalicji Obywatelskiej. Partia Jarosława Kaczyńskiego, podobnie jak partia Donalda Tuska, nie była entuzjastą kompromisowych propozycji wyjścia z impasu, takich jak reset konstytucyjny. Czy zatem Karol Nawrocki faktycznie w tej kluczowej kwestii będzie prezydentem niepartyjnym? Trzeba poczekać na odpowiedź.

W wielu innych sprawach manewrowanie Pałacu Prezydenckiego będzie prostsze. Przygotowywane tam ustawy będą zapewne w większości odrzucane – chyba że dojdzie tu do jakichś zaskoczeń, wynikających z dalszych pęknięć w koalicji – i toczyć się będzie dość standardowa gra w zrzucanie winy i wzajemne oskarżenia. Gra, którą duża część wyborców Karola Nawrockiego była znudzona, a w której chętnie będą uczestniczyły tylko twarde elektoraty obu największych ugrupowań.

Największym problemem Karola Nawrockiego będzie to, czy objęcie przez niego urzędu faktycznie okaże się początkiem nowej politycznej ery, w której spór nareszcie wyjdzie poza granice dawno zakreślone przez dwóch starszych panów – Tuska i Kaczyńskiego

PRAWDZIWY TEST

Największym problemem nowego prezydenta nie będzie zatem wrogi rząd, otoczenie międzynarodowe czy potencjalne problemy z nieprzemyślanym doborem współpracowników. Największym jego problemem będzie to, czy objęcie przez niego urzędu faktycznie okaże się początkiem nowej politycznej ery, w której spór nareszcie wyjdzie poza granice dawno zakreślone przez dwóch starszych panów – Tuska i Kaczyńskiego. Jak radzi sobie z tym Karol Nawrocki, będzie widać już teraz, choćby właśnie na przykładzie problemów z wymiarem sprawiedliwości. Bo o ile w orędziu nowy prezydent nie powiedział nic kontrowersyjnego z punktu widzenia PiS, o tyle oczekiwanie kierownictwa tej partii jest takie, żeby „nasi" w wymiarze sprawiedliwości znowu wykosili „tamtych" – a to nie jest recepta na trwałą naprawę, tylko na niekończące się błędne koło kolejnych eskalacji.

Jednak prawdziwy test nowej prezydentury nadejdzie wraz ze zmianą władzy, gdy Karol Nawrocki znajdzie się – najprawdopodobniej – w sytuacji przypominającej tę, w której prawie od początku sprawowania urzędu znalazł się Andrzej Duda – i na której poległ, ulegając brutalnemu naciskowi prezesa Kaczyńskiego, przede wszystkim w sprawie nadmiarowych sędziów Trybunału Konstytucyjnego. Przy czym od byłego prezydenta nic w zasadzie nie zależało, gdy idzie o kształt parlamentu po październiku 2015 r. Od Karola Nawrockiego może zależeć wiele. Pamiętając o tym, skąd rekrutowali się jego wyborcy, oraz – jak można było wywnioskować z orędzia – planując zmianę konstytucji do 2030 r., a zatem do końca swojej kadencji, nowy prezydent może się stać brokerem porozumienia między przyszłymi prawicowymi koalicjantami. Aby być brokerem skutecznym, nie może być prezydentem partyjnym. Ba, musiałby bardzo wyraźnie stanąć ponad podziałami na umownej prawicy. Jego dotychczasowa postawa daje taką nadzieję. Wciąż jednak jego urzędowanie przy prawicowym rządzie byłoby wyzwaniem większym niż przy rządzie obecnym. Przed prezydentem z tego samego obozu, nawet mającym kiepskie relacje z popierającą go partią – tak jak to było z Andrzejem Dudą – pojawia się zagrożenie, że stanie się notariuszem i straci polityczną osobowość.

Jest jeszcze jeden ogromny problem, który Karol Nawrocki sam przed sobą postawił: nowa ustawa zasadnicza. Prezydent ma rację, wskazując, że obecna konstytucja pokazała wiele mielizn. Czy jednak da się opracować projekt całkowicie nowy w sytuacji, gdy Polska przeorana jest dokładnie na pół? Przecież konstytucja powinna jednak bazować na choćby najbardziej podstawowym porozumieniu, aby nie zniszczyć już do szczętu i tak nikłego poczucia wspólnoty narodowej. Czy to w ogóle jest możliwe? Czy nie lepiej i bezpieczniej byłoby zredukować ten program do niezbędnego minimum, nie zakładając stworzenia całkowicie nowego projektu, lecz także proponując akceptowalne dla wszystkich lub prawie wszystkich poprawki do obecnej ustawy zasadniczej, klarujące niejasności i likwidujące niedopowiedzenia, ale sam system władzy i fundamenty państwa pozostawić nietknięte?

Paradoksem tej prezydentury jest to, że na razie komfort budowania własnej pozycji i wizerunku zapewni Karolowi Nawrockiemu Donald Tusk, a w niewygodnej sytuacji może postawić go Jarosław Kaczyński.

©℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl d112db2444

Polska epoka karolińska

Piotr Semka

Wszystko zapowiada kolejną zimną wojnę na wzór dawnej pełnej zasadzek politycznej potyczki Donalda Tuska z Lechem Kaczyńskim. Tyle że tym razem Platforma trafia na kogoś o znacznie grubszej skórze

Jeszcze zaświeci słońce na prawicowej uliczce". To powiedzonko w ciągu ostatnich 30 lat krzepiło konserwatywnych wyborców w okresach dekoniunktury. Na tym tle 6 sierpnia – inauguracja prezydentury Karola Nawrockiego – był dniem, w którym słońce świeciło mocno. Dosłownie i w przenośni. Sztab prezydenta elekta zadbał, by wszystko odbyło się w sposób trafiający do serc patriotycznego elektoratu. W przededniu przysięgi w Sejmie Karol Nawrocki pojawił się z rodziną na „Apelu jasnogórskim" w kaplicy Cudownego Obrazu. Od przełożonego generalnego zakonu paulinów, o. Arnolda Chrapkowskiego, otrzymał kopię cudownego obrazu. Nie zawiódł także „prawicowy lud". Tłumy ludzi dosłownie ze wszystkich zakątków Polski szczelnie wypełniły plac przed Sejmem.

Administracja Sejmu nie wykonała żadnego gestu w kierunku przybyszy i nie zamontowała przed Sejmem telebimów, na których można by oglądać moment przysięgi. Ale mimo to marszałek Szymon Hołownia był tego dnia chwalony przez publicystów. Wnikliwy publicysta internetowy Zbigniew Szczęsny najtrafniej opisał ten fenomen: „Prawica powinna zapamiętać rolę, jaką w tym procesie (prowadzącym do zaprzysiężenia prezydenta elekta) odegrał marszałek Szymon Hołownia – postać donkiszoterska, bardzo często wręcz komiczna, ale jednak okazało się, że kluczowa dla ocalenia polskiej demokracji. To ważna lekcja historii, pokazująca na żywym przykładzie, jak trudno jest przewidywać znaczenie jej aktorów, zanim zagrają najważniejszy epizod".

Licznie przybyli pod Sejm wyborcy Nawrockiego chcieli swoją obecnością zamanifestować jeszcze jedno. Protest i niezgodę na wszelkie próby zablokowania nowego prezydenta. Dokładnie w tym samym celu przybyła też specjalna delegacja z Waszyngtonu na czele z wysłanniczką Donalda Trumpa Kelly Loeffler, której towarzyszyło trzech wysokich rangą urzędników departamentu stanu. Było to wyraźne ostrzeżenie Amerykanów przed jakąkolwiek próbą zepsucia zaplanowanego na 6 sierpnia zaprzysiężenia. Demonstracja pomogła. Platformersi nie zdecydowali się na żadne próby zepsucia porządku obrad Zgromadzenia Narodowego. Być może ten ruch Trumpa skłonił nawet Donalda Tuska do uczestniczenia w mało przyjemnej dla niego uroczystości.

Nie obyło się też bez momentów humorystycznych. Takich jak wtedy, gdy posłowie PiS zaczęli skandować w kierunku ław PO hasło „Uśmiechnijcie się, brygada!". Można było tylko zastanawiać się, co zaprząta myśli Jarosława Kaczyńskiego, który także obserwował zaprzysiężenie nowej głowy państwa. Czy był to dla niego moment spełnienia i triumfu czy też chwila przypomnienia, że nowa generacja będzie układać politykę już na swój sposób? Nawet zazwyczaj krytyczna wobec lidera PiS „Rzeczpospolita" skomentowała w tym dniu wielkiego Jarosława jako personifikację „długiego trwania w polskiej polityce". I kreatora aż czterech prezydentów Polski. Od Lecha Wałęsy poprzez Lecha Kaczyńskiego, Andrzeja Dudę aż do Karola Nawrockiego.

NAPRAWDĘ NOWA GENERACJA

O tym, jak bardzo prezydent elekt zapowiada nową epokę, można było wywnioskować z widoku jego nastoletniego syna Antoniego siedzącego za ojcem obok starszego syna Daniela i matki prezydenta. Siedmioletnią Kasię, która w tak pamiętny sposób ukradła show Nawrockiemu w wyborczy wieczór, tym razem na wszelki wypadek zostawiono w domu. Trochę szkoda, bo przypominałoby to, jak bardzo zaprzysiężenie historyka z Gdańska wprowadza nową generację na szczyty polskich elit władzy.

Karol Nawrocki przyszedł na świat raptem dwa lata po wprowadzeniu stanu wojennego. Gdy miał sześć lat – odbyły się wybory kontraktowe w 1989 r. Gdy prezydenturę wygrał Aleksander Kwaśniewski, Nawrocki był w czwartej klasie podstawówki. Ale gdy Andrzej Duda zostawał prezydentem – o czym przypomniał portal 300polityka.pl – Nawrocki miał 32 lata i od dwóch lat był naczelnikiem Oddziałowego Biura Edukacji Publicznej IPN w Gdańsku. A jednocześnie był członkiem Komitetu Budowy Pomnika Danuty Siedzikówny „Inki" i organizował pogrzeb jej i Feliksa Selmanowicza – dwojga bohaterów powojennej konspiracji antykomunistycznej.

Dla gdańskich liberałów widok tego gdańszczanina składającego prezydencką przysięgę musiał być też swoistym memento. Ten sam Gdańsk, w którym otwarto rondo Wolnego Miasta i po którym z okazji świąt jeżdżą repliki przedwojennych

eprasa.pl d112db2444

tramwajów z napisem Danziger Elektrische Strassebahn AG, jednocześnie wydał kogoś, kto reprezentował tradycje niepokornej Federacji Młodzieży Walczącej i dumnych reprezentantów niezgody na Okrągły Stół, takich jak Andrzej i Joanna Gwiazdowie czy śp. Anna Walentynowicz. To ktoś wywodzący się z biednych dzielnic grodu nad Motławą, kto pokazał, jak można wybić się nawet wówczas, gdy trzeba było się przebijać i wyrywać ze środowisk, które dziś wypominane są Nawrockiemu z ogromnym ładunkiem złej woli.

EXPOSÉ BEZ KOMPLEKSÓW

Karol Nawrocki przemawiał bez kartki i naprawdę spore wrażenie robiła jego swoboda retoryczna. Od jego inauguracji w Krakowie w listopadzie 2024 r., gdy niewolniczo trzymał się napisanego tekstu swej inauguracyjnej mowy, dzielą go całe lata świetlne zdobywania politycznego doświadczenia. Mowa prezydencka była głównym politycznym daniem tego dnia. Prezydent rozpoczął od powitania narodu polskiego i podziękowania swoim wyborcom. Ale nie zapomniał też wspomnieć o tych, którzy na niego nie głosowali, ale „uczestniczyli w święcie demokracji". Przypomniał, że zwyciężył wbrew „propagandzie, kłamstwom, wbrew teatrowi politycznemu". Zadeklarował, że wybacza wszystkie te złe rzeczy, które go spotkały. Ale już po chwili przeszedł do politycznej ofensywy.

„Mój wybór to głos, że tak dalej rządzić nie można. To głos Polaków, którzy chcą, aby spełniano obietnice wyborcze". Te wyraźne aluzje do zachowania Donalda Tuska premier przyjmował z ironicznym uśmiechem.

Karol Nawrocki przypomniał swój program 21 haseł i powrócił do postulatu budowy CPK, programu budowy polskich dróg i polskich portów. Złożył zapewnienie, że będzie bronił polskiej złotówki i jednocześnie bronił kraju przed wprowadzeniem waluty euro. Ciekawym wątkiem wystąpienia było przypomnienie, że przez większość ostatnich trzech dekad był daleko od partii politycznych i teraz, po złożeniu przysięgi, też będzie kierował się interesem narodu, a nie racjami partii politycznych.

Nowa głowa państwa bardzo zdecydowanie przypomniała też Donaldowi Tuskowi, że będzie stała na straży prawa. Nawrocki zaznaczył, że nie podpisze żadnej nominacji sędziowskiej bez głębokiego przekonania, iż kandydat będzie bronił przepisów konstytucyjnych.

Wyraźny polityczny charakter miała też pośrednia krytyka poczynań minister Barbary Nowackiej w polskich szkołach. „Będę prezydentem Polski normalnej, z polskimi lekturami, która będzie miała szkoły wychowujące polskich patriotów". W kierunku lewicy wyciągnął rękę w kwestiach zwiększenia liczby mieszkań dostępnych dla młodych małżeństw i obrony obecnego poziomu wieku emerytalnego.

Bardzo ostro zabrzmiały ostrzeżenia wobec sędziów i prokuratorów, że muszą zdać sobie sprawę ze skali łamania zasad praworządności w Polsce. I wreszcie kolejny element programu nowej głowy państwa – zapowiedź stworzenia Rady do spraw Naprawy Ustroju Państwa. Karol Nawrocki zapowiedział, że czas na rozpoczęcie prac nad nową ustawą zasadniczą. Planuje przygotowanie jej na 2030 r. „Niech Bóg błogosławi Polskę, niech żyje Polska" – tymi słowami Nawrocki zakończył swoje exposé.

UŚMIECHY SZYBKO ZGASNĄ

Platforma siliła się na utrzymanie spokojnej i opanowanej miny w dniu przysięgi prezydenckiej. Jednak już Donald Tusk na swój sposób zapowiedział na X epokę nieustępowania Nawrockiemu ani o krok. Jak pisał, „jako premier współpracowałem dotychczas z trzema prezydentami. Z Lechem Kaczyńskim kohabitacja była trudna, ale nie wroga, z Bronisławem Komorowskim przyjazna, ale wymagająca, z Andrzejem Dudą nieskomplikowana i bardzo przewidywalna. Jak będzie z czwartym? Poradzimy sobie".

Co oznacza owo „poradzimy sobie"? Nie wygląda to na język pojednania, choć Nawrocki też nie ułatwia sytuacji,

eprasa.pl d112db2444

Karol Nawrocki składa przysięgę wobec Zgromadzenia Narodowego
FOT. ŁUKASZ BŁASIKIEWICZ/KPRP

opisując Tuska jako najgorszego premiera po 1989 r. Jak groźne memento zabrzmiał na łamach dziennika „Rzeczpospolita" tekst Piotra Szymaniaka głoszący, że zwolennicy tezy o nielegalności wyboru Karola Nawrockiego nie składają broni. „Po tym, jak 1 lipca Sąd Najwyższy stwierdził ważność wyborów prezydenckich, marszałek Sejmu zwołał Zgromadzenie Narodowe celem zaprzysiężenia Karola Nawrockiego na urząd Prezydenta RP. Jednak z uwagi na fakt, że status prawny Izby Kontroli Nadzwyczajnej i Spraw Publicznych SN, jak i legalność powołania połowy jej członków jest kwestionowany, powstaje pytanie, w jaki sposób wpływa to na legalność objęcia mandatu przez Karola Nawrockiego".

Nie zaskoczył też Roman Giertych, który zdążył na platformie X ogłosić: „Decyzja marszałka Sejmu o przystąpieniu do zaprzysiężenia Karola Nawrockiego na prezydenta narusza Konstytucję RP, gdyż nie zakończył się proces wyborczy". Jak widać, Donald Tusk prowadzić będzie podwójną grę. Z jednej strony będzie zarzekał się, że on sam nie przyłącza się do negowania wyników wyborów, ale jednocześnie za propagowanie tej mściwej politycznej legendy nikt nikogo w PO nie będzie karał.

Najbliższe trzy tygodnie przyniosą zapowiedzianą przez nowego prezydenta sesję Rady Gabinetowej, na którą Nawrocki publicznie zaprosił Donalda Tuska z trybuny sejmowej. Głowa państwa zapowiedziała, że chce dowiedzieć się, jak wygląda spis inwestycji rozwojowych i jak wygląda stan finansów. „Jako prezydent chcę mieć pełną informację, jaki jest stan państwa polskiego". W odpowiedzi z szeregów PO już płyną zaczepki. Kamila Gasiuk-Pihowicz tak skomentowała exposé prezydenta: „Żałosny spektakl podskakującego z nogi na nogę Nawrockiego i rozkrzyczanego PiS. Ten człowiek nie widzi prawdziwych zagrożeń. Zero wizji nowoczesnego państwa. Hipokryzja o praworządności konstytucji. Wszystko polane bogoojczyźnianym sosem i na koniec kibolski wrzask". Później kolejny raz zabrał głos sam Donald Tusk: „Nie dziwię się, że PiS-owi zależy na tym, żeby prezydent Nawrocki paraliżował prace prokuratury. Chcę powiedzieć jedno – niedoczekanie wasze".

Nie poczekano nawet jednego dnia dla zachowania kurtuazji i świątecznej atmosfery. Nie obyło się też bez demonstracyjnego afrontu. W trakcie uroczystości inwestytury na Wielkiego Mistrza Orderu Orła Białego i Orderu Odrodzenia Polski na Zamku Królewskim tradycyjne życzenia prezydentowi w imieniu obu izb parlamentu składali jedynie jedyny prawicowy wicemarszałek Sejmu Krzysztof Bosak i w imieniu Senatu – wicemarszałek Michał Kamiński z PSL.

Wszystko to zapowiada kolejną zimną wojnę na wzór dawnej, pełnej zasadzek politycznej potyczki Donalda Tuska z Lechem Kaczyńskim. Tyle że tym razem Platforma trafia na kogoś o znacznie grubszej skórze.

ECHO PO „BOGURODZICY"

Na Zamku Królewskim prezydent Nawrocki w przemówieniu nawiązał do jednej z bojowniczek o polską wolność uhonorowanej Orderem Orła Białego – Karoliny Lanckorońskiej.

– Gdy się zastanawiamy, czym jest patriotyzm, możemy powiedzieć wprost: to umiłowanie ojczyzny. Karolina Lanckorońska poszła dalej i pisała, że patriotyzm to poczucie absolutnej przynależności do wspólnoty narodowej i pierwszeństwo w wykonywaniu obowiązków wobec wspólnoty – mówił.

Późnym popołudniem 6 sierpnia Warszawa była świadkiem jeszcze jednej symbolicznej sceny. Spontaniczny taneczny polonez Polaków z całego kraju, którzy spotkali się na placu Zamkowym, aby powitać prezydenta Nawrockiego w drodze z katedry do Zamku Królewskiego. A w katedrze warszawskiej mury brzmiały jeszcze imponującą „Bogurodzicą" odśpiewaną przez Reprezentacyjny Zespół Artystyczny Wojska Polskiego.

Ten prezydent zyskał ogromny kapitał sympatii i zaufania. Oby gospodarował nim rozważnie i mądrze.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl d112db2444

„Grupa Trzymająca Prawo” w pułapce absurdu

Rafał A. Ziemkiewicz

Zasada „to prawo nie obowiązuje, bo naszym zdaniem uchwalono je w zamiarze obalenia praworządności” jest wzięta z tradycji Lenina i Hitlera. Bolszewicy i naziści działali w logice rewolucji. Tymczasem prawniczy anty-PiS sięga po metody rewolucyjne dla dokonania restauracji porządku, uprzywilejowującego ich, który został przed 10 laty obalony

Nowy trend, a może tylko nowa nazwa: zamiast prawa i „prawa, jak my je rozumiemy” jest prawo „przez małe pe” i takie „przez duże pe” – to drugie oczywiście nadrzędne wobec pierwszego. Tak poinformował sędzia Krystian Markiewicz, były przewodniczący i aktywny działacz stowarzyszenia Iustitia, powołując się na wielki autorytet swego środowiska, prof. Marka Safjana. Powyższy podział nie ma nic wspólnego, wbrew temu, co mógłby sądzić ktoś naiwny, ze starą ideą rozróżnienia „ius” et „lex”, prawa naturalnego, wpisanego w moralny ład natury, i prawa pisanego, z zasady niedoskonałego, usiłującego jak najwierniej przełożyć „ius” na praktykę międzyludzkich stosunków. Nie chodzi też o nową nazwę dla wziętej od Stanisława Ehrlicha doktryny kierowania się w pierwszym rzędzie duchem przed literą prawa, za której wygłoszenie Jarosław Kaczyński był swego czasu przez środowisko Markiewicza i Safjana odsądzany od czci i wiary. Kryterium rozróżniania wielkości „pe” jest jasne – czy to prawo jest nam na rękę, czy nie. Zatem prawem przez małe „pe” są dla Safjana i Markiewicza polska konstytucja i wymienione w niej jako źródła prawa ustawy, rozporządzenia i ratyfikowane przez Sejm umowy międzynarodowe – a prawem przez duże „pe” jest „prawo europejskie”. Co jest prawem europejskim? „Standardy”, „normy cywilizacyjne” i wyroki trybunałów w Strasburgu i Luksemburgu.

Polecam wszystkim fragment wywiadu, z którego mądrości te pochodzą, udzielonego przez Markiewicza Magdalenie Rigamonti dla Onetu – łatwo znaleźć go w Internecie. W 50 sekundach urzędujący sędzia polityk zdołał zmieścić cztery grube absurdy, za które studenta wyrzucono by z kolokwium. Po pierwsze – na terenie Rzeczypospolitej Polskiej żadne prawo nie może być uważane za nadrzędne wobec konstytucji. Po drugie – nie ma czegoś takiego jak „prawo europejskie”. Nie można za nie uznać traktatów unijnych, które regulują działanie Unii i nie dają żadnej z powoływanych w nich instytucji kompetencji tworzenia jakiegoś prawa nadrzędnego nad prawami krajów członkowskich. Nie można także za nie uznać wyroków żadnych trybunałów, bo – absurd trzeci – wyroki sądów są sposobem wykonywania prawa, a nie jego stanowienia. Zresztą nawet gdyby „prawo europejskie” istniało, mogłoby obowiązywać w Polsce tylko po zaimplementowaniu go odpowiednią ustawą lub orzeczeniem Trybunału Konstytucyjnego do prawa polskiego. Gdyby było inaczej, posłowie kilku kolejnych kadencji Sejmu nie musieliby trudzić się uchwalaniem dziesiątek tysięcy stron ustaw implementujących unijne dyrektywy ani Komisja Europejska nie miałaby podstaw do nakładania na Polskę kar za to, że taka czy inna dyrektywa nie została przez nas wdrożona w ustalonym terminie – a skoro je od czasu do czasu nakłada, to trudno o lepszy dowód, że żadne „prawo europejskie” nie podlega zastosowaniu w krajach członkowskich samo z siebie.

Ciekawe swoją drogą, że wśród instytucji „prawa przez duże pe” nie wymienia już Markiewicz Komisji Weneckiej, na którą on sam i jego środowisko powoływali się jako na instancję nadrzędną, kiedy kwestionowała legalność „konwalidowania” przez PiS wyboru pięciu członków Trybunału Konstytucyjnego. Wyjaśnieniem służy zawsze wierny środowisku prof. Wojciech Sadurski na łamach „Gazety Wyborczej”: Komisji Weneckiej o opinie pytać już nie należy, ponieważ „stosuje ona do Polski te same kryteria co do Norwegii czy Niemiec – a więc skonsolidowanych demokracji, mających tylko jakieś problemy w kwestiach marginalnych”.

TRADYCJA LENINA I HITLERA

Mniejsza o to, że obecny rząd nie musi Komisji Weneckiej o nic pytać – wycofanie przez ministra Żurka wniosku do komisji o ocenę iście norymberskiego projektu ustawy represjonującej hurtem jedną trzecią polskich sędziów, napisanej przez jego poprzednika, jest gestem tylko symbolicznym (acz wymownym), bo analogiczny wniosek złożyło też Zgromadzenie Parlamentarne Rady Europy, i sprzeczność projektu z rudymentami

eprasa.pl d112db2444

cywilizowanego prawa ogłosi Komisja i tak. Ale może się ktoś zdziwić, jak „prawo europejskie" może być nadrzędne wobec krajowego, skoro ma być inne wobec np. Polski niż wobec „skonsolidowanej" Norwegii. Otóż cytowany przez Markiewicza Safjan wprowadza – absurd czwarty – nowatorskie kryterium oceny prawa pod kątem subiektywnej oceny intencji ustawodawcy. Prawo uchwalone i wprowadzone w czasie ośmioletnich rządów PiS, owszem, zostało przeprocedowane, podpisane i ogłoszone lege artis, dlatego trzeba je uznać za prawo. Ale przez małe „pe", ponieważ wprowadzili je – jak tłumaczy redaktor Rigamonti sędzia Markiewicz – ludzie dążący do zniszczenia demokracji. Dlatego nie należy go uznawać, w imię „pe" dużego.

Prawnicy mogą wskazać wiele przypadków, gdy po radykalnej zmianie – zastąpieniu rządów totalitarnych demokratycznymi albo odwrotnie – stosuje się prawo minionego ustroju dopóty, dopóki nie zostanie stworzone nowe. Można usunąć poszczególne, szczególnie sprzeczne z nowymi wartościami artykuły, ale korpusu prawa nie da się zmienić z dnia na dzień ani nie da się funkcjonować bez prawa, bo poprzednie było złe, a nowego jeszcze nie napisano. Sądy RFN długo jeszcze organizowane były i orzekały według kodeksów przyjętych przez nazistów, sądy stalinowskie – według przedwojennego prawa polskiego, podobnie w Polsce Niepodległej do pewnego momentu regulowały życie prawa zaborców, każde w strefie dawnego zaboru. Tak kultywuje się ciągłość prawa w krajach cywilizowanych.

Zasada „to prawo nie obowiązuje, bo naszym zdaniem uchwalono je w zamiarze obalenia praworządności" jest wzięta z innej tradycji: Lenina i Hitlera. To ci panowie, nie bawiąc się w mozolne przebudowywanie prawa, oznajmiali krótko: prawo caratu (Republiki Weimarskiej) nie będzie przestrzegane, bo to prawo burżuazyjne (żydowskie) stworzone, by szkodzić klasom pracującym (narodowi), w których imieniu występujemy my!

Jest tylko jedna różnica: bolszewicy i naziści działali w logice rewolucji. Reprezentowali, w swoim przekonaniu, „nowe", które odrzucało i unieważniało wszystko, co było przed nim, także stare normy, zasady i prawa. Tymczasem prawniczy anty-PiS sięga po metody rewolucyjne dla dokonania restauracji porządku, uprzywilejowującego ich, który został przed 10 laty obalony. Co czyni ich zachowanie szczególnie kuriozalnym, obaliła ten porządek, dający im przywileje i władzę, którą chcą odzyskać, nie żadna rewolucja, ale demokracja. Zrobiła to zgodnie z konstytucją i prawem: przeciwnicy Markiewiczów, Żurków i Wawrykiewiczów wygrali wybory, zdobyli większość w obu izbach parlamentu, przegłosowali, prezydent podpisał, rząd wydrukował. W tej sytuacji odwracanie wyroków demokracji w imię wyższościowych uroszczeń mniejszości pod hasłami obrony demokracji, przez odrzucanie legalizmu argumentem „prawa ustanowionego w złej wierze", to bezprecedensowa paranoja.

PRAWNICZE WARCHOLSTWO

Krzysztof Bosak mówił ostatnio o swej rozmowie z wizytującymi Polskę politykami z Zachodu. Byli oni przekonani – można się domyślić, skąd pochodziła ta wiedza – że „neosędziowie" to działacze partyjni PiS, którym jakaś partyjna czerezwyczajka nadała uprawnienia sędziów, i że to jest właśnie problem, z którym mierzy się Polska. Wyjaśnienie, jak jest naprawdę, wprawiło ich w wielkie zdumienie. To istotny element prawniczego warcholstwa – jego liderzy dzięki swym szerokim kontaktom wśród prawników i polityków zachodnich (Safjan był przecież latami polskim sędzią TSUE, nawiasem mówiąc, prawem kaduka przedłużając swą kadencję) upowszechniali paranoicznie odklejony od rzeczywistości obraz rzekomo „niepraworządnej" Polski, dzięki czemu uzyskiwali od nich oświadczenia i rezolucje, za których pomocą z kolei zagrzewali do „walki o praworządność" miejscowych naiwnych, zapewniając ich, że „Europa stoi po naszej stronie".

Rzecz w tym, że po fali takich medialnych oświadczeń przyjść musiało do oficjalnego rozpatrzenia pytań prejudycjalnych czy oficjalnych wniosków do trybunałów, co wymagało już zapoznania się przez odnośne osoby z konkretami. I wtedy zaczęły z Zachodu napływać już nie opinie, a orzeczenia w zupełnie odmiennym duchu. Nie tylko z Komisji Weneckiej. Także z TSUE, który w odpowiedzi na pytania sędziego Tulei orzekł w końcu, że status sędziów rekomendowanych po roku 2017 nie może być podważany, bez względu na wątpliwości do statusu ciała rekomendującego, którym jest KRS. Następnie zaś zmuszona była orzec, że wątpliwości co do konstytucyjności KRS są również bezpodstawne. Co, po latach karania Polski za rzekomo niekonstytucyjny KRS, przyznała ostatnio w oficjalnych dokumentach, powołując się na TSUE, Komisja Europejska.

POWRÓT SITWY

Finalnie więc stan „prawa przez duże pe" jest taki, że w całej rozciągłości potwierdza ono „prawo przez małe pe". TSUE, KE i Komisja Wenecka zgodnie twierdzą, że nie ma w Polsce żadnych „neosędziów" ani „neo-KRS", a w niedawnym wyroku TSUE uznał też prawomocność działań Małgorzaty Manowskiej jako pierwszego prezesa Sądu Najwyższego. Co nie przeszkadza Żurkom, Martyniukom, Zollom czy Sadurskim uporczywie wzywać do „oczyszczenia" sądów z „neosędziów" i siłowego zniszczenia KRS oraz Sądu Najwyższego, w imię orzeczeń organów „prawa europejskiego", choć te w istocie mówią coś dokładnie przeciwnego, niż próbująca wrócić do dawnych przywilejów sitwa wmawia na ich temat sobie i swoim mediom. Po prostu – „prawo przez duże pe" pokazuje się „prawem europejskim, jak my je rozumiemy" czy nawet „jak kiedyś je zrozumieliśmy", a nie jak rozumieją je organa unijne.

Odwracanie wyroków demokracji w imię wyższościowych uroszczeń mniejszości pod hasłami obrony demokracji to bezprecedensowa paranoja

I to jest piąty absurd, tak dojmujący, że na dobrą sprawę kwestię „reform" Bodnara i Żurka oraz krytykujących ich za opieszałość „prawniczych autorytetów" powinno zakończyć wkroczenie pielęgniarzy, którzy całe to towarzystwo zapakowaliby w kaftany bezpieczeństwa i ku powszechnej uldze odwieźli na leczenie.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl d112db2444

Z prof. Zdzisławem Krasnodębskim, socjologiem, byłym wiceprzewodniczącym Parlamentu Europejskiego
rozmawia Ryszard Gromadzki

Krach totalnego liberalizmu

FOT. MICHAŁ WOŹNIAK/EAST NEWS

RYSZARD GROMADZKI: Środowiska konserwatywne w Europie przyjęły zwycięstwo Karola Nawrockiego w wyborach prezydenckich jako znak nadziei, asumpt do powstrzymania liberalno-lewicowego walca, który od dekad przetacza się przez Stary Kontynent. Podziela pan ten optymizm?

PROF. ZDZISŁAW KRASNODĘBSKI: Podzielam nadzieję. Doskonałe orędzie inauguracyjne ją bardzo wzmocniło. Jednak wszystko będzie zależało od tego, jak prezydent Nawrocki będzie sprawował swoją funkcję. Przyszłość jest zawsze otwarta. Sądzę, że będzie to prezydentura ważna nie tylko dla Polski, lecz także dla całej Europy. Dla wielu środowisk prawicowych, a także dla tych nam niesprzyjających zwycięstwo wyborcze Nawrockiego jest potwierdzeniem tezy sformułowanej w 2023 r. przez premiera Węgier Viktora Orbána, który powiedział, że jeśli weźmie się pod uwagę Polskę i jej tradycje, przejęcia władzy przez zmontowaną przez Donalda Tuska koalicję nie można uznać za nic innego jak chwilowy, nieprzyjemny incydent. Sukces Tuska był niespodziewany nawet dla środowisk liberalno-lewicowych w Europie. Wybór Karola Nawrockiego potwierdza, że Polacy są w stanie skorygować swoje błędy, że sposób myślenia o polityce i świecie, który określamy jako konserwatywny, jest u nas dominujący. A także że Polska jest gotowa wrócić do tej roli, której od niej oczekiwano, czyli kraju lidera konserwatywnej zmiany w Europie.

A ten liberalny incydent w Polsce, jak to określił Viktor Orbán, dobiega końca? Prawica jest na drodze do odzyskania pełni władzy?

Myślę, że jest to bardzo realny scenariusz. Wiele zależy od tego, co się wydarzy w ciągu najbliższych dwóch lat. Czy prawica odzyska energię i inwencję programową? Jakie manewry i sztuczki polityczne wykonają jeszcze Donald Tusk i jego ekipa? W 2023 r. Tusk zdołał wygrać wybory tylko dlatego, że przejął w deklaracjach znaczną część postulatów konserwatywnych i programu Prawa i Sprawiedliwości. Na marszach ówczesnej opozycji schowano flagi unijne, a wyciągnięto biało-czerwone. Obiecano strzec granic, zachować uprawnienia socjalne, rozbudować armię, odrzucić nierealistyczne propozycje unijne. Podszywanie się pod hasła patriotyczne i konserwatywne było oczywiście działaniem całkowicie cynicznym. Ten sam manewr próbował powtórzyć w wyborach prezydenckich Rafał Trzaskowski, który zaczął ukrywać swoje lewicowe przekonania i prezentować się jako polityk centrowo-prawicowy.

Symbolem tego kameleonizmu było schowanie pod stolikiem tęczowej chorągiewki, którą przekazał mu podczas jednej z telewizyjnych debat Karol Nawrocki...

Takich działań było znacznie więcej. Choćby odcinanie się od swoich decyzji o zdejmowaniu krzyży w urzędach w War-

eprasa.pl d112db2444

szawie, od swojej polityki personalnej, wspierania skrajnie radykalnych, kulturowo wywrotowych organizacji i środowisk lewicowych itd. Trzaskowski to polityk z lewicowego skrzydła Platformy Obywatelskiej. Tusk reprezentuje cyniczny, bezideowy pragmatyzm, Trzaskowski jest autentycznie liberalno-lewicowy w dzisiejszym sensie. Jednak tym razem, w przeciwieństwie do wyborów parlamentarnych w 2023 r., Polacy nie dali się nabrać. Muszę dodać, że w mojej ocenie światopogląd i działania Tuska to nie żaden liberalizm w klasycznym sensie, lecz degeneracja, złośliwa mutacja liberalizmu – takiego, o którym kiedyś pisali John Rawls czy Friedrich August von Hayek, a o którym dyskutowaliśmy jeszcze na początku lat 90. XX w. W tym ujęciu liberalizm miał tylko obejmować pewne reguły życia publicznego, dopuszczać różnorodność poglądów i idei itd. Dzisiaj jest to bardzo agresywna, antywolnościowa ideologia nadpaństwa europejskiego.

Z zadatkami totalitarnymi?

W sensie narzucania ideologii, która sięga także do życia prywatnego, postuluje kontrolowanie kultury i społeczeństwa w celu ich przebudowy, zakłada centralne sterowanie gospodarką, podważa demokrację, narody, ich suwerenność i granice – na pewno tak. Obecnie już otwarcie kwestionuje się swobodny wybór rządzących przez obywateli, marginalizuje konserwatywną opozycję. U nas jak zwykle odbywa się to najszybciej i najostrzej. Świadczy o tym podważanie wyniku wyborów prezydenckich, czego dotychczas w Polsce nie było, nawet w pierwszych, trudnych latach III RP. Jeśli prawdą jest to, co mówi marszałek Hołownia, a chyba nie ma powodu, żeby w tym wypadku mu nie wierzyć, to przygotowywano się do jawnego pogwałcenia woli wyborców, do zawieszenia demokracji w imię „demokracji liberalnej". Mówiąc o praktyce rządów Tuska, używajmy jednak słowa „liberalizm" w cudzysłowie. Jest to bowiem liberalizm, który „dialektycznie" przeszedł w swoje przeciwieństwo. Nie do końca wiem, jak określić formę rządów, z którą mamy dziś do czynienia w Polsce. Jak nazwać to ograniczanie demokracji w imię demokracji, ostentacyjne naruszanie praworządności w imię praworządności, autorytaryzm legitymizowany ideologią totalnego liberalizmu, którą wyznaje europejski establishment?

W każdym razie jest to na pewno liberalizm wypaczony.

Wypaczony, zdegenerowany, z elementami radykalnej lewicowej ideologii. Dążenie do ograniczenia obywatelom swobodnego wyboru politycznego występuje dziś w wielu krajach „Zachodu". Manifestuje się też w Polsce. Ale tak jak powiedziałem, ponieważ u nas społeczeństwo pozostaje roztropnie konserwatywne, to żeby odnieść sukces wyborczy, wyznawcy tej ideologii i praktyki odwołują się w kampaniach wyborczych do haseł konserwatywnych, do polskiego etosu i tradycji.

Ten kamuflaż zrzuca się natychmiast po zdobyciu władzy, bo nie jest już do niczego potrzebny.

Właśnie. A później mamy taką politykę kulturową i edukacyjną, jaką widzimy, i robi się to, co robiła kiedyś rzekomo prawicowa i postsolidarnościowa partia jak PO, oddając kulturę i edukację w pacht skrajnej lewicy, importując ów zdegenerowany liberalizm i zwalczając polskie etos i tradycję.

Znamienne jest, że w trakcie tego „liberalnego incydentu" w Polsce związanego z rządami ekipy Tuska doszło do istotnego przewartościowania na naszej scenie politycznej. Ściślej: po jej prawej stronie. Mam na myśli sukces Konfederacji, której dziś trudno już przykleić etykietę partii sezonowej.

Trzeba pamiętać, że Konfederacja nie jest jednolita. Są w niej różne tendencje i odłamy. Znamienne, że jej posłowie podzielili się również w Parlamencie Europejskim, wchodząc w skład różnych grup politycznych. To po pierwsze. Po drugie, w czasie ośmiu lat mieliśmy koalicję Zjednoczonej Prawicy, w którym Solidarna…, a później Suwerenna Polska optowała za zwrotem na prawo, a skrzydłem centrowo-liberalnym była partia Gowina. Generalnie rzecz biorąc, po prawej stronie polskiej sceny politycznej zawsze byli ludzie o bardziej technokratycznym podejściu, wyrażający konserwatywne poglądy w umiarkowany sposób, jak dawni gowinowcy. Byli także ci, którzy płynęli w głównym nurcie reprezentowanym przez Prawo i Sprawiedliwość i było wreszcie środowisko pokroju Solidarnej Polski, bardziej radykalne, domagające się np. zdecydowanych kroków w polityce wobec Unii Europejskiej, posługujące się mocniejszą retoryką polityczną. Teraz ten spadek po Solidarnej czy Suwerennej Polsce przejęła Konfederacja.

Przyczyną spektakularnego wzrostu poparcia dla Konfederacji jest to, że do świadomości Polaków dotarło w końcu, że Unia Europejska nie jest wyłącznie krynicą dobrodziejstw, ale też źródłem aberracji i problemów?

Zgadzam się, że nastąpiło wyraźne przesunięcie na prawo w nastrojach społecznych w Polsce. Zmieniło się także nastawienie do Unii Europejskiej. Głosy opowiadające się za zdecydowaną polityką, ostrzejszą retoryką wobec Unii są dziś mocniejsze. Tego rodzaju postawy zaznaczają się w społeczeństwie coraz wyraźniej, szczególnie wśród młodszego pokolenia Polaków. Konfederacja na tym skorzystała. Zdyskontowała też rozbieżności, będące następstwem samej natury rządzenia, które ujawniły się w okresie rządów PiS, rozbieżności między mocną retoryką krytyczną wobec Unii a próbami zawarcia kompromisu, pragmatyzmem.

Można to chyba nazwać pasywną praktyką…

Praktyka ta opierała się na przekonaniu, że z UE można i trzeba się dogadać. Okazało się, że takie podejście – jeśli nie miało oznaczać zupełnej kapitulacji – nie tylko nie doprowadziło do sukcesu w relacjach z Unią, lecz także było jedną z przyczyn porażki wyborczej. Efektem rosnącej sprzeczności między mocnymi słowami i układnymi negocjacjami było zniecierpliwienie, a następnie zmiana nastawienia wielu Polaków do Unii, a także do PiS. Co charakterystyczne, w czasie ostatniej kampanii prezydenckiej nikt już się euroentuzjazmem specjalnie nie popisywał. Nawet Rafał Trzaskowski. Nie wspominając już o germanofilstwie. To pokazuje, jak bardzo Polacy się zmienili.

Czy PiS dostrzegł zmianę, która zaszła w Polakach?

Nie wiem, czy konwencje i inne duże spotkania partyjne są najlepszym miejscem do ekspiacji, szczególnie w tak trudnych czasach, w jakich żyjemy. Jest czymś naturalnym w polityce, że po ośmiu latach rządów następuje pewne zużycie formacji rządzącej, co kończy się przejściem do opozycji. Jednak w Polsce wybory to gra o wszystko. Sprawy są

eprasa.pl d112db2444

dziś na ostrzu noża – waży się przyszłość naszej tożsamości narodowej i suwerenności państwa. Nie czas na wewnętrzne spory. Gdy Roman Giertych, pewnie z poduszczenia Donalda Tuska, podważa wynik wyborów prezydenckich, kiedy prokuratorem generalnym zostaje sędzia Żurek itd., nie czas na roztrząsanie przeszłości. Takie debaty od razu nabierają charakteru personalnego, bo zamiast zastanawiać się na problemem, zaczyna się gra, w której ktoś miałby politycznie zyskać, a ktoś stracić. Mimo to refleksja, o którą pan pyta, moim zdaniem w PiS istnieje. Uczestniczyłem w wielu rozmowach i spotkaniach, w trakcie których dokonuje się bilansu i oceny obecnej sytuacji. Ci, którzy kształtowali naszą politykę między 2015 a 2023 r., przedstawiają argumenty na obronę swoich decyzji. Tłumaczą, dlaczego musieli je podejmować. Inni wskazują na możliwe działania alternatywne. Powinny się z tego zrodzić wnioski na przyszłość. To zadanie także naszych think tanków.

Trzeba dodać, że różnica między Konfederacją a PiS, a wcześniej między Suwerenną Polską a grupą premiera Morawieckiego, nie jest różnicą celów, lecz metod ich osiągania. Forsowanie bardziej stanowczego stanowiska wobec Brukseli było wówczas bardzo niechętnie przyjmowane nie tylko przez ówczesną opozycję, lecz także większość Polaków, którzy mieli jeszcze bardzo dużo złudzeń co do tzw. świata zachodniego, Unii Europejskiej. Także politycy naszego obozu, którzy uważali, że można w ostatnim roku przed wyborami ułożyć się z Komisją Europejską, łudzili się bardzo co do intencji Ursuli von der Leyen.

Teraz wyzbyto się tych złudzeń. KE, uznając, że Tusk „przywrócił praworządność", objawiła swoje prawdziwe oblicze. Polacy jako społeczeństwo patrzą bardziej realistycznie na Unię Europejską, a także na Niemcy, Francję i cały „Zachód". Jest to również efekt pracy uświadamiającej, którą wykonała Zjednoczona Prawica w okresie swych rządów. Przypływ poparcia dla Konfederacji, o którym pan mówi, w mojej ocenie jest to m.in. skutek większego realizmu Polaków w ocenie UE i „Zachodu". Niebagatelne znaczenie ma tu także wzrost zamożności, który niewątpliwie nastąpił w czasie rządów PiS. Spowodował on większą pewność siebie i wzrost politycznych aspiracji polskiego społeczeństwa.

Pozbywamy się w końcu kompleksu niższości.

Oczywiście, że tak. Powiedziałbym, że wychodzimy wreszcie z wieku dziecięcego. Przekonanie, że biurokraci w Brukseli to jacyś nadludzie, którzy zawsze powodują się dobrem ogólnym, a szczególnie dobrem Polski, jest niedorzeczne. To samo dotyczy skupienia uwagi wyłącznie na transferze pieniędzy z Brukseli, z całkowitym pominięciem kosztów, które się z tym łączą. Dziś przynajmniej część polskiego społeczeństwa zajmuje w tych sprawach bardziej racjonalne postawy, zaczęła je trzeźwiej oceniać. Istotne jest jednak to, abyśmy potrafili sformułować program skutecznego działania na przyszłość, w różnych wariantach, żeby ludzie za dwa lata wiedzieli, czego mogą się spodziewać.

Czy pana zdaniem UE może się jeszcze wewnętrznie zreformować na tyle głęboko, żeby być unią wolnych narodów, czy jesteśmy świadkami jej nieodwracalnego upadku?

Wymowne są reakcje na umowę dotyczącą ceł zawartą przez przewodniczącą von der Leyen z prezydentem Trumpem ze strony europejskiej prasy mainstreamowej. Znany mi osobiście wpływowy komentator niemiecki napisał wprost, że to chyba koniec Unii, jaką znamy. Pyta pan, czy możliwa jest przemiana Unii. Oczywiście, że jest możliwa. Tylko potrzebna jest wola polityczna narodów, zmian stosunków władzy. Dotychczasowy układ rządzący Unią już się chwieje. Jeśli większość w Parlamencie Europejskim byłaby konserwatywna, to upadłby kordon sanitarny między tymi, którzy są postponowani jako skrajna prawica czy populiści, a partiami centroprawicowymi. Nie miałyby one wyjścia – albo by się przekształciły i otworzyły na taką współpracę, albo przestałyby się liczyć. Najważniejsza jest zmiana władzy na poziomie państw. Jeśli za dwa–trzy lata prezydentem Francji byłby ktoś o poglądach konserwatywnych, we Włoszech nadal rządziłaby Giorgia Meloni, a w Polsce wróciłaby do władzy prawica, to inna Europa stałaby się faktem.

A w Niemczech do władzy doszłaby AfD...

Jeśli chodzi o AfD, to mam poważne wątpliwości. Mówimy o ruchach narodowych, o odnowie narodowej w państwach Unii. Jeśliby miała to być odnowa narodowa w Niemczech, to wolałbym, żeby pozostała ona umiarkowana, bardzo umiarkowana. Z oczywistych względów. Wszyscy Polacy i wielu Niemców na pewno doskonale rozumieją, co mam na myśli. Ci politycy, którzy takiej odnowy narodowej w Niemczech chcieliby dokonać, musieliby być bardzo odpowiedzialni. Na razie ich nie widzę. A niemieckiego nacjonalizmu Europie i nam na pewno nie potrzeba. Wracając do rzeczywistej reformy Unii – jak powiedziałem wcześniej, to wciąż jest możliwe. Dokonać się może nie przez zmianę traktatów, lecz w wyniku nieplanowanych procesów politycznych i gospodarczych. Już teraz mówi się o różnych formatach, o tym, że coraz większe znaczenia mają relacje z krajami spoza Unii. W jakimś sensie w grze europejskiej jest znowu Wielka Brytania, choć do UE już nie należy. U nas dominuje bardzo czarna wizja postępującej centralizacji Wspólnoty, bo taka właśnie jest logika rozdętej biurokracji unijnej. Ale być może Ursula von der Leyen, tak bardzo obecnie krytykowana, będzie ostatnią przewodniczącą Komisji Europejskiej w jej obecnej postaci. Unijną strukturę można szybko zdemontować i zminimalizować. Jeśli nastąpiłaby odnowa narodowa w kluczowych państwach europejskich, to wtedy nieuchronnie wejdziemy w okres rekonstrukcji, nowej konfiguracji, reformy politycznego kształtu Europy. Te dwie tendencje będą się ze sobą ścierać. Z jednej strony powracająca idea i rzeczywistość „Europy ojczyzn", z drugiej zbiurokratyzowany moloch, dążący do poszerzenia swojej władzy, z natury rzeczy bez demokratycznej legitymacji kosztem narodów państw tworzących Unię – szczególnie tych, których brukselska biurokracja nie zna, nie lubi i nie chce ich poznać, takich jak Polska. Nie wiemy, jaki będzie wynik tego starcia.

Możliwe są różne scenariusze i na każdy z nich musimy być przygotowani. Nie możemy pozostać biernym obserwatorem. Im będziemy silniejsi, tym większy będziemy mieli wpływ na to, że nowe rozdanie kart w Europie, że nowa forma polityczna Europy będzie dla nas bardziej korzystna niż obecna. Przygotowanie nas do tego mentalnie i organizacyjnie to jedno z wielkich zadań, które stają przed prezydentem Karolem Nawrockim.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl d112db2444

Żona w stanie nieważkości

Zuzanna Dąbrowska-Pieczyńska

„Miło, że mąż towarzyszy żonie astronautce" – to zdanie z jednej z internetowych dyskusji dobrze podsumowuje wrażenie, jakie pozostawiła u wielu misja Sławosza Uznańskiego-Wiśniewskiego na Międzynarodowej Stacji Kosmicznej

Ja obserwowałam spotkania młodych ludzi ze Sławoszem Uznańskim-Wiśniewskim, z tym młodym naukowcem. I moja pierwsza myśl po tych ironicznych, takich heheszkach, memach, polska barwa narodowa to nie jest biało-czerwony, to jest żółć. Żółć jest naszą barwą narodową. My jako społeczeństwo nie lubimy ludzi uśmiechniętych, szczęśliwych, ludzi sukcesu. Nie widzę nic złego w tym, że posłanka Uznańska-Wiśniewska chodzi z nim, udziela wywiadów. Oni opowiadają, co zrobić, żeby ta podróż Uznańskiego-Wiśniewskiego, ten lot w kosmos, żeby z tego były naukowe jakieś osiągnięcia – stwierdziła dziennikarka Polskiego Radia Renata Grochal.

W ten sposób autorka „Newsweeka" broniła łódzką poseł KO Aleksandrę Uznańską-Wiśniewską przed falą krytyki. Żona Sławosza Uznańskiego-Wiśniewskiego niemal na każdym kroku towarzyszyła mężowi przed wylotem na Międzynarodową Stację Kosmiczną, a także po powrocie z ISS. – To jest ogromne poruszenie, ogromne emocje. Siła rażenia emocji, której się nie spodziewałam. Kilkadziesiąt minut paraliżu w adrenalinie, które teraz ze mnie tak naprawdę zaczyna schodzić. Teraz czuję już radość, ogromne poruszenie, dumę i świadomość, że być może oto byliśmy świadkami czegoś, co mam nadzieję otworzy nam nowy rozdział w technologicznej historii Polski. To dopiero początek. Mam nadzieję, że Sławosz będzie prometejską iskierką pionierskości, odwagi, pokazywanie tego, że warto mieć pasję i za tymi pasjami podążać – mówiła ze łzami w oczach Uznańska-Wiśniewska, obserwując start misji męża.

Korespondent TVN w USA Marcin Wrona towarzyszył polityk, która żegnała Uznańskiego-Wiśniewskiego z Ziemi. „Pożegnanie przed startem. Astronauci i rodziny. Sławosz wysłał pożegnalnego całusa żonie, która przyszła z dużą biało-czerwoną flagą" – czytamy we wpisie, do którego dołączono fotografię 31-latki. Wśród zdjęć ukazujących początek misji na wielu widać właśnie żonę Uznańskiego-Wiśniewskiego. W białej, imponującej sukni z flagą narodową.

EKSPERTKA PODBOJU KOSMOSU

Od początku misji poseł z Łodzi, uznawana za stronniczkę szefa MSZ Radosława Sikorskiego, na bieżąco relacjonowała obserwatorom swoje poczynania. Start był przekładany kilkukrotnie ze względów technicznych, a więc Uznańska-Wiśniewska krążyła między Polską a USA. „Potwierdzam: wracam właśnie z Przylądku Canaveral do Polski, do czego zobowiązuje mnie mandat poselski i głosowanie wotum jutro. Wieje. Jeśli start misji przesunie się na czwartek, zrobię dużo, by ścigając się z czasem, stawić się w NASA w gotowości wg procedur dla rodziny, zanim mąż wsiądzie do rakiety. Życzcie Polsce i nam powodzenia!" – napisała w serwisie X.

Chętnie odnosiła się do szczegółów misji. – Kapsuła, którą będzie leciał mój mąż, jest nową kapsułą. Jest to pierwsza kapsuła w historii misji AXIOM, która nigdy nie była w Kosmosie, proszę sobie to wyobrazić, jak to jest np. wsiąść do samolotu, który nigdy nie leciał – mówiła.

W czasie misji polskiego astronauty jego żona stała się niemal ekspertem do spraw eksploracji Kosmosu. Wypowiadała się często, wchodząc w buty znawcy. – Sławosz poleciał w Kosmos na rakiecie Falcon 9 firmy SpaceX. Jest to firma amerykańska, która w tym momencie ma praktycznie monopol na rynku amerykańskim, jeżeli chodzi o wynoszenie ludzi na orbitę okołoziemską. Dlaczego to jest ważne z punktu widzenia Europy? Dlatego, bo, kochani, Europejska Agencja Kosmiczna wysyła ludzi w Kosmos na podstawie dwóch sprzętów tak naprawdę. Na podstawie z jednej strony firmy SpaceX i rakiet Falcon 9, pracujących boosterów oraz przy pomocy Roskosmosu, czyli Rosyjskiej Agencji Kosmicznej. I wynoszenie ludzi sojuzami po prostu, czyli rosyjskim sprzętem, z którego korzystaliśmy za czasów ZSRR. Co to oznacza? To oznacza, że Europa jest całkowicie uzależniona od USA i Rosji, ogromnych imperiów […]. Musimy pilnie zainwestować w naszą własną technologię, która w tym momencie, z moich obserwacji, jest kilkanaście do kilkudziesięciu lat do tyłu, po to, żeby nie być całkowicie zależni od innych gospodarek. W tym momencie najbardziej

eprasa.pl d112db2444

zaawansowaną technologicznie firmą europejską, która tworzy rakiety i sprzęt kosmiczny, jest firma Arianespace. To firma francuska, która przez ostatnie 10 lat buduje rakietę Ariane 6, która nie została wystrzelona w Kosmos. Musimy pilnie nadrobić, żeby nie zostać w tyle – zalecała w jednej z rozmów.

Aleksandra Uznańska-Wiśniewska podkreślała, że misja jej męża to „misja wszystkich Polaków". – W szczególności patrzę na aspekt obronności. Mam nadzieję, że wspólnie będziemy w stanie ponadpartyjnie zawalczyć o laboratoria podwójnego zastosowania. Żebyśmy budowali własną niezależność technologiczną. Sławosz staje się symbolem polskiej nauki. Moim zdaniem pojawia się szansa, żeby stworzyć w Polsce hub kosmiczno-wojskowy. Albo się będziemy mądrze zbroić, albo będziemy uzależnieni od innych gospodarek – podkreślała.

Poseł KO przekazywała Polakom informacje z Kosmosu. „Dzwonił. Wszystko dobrze. Pozdrawia Was" – napisała. W TVN24 mówiła, że „nie może się doczekać, aż będzie miała okazję mu przekazać, ile osób mu kibicuje, ile osób go podziwia i ile osób tak naprawdę podróżuje z nim w przestrzeni kosmicznej". – Ja oczywiście nie będę mogła zadzwonić do niego, ale on będzie mógł zadzwonić do mnie i wiem, że jest to dla niego ważne, że w momencie, w którym już jakoś się zadomowi, przejdzie przez tę adaptację organizmu, bo oczywiście on łamie wszelkie tutaj zasady działania homo sapiens, biologii ludzkiej, to być może będzie mógł wykonać kilkunastosekundowy telefon na Ziemię – wskazała poseł Uznańska-Wiśniewska.

KOSMICZNA REWIA MODY

Rakieta firmy Elona Muska wystartował z kosmodromu Cape Canaveral na Florydzie. 25 czerwca Sławosz Uznański-Wiśniewski stał się oficjalnie drugim Polakiem w historii, który poleciał w Kosmos. Poza nim w skład misji Ax-4 weszli: jej dowódca Peggy Whitson z USA, pilot Shubhanshu Shukla z Indii oraz specjalista z Węgier Tibor Kapu. Na Międzynarodowej Stacji Kosmicznej Uznański-Wiśniewski spędził ponad dwa tygodnie, realizując program naukowy. Wśród przeprowadzonych eksperymentów było m.in. „Immune Multiomics" – eksperyment, który skupia się na zro-

Media żyły lotem Polaka w Kosmos, poświęcając równie dużo miejsca mającej ewidentne parcie na szkło Aleksandrze Uznańskiej-Wiśniewskiej, co samemu astronaucie FOT. JULIAN SOJKA/EAST NEWS

eprasa.pl d112db2444

zumieniu, jak długotrwały pobyt w przestrzeni kosmicznej wpływa na stan zdrowia człowieka i jego układ odpornościowy. „LeopardISS" miało sprawdzić działanie sztucznej inteligencji w stanie nieważkości, a „AstroMentalHealth" to badanie, którego celem była weryfikacja wpływu ekstremalnych warunków na zdrowie psychiczne człowieka.

Astronauci wrócili na ziemię 16 lipca. „Lądowanie kapsuły u wybrzeży Kalifornii na bieżąco śledziła jego przebywająca w Houston ukochana. Po niezbędnych procedurach Sławosz poleciał do największego miasta w Teksasie, gdzie w końcu mogli wpaść sobie z Aleksandrą w ramiona. Do sieci trafiły zdjęcia i nagrania ukazujące stęsknioną za sobą, maszerującą po lotnisku parę. Przyodziany w uniform i »hawajski« naszyjnik z biało-czerwonych kwiatów Uznański-Wiśniewski z uśmiechem przywitał się z załogą samolotu. Podobnie jego żona, która tego dnia postawiła na fioletową suknię z wycięciem na wysokości uda. Zakochani weszli razem na pokład statku powietrznego i polecieli do Niemiec. W Kolonii wylądowali o 10.45" – relacjonował serwis plotkarski Pudelek.

Po dotarciu do Kolonii poseł KO miała na sobie już inną kreację. W rozmowie z „Super Expressem" stylizację ocenił ekspert od mody, Daniel Jacob Dali. „Aleksandra Uznańska-Wiśniewska założyła dopasowaną czerwoną sukienkę, w której zadała »kosmicznego szyku«. Żona astronauty dobrała czarne klasyczne szpilki oraz czarną kopertówkę, którą trzymała z ogromnym wdziękiem i klasą. Projekt sukienki był bardzo oryginalny i miał delikatny guzik po lewej stronie ramienia" – zauważył.

W Niemczech Uznański-Wiśniewski wracał do pełnej sprawności, a pod koniec lipca – oczywiście wraz z małżonką – wylądował w Polsce. Powrót pary był szeroko opisywany przez media, także ze względu na kolejną kreację Uznańskiej-Wiśniewskiej. „Po wylądowaniu na wojskowej części Lotniska Chopina odbyło się oficjalne powitanie astronauty, któremu towarzyszyła żona, Aleksandra Uznańska-Wiśniewska. Polityczka wspiera męża od początku, była obecna w USA w momencie startu rakiety, a także później po powrocie na Ziemię. Tym razem zaprezentowała się w czarnym garniturze. Stojąc u boku Sławosza Uznańskiego-Wiśniewskiego podczas konferencji prasowej, nie kryła dumy z męża" – pisała Plejada. W Polsce żona niemal nie odstępowała męża na krok, biorąc wraz z nim udział w konferencjach prasowych, wywiadach i spotkaniach z oficjelami.

Media żyły lotem Polaka w Kosmos, poświęcając równie dużo miejsca mającej ewidentne parcie na szkło Uznańskiej-Wiśniewskiej, co samemu astronaucie. „Ledwie na początku tego roku powiedzieli sobie »tak«, przyjmując nawzajem swoje nazwiska. Ale Aleksandra Uznańska-Wiśniewska nie stoi w cieniu słynnego astronauty – ma na koncie imponującą liczbę własnych dokonań" – przekonywała stacja TVN24.

Jeden z internautów stworzył wątek z internetowych memów, które od początku są tworzone w kontekście polityk z Łodzi. Zasłynęła ona bowiem brzmiącymi mocno fantastycznie historiami na temat swoich działań, np. na terenach objętych wojną: „Pracowałam wiele lat na wojnach, obserwowałam tam negocjacje między warlordami czy watażkami" czy też w regionach, gdzie trwa kryzys migracyjny: „Skoczyliśmy do wody. To była niewielka łódź, widać, że wielokrotnie używana. Na jej pokładzie było ok 40–50 osób. Poszycie uderzyło o skały i łódź zaczęła tonąć, zapadając się do środka. Ponieważ było nas za mało, aby wyławiać pojedynczo ludzi, naszym zadaniem było zanurkować pod łódź, ustabilizować ją od dołu i bezpiecznie doprowadzić do brzegu". We wspomnianym wątku można znaleźć zdjęcia z wklejoną Aleksandrą Uznańską-Wiśniewską i takimi oto podpisami: „Wiśniewska podczas konferencji w Wersalu ustala granice powojennej Europy"; „Aleksandra Wiśniewska zaraz po napisaniu konstytucji USA"; „Aleksandra Wiśniewska doradza gen. Andersowi szturm na Monte Cassino".

POLITYCZNE PLANY?

Szybko zaczęły pojawiać się głosy, że ważna bądź co bądź misja Uznańskiego-Wiśniewskiego została sprowadzona do dwóch kwestii – pierogów, których smak astronauta porównywał na orbicie i w jednej z telewizji śniadaniowych oraz właśnie do medialnej nadaktywności jego żony. Korzyści i szanse płynące z lotu zeszły na dalszy plan. Wielu wręcz obwiniało łódzką poseł o to, że skradła należną mężowi uwagę.

„Ekspozycja żony w mediach była duża. Wypowiadała się na tematy związane z Kosmosem, a nawet jeśli jest inteligenta i mądra, nie jest ekspertem w tej dziedzinie. Dlatego dziś ludzie mający dobre intencje mówią: za każdym sukcesem mężczyzny stoi kobieta, a za każdym sukcesem kobiety stoi mąż. Ale inni szukają dziury w całym, sugerują, że małżonka chce ugrać coś więcej, że przeciska się na pierwszy plan. Nawet jeśli to jest kompletna nieprawda, część ludzi tak uważa" – zauważył sprzyjający obecnej władzy ekspert do spraw wizerunku Mirosław Oczkoś.

Według niektórych Aleksandra Uznańska-Wiśniewska ma ambicje prezydenckie, a lot męża w Kosmos to po prostu jeden z etapów budowania wizerunku

Według niektórych Aleksandra Uznańska-Wiśniewska ma ambicje prezydenckie, a lot męża w Kosmos to po prostu jeden z etapów budowania wizerunku. „To wszystko spekulacje, czemu trudno się dziwić, bo pani Aleksandra mocno się eksponuje. Ale jeśli myślimy logicznie, to nawet w Stanach Zjednoczonych nie udało się kobiecie zostać prezydentką, choć Hillary Clinton była blisko. A w Polsce następuje dziś raczej uwstecznienie progresji, kobiety wciąż muszą być cztery razy lepsze od mężczyzn w polityce, a już kobieta zwierzchnik sił zbrojnych jest czymś nie do pomyślenia dla dużej części prawicowych wyborców. Wszystko to, co teraz się dzieje, daje oczywiście pożywkę dla domysłów, a ona sama wystawia się na strzał. Czy ma jakiś plan, tego nie wiemy" – ocenił Oczkoś.

Domysły podsyciła okładka tygodnika „Polityka". „On przebywa w Kosmosie, ona, z zawodu posłanka, czeka i dopinguje męża na Ziemi. Oboje państwo Uznańscy-Wiśniewscy są przykładem niezwykłych w Polsce, zaplanowanych i przemyślanych karier. Oraz, raczej typowych, zawiści i podejrzeń" – czytamy.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl d112db2444

Prokuratura oskarżyła Marcina Kozę o to, że „sprowadził stan powszechnie niebezpieczny dla życia i zdrowia"
FOT. JAKUB MORKOWSKI/FORUM

Z państwem twarzą w twarz

Radosław Wojtas

Za otwarcie swojego klubu tanecznego w trakcie covidowych obostrzeń Marcinowi Kozie groziło osiem lat pozbawienia wolności. – Nie chciałem być klientem tarczy antykryzysowej, a być raczej tarczą dla rodziny, pracowników i lokalnej społeczności. Nie walczyłem z państwem, ja walczyłem o normalność – wyjaśniał swoje motywy przedsiębiorca. Sąd Okręgowy w Rybniku niedawno go uniewinnił

Niewinny! – ogłosiła Barbara Wajerowska-Oniszczuk, sędzia Sądu Okręgowego w Rybniku, w sprawie przedsiębiorcy Marcina Kozy, po czym musiała przywoływać do porządku zebraną na ogłoszeniu wyroku publiczność, bo sala zareagowała brawami. Ten proces stał się symboliczny dla wielu przedsiębiorców, którzy uważają, że obostrzenia, którymi zostali objęci w czasie pandemii, były niewspółmierne do okoliczności, a przede wszystkim że wprowadzono je bezprawnie. – Czuję, że wygrało prawo, a nie legislacyjny chaos, który obowiązywał w czasie epidemii – mówił po ogłoszeniu wyroku Marcin Koza. – Uważam, że to nie tyle jest moja wygrana, ale wygrana zwykłych, szarych obywateli, którzy zwyczajnie boją się stawać face to face z urzędnikami, boją się, bo uważają, że są na pozycji straconej, okazuje się, że nie – komentował na gorąco.

Marcin Koza stanął przed sądem za to, że na początku 2021 r., kiedy branża rozrywkowa objęta była surowymi obostrzeniami w związku z pandemią COVID-19, kilkukrotnie zorganizował w swoim klubie muzycznym Face2Face imprezy taneczne. Prokuratura oskarżyła Kozę o to, że „sprowadził stan powszechnie niebezpieczny dla życia i zdrowia". Grozi za to do ośmiu lat pozbawienia wolności. Sąd pierwszej instancji uznał jednak, że prokuratura nie obaliła zasady domniemania niewinności i nie udowodniła, że przedsiębiorca rzeczywiście sprowadził tak duże zagrożenie, jakie opisano w akcie oskarżenia. „Czym innym jest prewencja związana z bezpieczeństwem epidemiologicznym i zdrowotnym innych osób, a czym innym wymóg kategorycznego stwierdzenia w myśl art. 5 § 2 Kodeksu karnego, że rzeczywiście w tych dniach oskarżony, działając w opisany sposób, to jest niwecząc skuteczność podjętych środków ochrony – jak pisze prokurator – doprowadził do zagrożenia niebezpieczeństwem łańcuchowego, niekontrolowanego, żywiołowego rozszerzenia się istniejącej już w tym czasie epidemii poprzez zarażenie kolejnej grupy osób" – mówiła w uzasadnieniu ustnym wyroku sędzia Barbara Wajerowska-Oniszczuk. Uniewinniła oskarżonego i obciążyła skarb państwa kosztami jego obrony. Wyrok nie jest prawomocny.

DYSTANS W TAŃCU

Większość z nas już nie pamięta emocji, które towarzyszyły nam w pierwszych miesiącach pandemii, ale warto spróbować je sobie przypomnieć, by zrozumieć, przed jakim dylematem stawali wówczas ludzie prowadzący biznes w branżach, które z dnia na dzień przestawały

eprasa.pl d112db2444

funkcjonować. Marcin Koza wspomina to tak: Jego klub muzyczny jest zamknięty na cztery spusty od 13 marca 2020 r. Miesiące mijają, koszty – wyliczył je na 30 tys. zł miesięcznie – trzeba ponosić, nie widać światełka w tunelu. Zdecydował o wznowieniu działalności wbrew zakazom. – Nie mogliśmy być pewni, kiedy cokolwiek ruszy w naszej branży. W tym czasie moja żona nie pracowała, pomagała mi w prowadzeniu mojej działalności. To było jedno źródło utrzymania. Ten klub był efektem pracy kilkunastu lat, postawiliśmy wszystko na jedną kartę, otwierając tę działalność – mówił w sądzie. – Nie chciałem być klientem tarczy antykryzysowej, a być raczej tarczą dla rodziny, pracowników i lokalnej społeczności.

W styczniu 2021 r. kilkukrotnie zorganizował w swoim klubie imprezy taneczne z udziałem co najmniej 242 osób. Karina Spruś z Prokuratury Okręgowej w Gliwicach wskazywała, że wydarzenia te były organizowane pod pretekstem spotkań członków partii Strajk Przedsiębiorców. – Uczestnicy przed wejściem do klubu wypełniali deklarację przyłączenia do partii oraz oświadczenia uczestnika imprezy, z którego wynikało, że nie są osobami zarażonymi wirusem COVID-19. W mojej ocenie oskarżony działał ze świadomością istniejącego zagrożenia i złamania ograniczeń administracyjnych, czego dowodem jest organizacja imprez pod pozorem spotkań partyjnych – argumentowała. Domagała się kary grzywny.

Marcin Koza bronił się, że był to protest, a nie żaden bal czy impreza. Przeciwko czemu? Przeciwko, jak mówił, miesiącom zamknięcia i ignorowania przez polityków. – Gdy [politycy] zapominali o gastronomii i rozrywce, my – zwykli ludzie – płaciliśmy bezrobociem, długami, depresją – mówił. W tym osobliwym proteście na parkiecie zadbano o… no właśnie – o co? O środki bezpieczeństwa – powiedzą jedni; o pozory – stwierdzą inni. Po wypełnieniu oświadczenia, że nie jest się zakażonym wirusem COVID-19, uczestnicy imprezy odbierali maseczki lub przyłbice, byli zobligowani do utrzymywania co najmniej 1,5 m dystansu, a lokal, w którym był bar, w którym grała muzyka, wyposażono w pojemniki z płynem dezynfekującym. Na imprezie rozdawano ulotki dotyczące niezarejestrowanej jeszcze wówczas partii Strajk Przedsiębiorców.

TWARZĄ W TWARZ

Tak bawiono się w Face2Face dwukrotnie, aż wreszcie, za trzecim razem, 30 stycznia 2021 r., państwo polskie postanowiło zareagować z całą mocą. Po godz. 22 pod dyskotekę podjeżdżają policyjne radiowozy. Blokują ulicę Wiejską w Rybniku, blokują wejście do dyskoteki. Atmosfera się zagęszcza. Niektórzy uczestnicy imprezy, którzy akurat wyszli na zewnątrz, chcą wejść z powrotem do lokalu, inni, przebywający w środku, chcą go opuścić. Rozpoczyna się sekwencja zdarzeń, która w miejskiej pamięci zapisała się jako „Bitwa pod Face2Face". Współwłaścicielka klubu, Sandra Konieczny, relacjonowała je tak: „Weszli [policjanci] do środka siłą, już w kaskach, z pałkami. Funkcjonariusze oznajmili, że decyzją sanepidu zamykają nasz klub. Bez nakazu, bez podania przyczyny, bez pokazania dokumentów. Pytałam policjantów, jak się nazywają i kto im wydaje taki rozkaz. Usłyszałam, że jeden z funkcjonariuszy nazywa się Brzęczyszczykiewicz, a drugi to James Bond i że zamykają lokal".

Niektórzy świadkowie twierdzą, że w lokalu rozpylono gaz. Policja zaprzecza. „Decyzją Państwowego Inspektora Sanitarnego lokal został zamknięty, decyzji nadano rygor natychmiastowej wykonalności. W związku z powyższym policjanci asystowali pracownikom Sanepidu w przekazaniu dokumentu. Następnie mundurowi poinformowali uczestników imprezy o zamknięciu lokalu i konieczności wyjścia z klubu. Część uczestników dobrowolnie opuściła lokal, a część osób nie chciała dostosować się do poleceń stróżów prawa. Na zewnątrz lokalu zebrała się grupa kilkuset osób, wśród których większość była nietrzeźwa i agresywna w stosunku do policjantów" – relacjonuje Komenda Miejska Policji w Rybniku.

– Czuję, że wygrało prawo, a nie legislacyjny chaos, który obowiązywał w czasie epidemii – mówił po ogłoszeniu wyroku Marcin Koza

FOT. LEPSZYRYBNIK.PL

Przed klubem zrobiło się gorąco. „Po opuszczeniu lokalu uczestnicy byli agresywni i atakowali mundurowych niebezpiecznymi przedmiotami" – podaje policja. W ruch poszły pałki, gaz i granaty hukowe. Padły strzały z broni gładkolufowej. Zatrzymano trzech mężczyzn, którzy „w czasie interwencji naruszyli nietykalność cielesną funkcjonariuszy policji".

Zatrzymany został też Marcin Koza, ale dopiero kilka dni później, kiedy przyszedł na komendę policji z nagraniami z „Bitwy pod Face2Face". Mężczyzna złożył zażalenie na działanie policji. – Moje zatrzymanie na komisariacie w momencie, gdy przyniosłem tam dowody w mojej sprawie, było nielegalne i niezasadne. Odebrane zostało mi konstytucyjne prawo do wolności. Byliśmy represjonowani przez policję. Policjanci działali z rozkazu, a nie zgodnie z literą prawa – mówił w kwietniu 2021 r., po korzystnym dla niego orzeczeniu w tej sprawie wydanym przez Sąd Rejonowy w Rybniku.

NADZIEJA DLA INNYCH?

O dużo ważniejszym wyroku z 30 lipca Marcin Koza mówił, że rozstrzyga się nie tylko jego przyszłość, lecz także to, „czy można być ściganym za działanie zgodne z prawem". Ale w ustnym uzasadnieniu sędzia Barbara Wajerowska-Oniszczuk mówiła, że podnoszona przez przedsiębiorcę kwestia wadliwości prawa, na mocy którego nakładano na niego ograniczenia, nie miała dla sądu pierwszoplanowego znaczenia. To prokurator nie potrafił wykazać żadnych „innych szczególnie niebezpiecznych okoliczności" poza stanem epidemii, które mogłyby wypełnić znamiona art. 165 §1 pkt 5 Kodeksu karnego. – Nie wykazano, że oskarżony sprowadził realne niebezpieczeństwo. Dlatego sąd musiał go uniewinnić – mówiła sędzia. Opinie epidemiologiczne nie wykazały, by imprezy w Face2Face w jakikolwiek sposób zwiększyły zachorowalność w Rybniku.

Wyrok nie jest prawomocny. Obrońca Marcina Kozy, mec. Anna Radajewska, powiedziała, że teraz czekają na ruch prokuratury. Zapowiedziała walkę do końca.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

pl d112db2444

Lepiej już było

„Vinci 2", który gości właśnie w kinach, nie jest filmem słabym; jest filmem nijakim. Cały jego urok tkwi w powrocie twarzy, o których mamy miłe wspomnienia z poprzedniego spotkania FOT. MATRIAŁY PRASOWE

Piotr Gociek

„Vinci 2" pokazuje, jak niewiele Machulskiego zostało dziś w Machulskim. Szkoda, bo jest za czym tęsknić

Były czasy, kiedy każdy film Juliusza Machulskiego był wydarzeniem na skalę, jakiej nawet nie są w stanie wyobrazić sobie dzisiejsi bywalcy kin. Na „Vabank" czy „Seksmisję" chodziło się do kina po kilka, kilkanaście razy. Dialogami i grepsami z filmu mówili uczniowie z podstawówek, liceów, studenci, dorośli. Wszyscy. Bo był Machulski w latach 80. XX w. naszym Frankiem Caprą, naszym Stevenem Spielbergiem (porównania do Spielberga były nagminne w prasie PRL tamtych czasów, choć oczywiście baaardzo na wyrost). I co ważniejsze, po 1989 r. okazało się, że wszystkie te uczucia nie były źle ulokowane, że filmy Machulskiego przetrwały próbę czasu, żeśmy je wtedy kochali nie tylko dlatego że nic innego nie było w kinach. Po prostu na to zasługiwały.

A reżyser dołożył do pieca „Kilerem" i jego kontynuacją w latach 90. I znów wybuchła machulskomania, a właściwie kileromania, której efekty widać do dziś choćby w reklamach, bo każdy rozpoznaje teksty, którymi Cezary Pazura reklamuje to czy owo. Popularność pierwszego „Kilera" w Polsce była tak wielka, że zwróciła uwagę Hollywood. Miała powstać wersja amerykańska z Barrym Sonnenfeldem jako reżyserem (był świeżo po sukcesie „Facetów w czerni" oraz z Jimem Carreyem w roli Jurka Kilera), pamiętam, jak Machulski opowiadał o tym bodaj na festiwalu w Gdyni w 1997 r. Ostatecznie nic z tego nie wyszło, lecz cała historia wydarzyła się naprawdę, nie był to wymysł specjalistów od PR.

POCZUCIE WYŻSZOŚCI

Dziś nowy film Machulskiego, czyli „Vinci 2", jest wydarzeniem jedynie dla tych, którzy uważają, że pierwszy „Vinci" był dziełem wybitnym i nie mogli się doczekać jego kontynuacji. Nie był, na

eprasa.pl d112db2444

kontynuację nie czekałem. Komedia „Vinci" była produkcją sprawną, w dobrej obsadzie, wszelako pozostaje w głębokim cieniu obu „Vabanków", lecz także zapomnianych dziś nieco, mniej popularnych i udanych (były też inne, nieudane) filmów Machulskiego, jak, powiedzmy, „Superprodukcja" czy nawet „Deja vu". Nie dziwię się więc, że Machulski miał kłopoty z zebraniem funduszy na „Vinci 2". – Okazuje się, że ten sam reżyser, ci sami aktorzy dla komisji ekspertów z PISF nie byli wystarczającą rękojmią, że druga część się uda – narzekał w rozmowie z „Gazetą Krakowską". – Musiałem przekonać kilku prywatnych inwestorów, żeby się dołożyli. Jak już skończyliśmy zdjęcia, to PISF też się dołożył.

Nie pierwszy to raz, kiedy nawet zaprzyjaźniony, znaczy kierowany przez właściwych, znaczy czerskolubnych ekspertów PISF ma wątpliwości co do pomysłów idoli salonu. Pamiętam, jak na podobne kłopoty skarżył się Jerzy Stuhr, gdy Instytut nie chciał przez pewien czas dać mu pieniędzy na film „Obywatel". Kto miał nieszczęście oglądać tę przerażająco słabą i pretensjonalną produkcję, ten wie, że szkoda było na to pieniędzy. Kto śledził medialne doniesienia, ten wie, że ostatecznie kasa do Stuhra trafiła.

Skręcam w politykę, bo uważam, że właśnie w tym tkwi przyczyna niemocy twórczej Juliusza Machulskiego, która trwa już ponad dwie dekady. Nie jest to przyczyna jedyna. I nie chodzi o to, że się w politykę Machulski czynnie angażuje, jest raczej typowym przedstawicielem salonów III RP przekonanych, że szacunek i uznanie (oraz dotacje PISF) należą im się w sposób równie naturalny, jak Adamowi Michnikowi hegemonia w szeregach inżynierów dusz wykuwających nowego Polaka po 1989 r. Natomiast z niektórych jego późnych dokonań emanuje owo doskonale znane z „Wyborczej" czy TVN poczucie wyższości warszawskich elit, głęboko pogardzających tubylczą ludnością „tego kraju".

Żeby nie być gołosłownym: w „Vincim 2" arcymistrz złodziejskiego fachu Robert Cumiński „Cuma" (Robert Więckiewicz) mówi: „Jestem normalny, bo nie mieszkam w tym kraju". Można traktować to zdanie tylko jako puszczenie oczka do widza – sam Machulski wszak wyprowadził się do Hiszpanii, tak samo jak Cuma, lecz moim zdaniem problem jest jednak głębszy. Cofnijmy się o ponad dwie dekady. Tak naprawdę pierwszą wielką porażką Juliusza Machulskiego jako reżysera był film „Pieniądze to nie wszystko" (2001). Nie da się go oglądać bez poczucia zażenowania; co gorsza, już gdy trafiał do kin, wywoływał podobne uczucia. Była to bowiem prymitywna satyra na tych Polaków, których nie da się zakwalifikować do grona młodych wykształconych i z wielkich miast. Lud polski, wedle Machulskiego, to ciemniaki, które tylko piją, lecz także przy pomocy jaśnie pana z miasta mogą trochę się wydźwignąć z błota. Niewiele, i tylko w branży produkcji jaboli.

Pierwszą wielką porażką Juliusza Machulskiego jako reżysera był film „Pieniądze to nie wszystko"

Wspomnijmy o kontekście historycznym, bo bez niego nie zrozumiemy następnego żenującego tytułu w dorobku Machulskiego, to znaczy spektaklu Teatru TV „19. Południk" (2003). W owym czasie to nie Jarosław Kaczyński był czarnym ludem warszawskich salonów. Grozę budził przede wszystkim Andrzej Lepper, którego Samoobrona rosła w siłę w sondażach. Kilka miesięcy po grudniowej premierze „19. Południka" Donald Tusk mówił: „Platforma albo Samoobrona – taka jest dziś prawdziwa alternatywa. Jeśli Lepper zdobędzie 30 proc. głosów, a głosy jego przeciwników się rozproszą, to Lepper wygra". Lepperem straszono przez wiele lat, a Machulski przejął się tym tak bardzo, że nakręcił komedię o tym, jak ciemni Polacy odrzucili członkostwo w Unii Europejskiej, a na prezydenta wybrali lepperopodobnego Bartłomieja Czopa (Andrzej Grabowski), który zaprowadził dyktaturę (ciemniaków oraz realną).

NA LINII OGNIA

Pomiędzy tymi dwoma słabiutkimi propozycjami (czyli między „Pieniądze to nie wszystko" oraz „19. Południkiem") zdołał Juliusz Machulski nakręcić jeden ze swych lepszych filmów, i chyba jedyny oprócz „Vinciego" powyżej średniej, „Superprodukcję". Niedoceniona po premierze ostra satyra na polskie środowisko filmowców przez jednych była krytykowana, przez innych przemilczana. Po latach broni się wyśmienicie, bo podobnie jak obie części „Kilera" pokazuje absurdy pierwszej dekady budowy III RP, owo przekonanie, że z jednej strony „my już som Amerykany", a z drugiej – że każdy przekręt przejdzie.

Machulski dostał jednak za „Superprodukcję" po łapkach i najwyraźniej postanowił zejść z linii ognia, wracając do tego, od czego zaczynał: czegoś, co Anglosasi nazywają „heist movie", czyli kryminalnej komedii o przekręcie i sympatycznych przekręciarzach. „Vinci" był kasowym sukcesem, głównie dzięki trafionej obsadzie, bo gdy dziś wracamy do tej komedii, to widać, że dobrych dialogów jest w niej dużo mniej, niż nam się wydawało.

Potem był zjazd. Bardzo przeciętny film „Ile waży koń trojański?" (2008), równie nijaka komedia wampiryczna „Kołysanka" (2010), mocno nieudana (i bardzo wtórna) „Ambassada" (2013). Wreszcie kolejny komediowy kryminał, czyli „Volta", w którym znów – na swoje nieszczęście – Machulski spróbował połączyć intrygę kryminalną z politycznymi mądrościami, nie wykraczając poza poziom wstępniaków do „Wyborczej" (i to raczej wydań lokalnych). Koncepcja przedstawienia wojny domowej w Hiszpanii „na wesoło" dowodziła, że choć Machuski wiele opowiada o historii, to wrażliwości historycznej u niego brak. Ponadto pamiętam, jak w wywiadzie dla „Rzeczpospolitej" opowiadał mi, że marzy o nakręceniu poważnego, komercyjnego filmu o Powstaniu Warszawskim. Być może gdyby ktoś mu zaufał, losy jego kariery potoczyłyby się inaczej.

REŻ. JULIUSZ MACHULSKI „VINCI 2" POLSKA 2025

Rok 2020 to „Mały zgon" (mało kto w ogóle pamięta, że taki serial powstał, co jest jego najtrafniejszą recenzją), gdzie Machulski już dzielił się reżyserią części odcinków z Filipem Syczyńskim i Maciejem Kawalskim. Dziś 70-letni reżyser przedstawia nam komedię „Vinci 2", a ja zastanawiam

eprasa.pl d112db2444

Czy komedia „Vinci 2" to pożegnanie Machulskiego z reżyserskim fachem?
FOT. MATERIAŁY PRASOWE

się, czy przypadkiem nie będzie to jego pożegnanie z reżyserskim fachem. Bo właściwie co jeszcze miałby nam nowego i ciekawego zaoferować? Przez 20 lat nie dał rady. Czy mamy nagle liczyć na jego trzecią młodość?

„Vinci 2", który gości właśnie w polskich kinach, nie jest filmem słabym; jest filmem nijakim. Cały jego urok tkwi w powrocie twarzy, o których mamy miłe wspomnienia z poprzedniego spotkania. Coś jak pogawędka na weselu z kuzynem, którego pamiętamy z poprzedniego wesela: też były kawa, sernik i całkiem sympatycznie się rozmawiało. Jednak „całkiem sympatycznie" to za mało w przypadku człowieka, który nakręcił „Seksmisję", „Vabank" czy „Kingsajz". Żarty o granatnikach wybuchających w gabinetach policyjnych oficerów nie przystoją autorowi kultowych odzywek z dawnych hitów.

A przecież swojej umiejętności wytrawnego gawędziarza Machulski nie zatracił. Jego autobiografię „Hitman", wydaną w roku 2012, czyta się znakomicie, byle drobiazg z przeszłości okazuje się intrygującą przygodą. Dobrze wypadają wydane w ostatnich latach powieści kryminalne Machulskiego – „Wisząca małpa" i „Nikczemny narrator". (Trochę podobnie do Janusza Majewskiego u schyłku życia, reżyser coraz więcej czasu spędza na pisaniu prozy, a nie scenariuszy). Jednak wciąż kocha kino, czego dowodzi jego najnowsza książka, wywiad rzeka „3174 filmy mojego życia" (2025). Tyle że nadal niewiele rozumie, jeśli idzie o współczesną Polskę i dzisiejsze aspiracje Polaków, zainfekowany ideologią pogardzających „tymkrajem". Czego z kolei dowodzi jego atak na Pawła Kukiza – niepotrzebny i spóźniony o kilka dekad, bo sprawa dotyczy „Girl Guide", filmu z roku 1995. Czemu dziś? Może wciąż Machulski nie może wybaczyć Kukizowi głosowania razem z PiS, czyli grzechu śmiertelnego – przynajmniej w oczach salonu. Czuje się więc w obowiązku, by mu dołożyć.

Juliusz Machulski, którego pamiętam z młodości, to był gość, który kręcił świetne filmy

No i Machulski mówi na antenie Eski Rock: „Z Pawłem Kukizem było dziwnie. On miał jakieś problemy, wynikające z tego, że strasznie mu zależało, a nie radził sobie z warsztatem. Tak mi się wydaje. Zagrał jak trzeba, lecz także jak mi mówisz, z kim miałem problem, to było właśnie to". Cóż, wystarczy sięgnąć do wypowiedzi Machulskiego z 1995 r., by znaleźć zdania: „W filmie występują aktorzy niezawodowi, ale obyci z publicznością. Wykorzystaliśmy ich autentyczność, starając się zanadto nie przeszkadzać i nie zawiedliśmy się". Nie składa się, prawda?

A sam Kukiz ripostował: „Panie Machulski… »Kukiz nie radził sobie«… Ale dostał główną nagrodę i za film, i za rolę [Złote Lwy w Gdyni i nagroda za debiut aktorski dla Kukiza – przyp. P.G.]. Pan nie może ani dobrze, ani źle wspominać Pańskiej ze mną współpracy, bo w ciągu całego okresu powstawania filmu Pana nie było". I dalej: „Pan praktycznie nie reżyserował tego filmu (sam Pan o tym wspomina w wywiadzie), ale podpisał Pan się pod nim i wziął zań nagrodę". No i na koniec: „Co do stwierdzenia Pana Machulskiego »Kukiza grupa krwi to nie moja grupa« to absolutna zgoda".

WAŻNA LEKCJA

Kulturalna arystokracja III RP, samozwańczy właściciele wszelkich salonów i bardzo jednostronni dystrybutorzy prestiżu – zwijmy sobie, jak chcemy, warstwę panującą, z której pochodzi Juliusz Machulski. Ten dzisiejszy, bo tamten, którego pamiętam z młodości, to był gość, który kręcił świetne filmy. Do dziś pamiętam przedpremierowy pokaz „Seksmisji" w dusznej salce wrocławskiego centrum studenckiego Pałacyk, salwy śmiechu i podziw: To można u nas kręcić tak sprawne kino? I opowiadałem potem z wypiekami na twarzy o scenie ze słowami: „Kierunek wschód. Tam musi być jakaś cywilizacja". Ale nikt mi nie wierzył. Dlaczego?

„Na początku cenzura przegapiła – mówi Juliusz Machulski w wywiadzie dla »Gazety Krakowskiej« z początku lipca tego roku. – Dopiero na premierze ktoś się zorientował, że widownia zbyt żywiołowo się śmieje przy tej kwestii […].

Do wszystkich kin w Polsce poszły radiotelegramy z precyzyjnymi wskazówkami, jaki kawałek wyciąć. Szczerze mówiąc, niespodziewanie sprawnie to zrobili". – opowiada Machulski.

No właśnie. A ja, na pokazie przedpremierowym, widziałem, co widziałem, i słyszałem, co słyszałem. Tak „Seksmisja" stała się ważną lekcją dla mojego politycznego dojrzewania; miałem wtedy niespełna 15 lat. „W wolnej Polsce te słowa wróciły, filmowy Maks wypowiada je zza kadru, już bez obrazu wyciętego" – puentuje Machulski. Słowa wróciły. A czy wróci kiedyś ten stary dobry Machulski? Wszyscy znamy odpowiedź na to pytanie.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl d112db2444

Jagna na gnoju

Kadr z filmowej adaptacji „Chłopów" z 1973 r. FOT. POLFILM/EAST NEWS

Krzysztof Masłoń

Jak pamiętamy, to Kuba Sienkiewicz do wtóru Elektrycznych Gitar opowiadał o tym, jak w życiu swoim bywał nie tylko na wsi i w mieście, a nawet w Budapeszcie, ale i na kupie gnoju. Nie był pierwszy, na kupie gnoju właśnie opuszczała rodzinną wiochę Jagna Paczesiówna, prekursorka rustykalnego feminizmu, jedna z najważniejszych postaci „Chłopów" Władysława Stanisława Reymonta, o zgrozo – noblisty.

Sto jeden lat temu literackiego Nobla otrzymał ten czeladnik krawiecki, niedoszły zakonnik i aktor, alkoholik, a co najgorsze – przyjaciel największego wroga ludzkości, Romana Dmowskiego, za „Chłopów" właśnie, uznanych za „wybitny epos narodowy". Takie to były czasy, że Noblem, jak miało się okazać – najważniejszą pisarską nagrodą, honorowano nazistę Knuta Hamsuna, piewcę kolonializmu Rudyarda Kiplinga, pupila hitlerowców – Gerharta Hauptmanna, że i pierwszego polskiego noblisty – Henryka Sienkiewicza – nie wypada w tym towarzystwie pominąć. Musiało wiele lat upłynąć, zanim skandynawscy akademicy dostrzegać zaczęli dzieła naprawdę wybitne i nagradzać tak niedościgłych mistrzów słowa jak Dario Fo, Elfriede Jelinek czy Olga Tokarczuk. Nasza zapyziała oświata pozostaje jednak ślepa i głucha na literacką rzeczywistość i mimo usilnych starań obecnej, jakże postępowej minister edukacji wciąż zmusza naszą biedną młodzież do czytania, obok „Bogurodzicy", Reymontowych „Chłopów", zamiast wymienić tę endecką Biblię na wartościowe, i to ze wszech miar, „Księgi Jakubowe".

Na domiar złego poloniści starej daty furt ględzą o sklerotyku Borynie i jego przywiązaniu do ziemi, zamiast skupić się na Jagnie, która na własnej skórze przekonała się, że w tym naszym Priwislanskim Kraju nie tylko w domach z betonu, lecz także w krytych strzechą chatach o wolnej miłości nie ma co marzyć. Ale, trzeba przyznać, się starała. Trudno uznać ją wprawdzie za polską Aleksandrę Kołłontaj, niemniej na sztandary Strajku Kobiet nadaje się jak najbardziej.

Zachwycała urodą: „Wypasiona kiej jałowica, biała na gębie, a ślepie to ma rychtyk jak te lnowe kwiatki… a mocna, że i niejeden chłop jej nie uradzi…", a miała taką przypadłość, „że niech kto a ostro spojrzy na nią albo i ściśnie mocno… to się w niej wszystko trzęsie, moc ją odchodzi i tak mdli w dołku, że już o niczym nie wie… co ona winowata?". Nie potrafiono tego pojąć i odsądzano ją od czci i wiary, nazywając włókiem i tłukiem sobaczym, wywłoką i lakudrą.

Stary Boryna, jej mąż – niestety, nie był dla niej odpowiednim partnerem, a co gorsze – po pierwszym okresie zauroczenia młodą żoną zaczął od niej wymagać spełniania obowiązków i małżeńskich, i gospodarczych. Doświadczona Jagustynka pouczała ją wtedy: „[…] pozwól chłopu panować nad sobą, to się wnet do bicia weźmie i nie wiada, na czym skończy! A najpierwsze – zniżyła głos i do ucha jej szeptała – odstaw go kiej tego ciołka od krowy, nie przypuszczaj do siebie ani na zdziebko, jak tego psa przed progiem trzymaj! Wnet zobaczysz, jak zmięknie i jak się udobrzy!".

Na to jednak brakowało Jagnie cierpliwości, pocieszała się więc z Borynowym synem, Antkiem, traf chciał, że żonatym i dzieciatym. Ale było im ze sobą znakomicie:

„– O Jezu… bo zamrę… o Jezu!

– We świecie jedyna…

– Jantoś! Jantoś!".

Rozmaite życiowe perturbacje sprawiły, że pomniejsze związki uczuciowe połączyły ją również a to z niejakim Mateuszem, to znów wójtem, czy w końcu z młodziutkim synem organisty, kształcącym się na księdza Jasiem. Ten początkowo czytał jej fragmenty „Pana Tadeusza", którego Jagna, może i nieco naiwna, może i analfabetka, jakże trafnie potrafiła zanalizować: „– Przeciek i dziecko wie, co w borach rosną drzewa, w rzekach jest woda i sieją po polach, to po co ta drukować o tym wszystkim?". I kontynuowała wywód: „– Mnie to się jeno spodobają takie historie o królach, o smokach albo i o strachach, co to jak się o nich słucha, to jaże mrówki człowieka obłażą i jakby zarzewia nasuł do piersi". Czas przyznać miał rację Jagnie z domu Pacześ i dziś nasi milusińscy rozczytują się w opowieściach o smokach i południcach, a z literackiej klasyki są w stanie strawić jedynie Tolkiena z jego krasnoludami i hobbitami.

Lektura 13-zgłoskowego tasiemca Adama Mickiewicza znudziła się wreszcie i Jagnie, i Jasiowi, co bardzo nie spodobało się mamusi kleryka i podjudziła wieś przeciw jawnogrzesznicy. Pojazdem, którym feministka opuściła rodzinne Lipce, był „wóz, nałożony świńskim nawozem po wręby desek i zaprzężony we dwie czarne krowy, rzucili ją na gnój związaną niczym barana i ruszyli wśród piekielnego zamętu; urągliwe wyzwiska, śmiechy i przekleństwa posypały się na nią kiej grad po stokroć zabijający".

Przerażający jest ten Reymontowski obraz wsi polskiej, w której Żydów wyzywa się od parchów i żółtków, Niemców od pludrów i świńskich pociotków, katabas jest alfą i omegą, a wódka remedium na wszystkie bolączki, jako że „kogo woda zbawi, to zbawi, a gorzałka każdego na nogi postawi". Doprawdy nie ma najmniejszego powodu, by tym ciągnącym się niczym smród po gaciach powieścidłem karmić kolejne młode pokolenie. Tak że „Chłopi" – won! ©℗

eprasa.pl d112db2444

Jest u nas trybuna w Warszawie

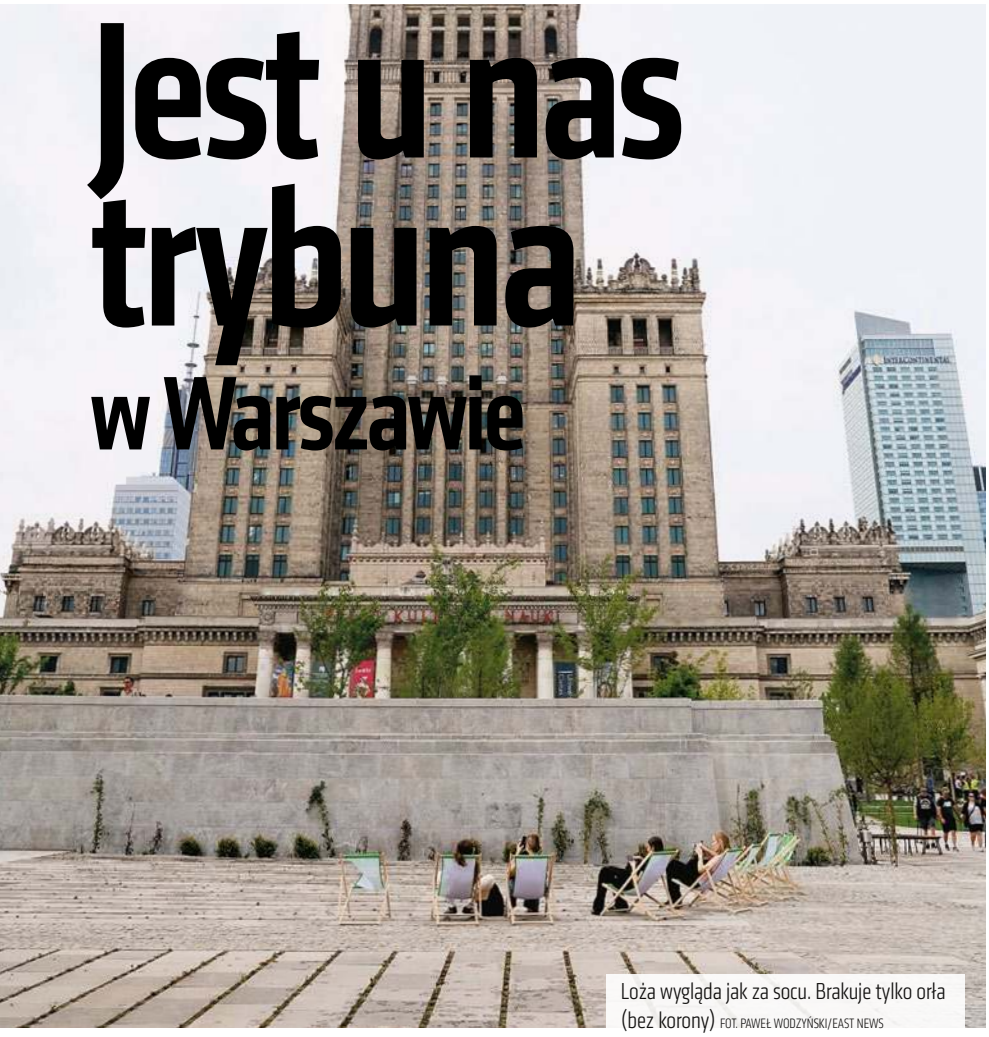

Loża wygląda jak za socu. Brakuje tylko orła (bez korony) FOT. PAWEŁ WODZYŃSKI/EAST NEWS

Monika Małkowska

Czy na pewno potrzebna nam była replika „trybuny Gomułki" obecnie zwana „trybuną warszawską"? Trybunokloc jest właściwie po nic. Sprawdziłam, jak funkcjonuje: jako tło do zdjęć. Ścianka za 3,5 mln? Trochę drogo. Ale kto zabroni bogatemu?

Naprawdę trudno w to uwierzyć – postawiono ją na nowo, ku pamięci przesuwających się u jej stóp pochodów i tych, którzy ludowi z niej machali. Trybuna honorowa znów stoi! Zdemontowana w 2024 r., wraz z przebudową placu Defilad obecnie nazwanego Centralnym, odrodziła się na nowo jak Feniks z… kamieni. Za projekt repliki odpowiada międzynarodowa pracownia Architekci A-A Collective. Zamysł i zarys rekonstrukcji powstały w 2018 r. Finalnie zrealizowano je wiosną tego roku. Nowa loża kosztowała 3,5 mln zł, choć początkowo budżet opiewał „tylko" na 2,8 mln. Ma służyć celom „widokowym" oraz fotkom z gatunku „tu byłem", co sugeruje ustawiony u jej podnóża ażurowy napis WARSZAWA.

MIEJSCE DO MACHANIA

Trybuna honorowa na placu Defilad kojarzy się wszystkim, którym przyszło świadomie żyć w PRL, jako wizualny symbol socsystemu. Powstała w połowie lat 50., za czasów prezydentury Bolesława Bieruta, w centralnej części największego podówczas placu w Europie. Front „ambony" okrywała jasna kamienna okładzina. Pośrodku, tuż przy górnej krawędzi, umieszczono godło Polski: płaskorzeźbę orła, oczywiście bez korony. O tym, co mieściło się pod podestem, wiedzieli tylko wybrańcy. Nie tak dawno odkryto przestronne podziemne pomieszczenia – pokoje, łazienki, sale konferencyjne – o ścianach wyłożonych kafelkami, marmurem i lustrami, gdzie komunistyczni dygnitarze potajemnie naradzali się, posilali, relaksowali. Czy istniało sekretne przejście pomiędzy KC PZPR a podziemiem trybuny, nie ustalono.

Za to dobrze znane jest to, co każdy mógł oglądać na żywo, na zdjęciach lub w telewizji. Przed podium, podczas narodowych świąt, paradowali w równym szyku przedstawiciele różnych zawodów, szkół i warszawskich dzielnic. „Oto idzie Wola, Ochota już przeszła" – relacjonowali sprawozdawcy z pochodów pierwszomajowych – a oni, nasi przywódcy, stali tam i machali łapkami maszerującym. Uśmiechy trzymali na wodzy (nienaganny stan uzębienia nie należał jeszcze do „must-have" partyjnych przywódców), jednak zachowywali pogodny wyraz twarzy. Czasem z wyżyn trybuny przemawiali komunistyczni przywódcy. Przełomową mowę wygłosił podczas słynnego „odwilżowego" wiecu PZPR Władysław Gomułka 24 października 1956 r., oznajmiając kres stalinizmu i początek reform zmierzających do demokratyzacji ustroju. Zebrany na placu tłum – niemały, liczący 300–400 tys. – entuzjastycznie wyraził poparcie dla zapowiedzianych zmian, czego wyrazem było chóralne, spontaniczne odśpiewanie „Sto lat" towarzyszowi „Wiesławowi".

WIDOK Z TRYBUNY

Mamy zatem reminiscencję „serca" PRL, dla większego efektu obłożonego prawdziwą okładziną z fasady starej trybuny. Od frontu, z dalszej perspektywy czy z bliska, loża wygląda jak za socu. Brakuje tylko orła (bez korony), który wyleciał, bo jego dziejowa rola dobiegła końca. Jednak gdy spojrzeć na konstrukcję od tyłu, to zupełnie inne wrażenie: ciężki, geometryczny masyw zamienia się w lekki układ schodów. Widać krzewy, trawy i inne rośliny wyrastające z niewidocznych od przodu donic. A z górnego podestu to ho, ho! Mamy taras widokowy wychodzący na Marszałkowską, na ciąg pawilonów handlowych, czyli dawną Ścianę Wschodnią.

eprasa.pl d112db2444

Chyba mało kto pamięta, że był to pierwszy powojenny wielofunkcyjny kompleks wielkomiejskiej zabudowy, którego budowę rozpoczęto w 1960 r. Miał być antytezą socrealizmu: obiekty dopasowane do skali centrum stolicy, zarazem do skali człowieka. Przeciwieństwo PKiN i MDM. Ten urbanistyczny majstersztyk zaprojektował Zbigniew Karpiński z zespołem tuż po odwilży. Trzykondygnacyjne, modernistyczne pawilony jeszcze się ostały, choć kilka obiektów (bar Zodiak, rotunda PKO) zdemontowano. Domy handlowe nadal pełnią swe funkcje, choć z „ekskluzywnych" (na socmiarę) zamieniły się w królestwo tandety i dyskontów. Dziś z perspektywy zrekonstruowanej trybuny mamy widok na logotypy sieciówek, z dominantą HalfPrice i TK Maxx na czele.

DOCHODOWE TWARZE

Ech, łza się w oku kręci – kiedyś nie reklamy, lecz „dzieła malarskie" zdobiły fasady Domów Handlowych Wars i Sawa. No, nie permanentnie, tylko na święta państwowe. Monstrualnych rozmiarów podobizny wodzów – na całą wysokość i szerokość budynku – wykonywane były techniką tzw. wcierki. Przekopiowane ze zdjęć i wielokrotnie powiększone fragmenty fizjonomii ojców komunizmu oraz przywódców narodu wykonywano w częściach, jak jakieś abstrakcyjne kompozycje. Albo jak puzzle. Tu prawe oko, tu nos, tam czoło, broda, ucho…

Były elementy łatwiejsze i wymagające większej maestrii. Czaszka Cyrankiewicza to było długo, długo nic i ewentualnie lekkie przyciemnienia dla zaznaczenia wypukłości wysokiego czoła. Każdy chciał dostać ten fragment. U Gomułki zoom na bliki w okularach. Oczy mniej istotne – dla otrzaskanych z warsztatem artystów też proste zadanie. Za to Gierkowej fryzurze trzeba było poświęcić nieco uwagi, żeby nie przypominała ryżowej szczoty. Wszystko to malowało się na płóciennych płachtach przy pomocy szerokich pędzli ławkowców, a do rozjaśniania posługiwano się gąbkami, co dawało efekt cieniowania (stąd nazwa wcierki).

Dopiero po scaleniu wszystkich kawałków powstawał realistyczny portret tego czy innego przywódcy. Którego? Zależało od biegu historii. Długo w murowany skład wchodzili Marks, Lenin i… ten trzeci. Kiedy z reprezentacyjnego zestawu „wypadł" Bierut, jasne było, że skończyła się jego epoka. Gdy Gomułkę zastąpił Gierek, też był to jasny przekaz przekierunkowania ideowego wektora.

Takie malarskie chałtury były ekstrapłatne – za kilka dni mozołu można było zaoszczędzić na malucha lub wpłatę na mieszkanie z pracownią. Toteż gdy ogłaszano – potajemnie, żeby nie zbiegły się wszystkie „uzdolnione plastycznie" głodomory – nabór do takiej fuchy, akcja przypominała walkę o ogień.

ZIELONE SERCE STOLICY

Czy na pewno potrzebna nam była replika „trybuny Gomułki" obecnie zwana „trybuną warszawską"? Długo dyskutowano ten pomysł, a wątpliwości wyrażali nawet publicyści „Gazety Wyborczej". Jednak uznano, że kamienna bryła, onegdaj kojarząca się z dominacją (wizualną) komuny, zmieni ideowe przeznaczenie i stanie się proekologiczna oraz widokowa. I rzekłeś! Rozległa zabetonowana przestrzeń przeszła metamorfozę i wybuchła zielenią. Oficjalne otwarcie placu Centralnego wraz z neotrybuną odbyło się 4 czerwca tego roku. Prezydent Warszawy zabrał głos: „Plac Centralny, mam nadzieję, będzie zielonym sercem Warszawy; będzie miejscem, gdzie warszawianki i warszawiacy będą się mogli spotykać oraz dyskutować. Oczywiście zapraszamy tutaj wszystkich, którzy z całej Polski przyjeżdżają do Warszawy. To miejsce pięknieje, ponieważ kontynuujemy kolejne inwestycje w ramach projektu Nowe Centrum Warszawy".

Mówiąc o „zielonym sercu stolicy", Rafał Trzaskowski miał na myśli rozliczne nasadzenia, w tym ponad 100 drzew, które rzeczywiście umilają spacer po placu i „zmiękczają" surowe kształty wzniesionych tu budowli. Chodzi mi o lśniący bielą budynek Muzeum Sztuki Nowoczesnej, zbliżoną doń w formie, obłożoną umytym piaskowcem, trybunę i powstający vis-à-vis teatr TR (na razie w budowie). Ta triada ascetycznych „leżących" graniastosłupów ma zrównoważyć pionową, „barokową" dominantę, czyli PKiN. Nikt go już nie ruszy, wpisany jest na listę zabytków. Nigdy nie optowałam za zburzeniem Pałacu im. Józefa Stalina (znowu sentymenty, w dzieciństwie/młodości uczęszczałam na pływalnię i zajęcia plastyczne w Pałacu Młodzieży; potem długo współpracowałam z Galerią Studio założoną przez Józefa Szajnę wraz z teatrem Studio). Jednak trybuna honorowa to nie to samo, co wniebostrzelna wielofunkcyjna wieżyca, mniejsza, że dar od braci ze Wschodu. PKiN ma wciąż sens i służy, natomiast trybunokloc jest właściwie po nic. Sprawdziłam, jak funkcjonuje: jako tło do zdjęć. Ścianka za 3,5 mln? Trochę drogo. Ale kto zabroni bogatemu?

KTO KOCHA WOLNOŚĆ

Od strony Alei Jerozolimskich, pod murem trybuny, zauważyłam kilka zniczy. Nad nimi wyryto napis: „Ja, zwykły szary człowiek". To upamiętnienie samospalenia dokonanego przez Piotra Szczęsnego jesienią 2017 r. Powodem tej autoagresji miało być łamanie wolności obywatelskich przez PiS-owskie władze, co gorliwie nagłośniły media wówczas opozycyjnego nurtu. Zanim desperat oblał się substancją łatwopalną i podpalił, puścił z głośnika utwór Chłopców z Placu Broni „Kocham wolność" i rozrzucił ulotki zawierające 15-punktowy protest. Tym gestem Piotr S. nawiązał do wydarzenia z 1968 r., kiedy to Ryszard Siwiec podpalił się podczas uroczystości dożynkowych na Stadionie Dziesięciolecia, sprzeciwiając się inwazji wojsk Układu Warszawskiego na Czechosłowację.

Zastanawiające, że skoro już postawiono replikę komunistycznej „loży honorowej", to nie przywołano innego wydarzenia, o wiele bardziej brzemiennego w skutki w ogólnopolskiej – ba! – międzynarodowej skali. 14 czerwca 1987 r. Jan Paweł II zakończył swoją trzecią pielgrzymkę do ojczyzny Mszą Świętą odprawioną na placu Defilad – pod trybuną właśnie. Papież celowo wybrał lokalizację, która od czasów Stalina miała unaoczniać „prymat nauki nad religią". Atmosfera w kraju była wówczas napięta: entuzjazm solidarnościowego zrywu (organizację zdelegalizowano, choć półjawnie działała) dawno opadł, powiększał się kryzys gospodarczy, półki w sklepach świeciły pustkami. Generałowi Jaruzelskiemu zależało na uspokojeniu nastrojów i „normalizacji stosunków" z opozycją, w czym, jak sądził, pomocna będzie papieska pielgrzymka. Jak wiadomo, stało się inaczej i trzecia podróż apostolska przyspieszyła ustrojowe zmiany. Ale ten fakt pominęli rekonstruktorzy kloca. Z pamiątkowych foci też to wydarzenie nie wybrzmi.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl d112db2444

FOT. MATERIAŁY PRASOWE

PIOTR GOCIEK

OGLĄDANIE NA ŻĄDANIE

prime video

NATO na lato

★★★★☆☆

REŻ. ILYA NAISHULLER „SOJUSZNICY" („THE HEADS OF STATE") USA 2025

wyst. Idris Elba, John Cena, Jack Quaid

Komedia akcji „Sojusznicy" ćwierć wieku temu byłaby zapewne hitem kinowym, a w obsadzie widzielibyśmy może Arnolda Schwarzeneggera, może Harrisona Forda albo Eddiego Murphy'ego. Tamte czasy jednak minęły i dziś bezpretensjonalna, zabawna i prozachodnia produkcja święci triumfy w streamingu. Świeżo upieczony prezydent USA, dobroduszny i nieco naiwny były aktor kina akcji (John Cena) zderza się tu ze zmęczonym (szósty rok u władzy), rozczarowanym i nieco cynicznym premierem Wielkiej Brytanii (Idris Elba). Panowie czują do siebie instynktowną niechęć, ale gdy rosyjski handlarz bronią zestrzeli ich samolot, będą musieli nauczyć się współpracować.

Fabuła wymaga od widza mocnego zawieszenia niewiary. Politycy podróżują do Triestu przez Warszawę, zestrzeleni zostają nad bardzo sielankową Białorusią, a ratunek znajdą w tajnej bazie CIA pod mostem Gdańskim, tyle tylko że polską stolicę udaje Belgrad. Bazą kieruje oficer grany przez Jacka Quaida, który kradnie show, gdy tylko scenariusz daje mu trochę więcej okazji, by zabłysnąć. Ale cały film opiera się na charyzmie Ceny i Elby, którzy kłócą się ze sobą nieustannie, ale w dobrej sprawie. „Sojusznicy" to bowiem film, który przypomina widzowi, że NATO jest OK, że współpraca Ameryki i Wielkiej Brytanii to podstawa sukcesu, a Polska, jako kraj frontowy, zasługuje nie tylko na uwagę, lecz także podziw – a nawet na hollywoodzkiego gwiazdora nowej generacji w roli szefa placówki CIA.

Oprócz Rosjan w roli czarnego charakteru obsadzono przebiegłą panią wiceprezydent USA – ciekawe, co na to Kamala Harris – a żeby było bardziej absurdalnie, to krwiożerczego Rosjanina zagrał Brytyjczyk Paddy Considine. Przede wszystkim jednak „Sojusznicy" to wakacyjna rozrywka na poziomie niedostępnym rozmaitym marvelopodobnym produktom, które obecnie trafiają do kin. Warto zwrócić uwagę na dopieszczoną warstwę wizualną, nikt tu nie odpuszcza, lokacje wyglądają niczym w opowieściach o Bondzie, trzeba docenić pracę kamery w scenach akcji. Nie powinno nas to dziwić, reżyserem jest twórca takich filmów jak „Harcore Henry" czy „Nobody" (najlepszy, obok „Johna Wicka", film akcji ostatniej dekady). Żeby było ciekawiej – Rosjanin. ©℗

GRA TYGODNIA: „WUCHANG: FALLEN FEATHERS"

Soulslike w klimacie Państwa Środka, osadzony w alternatywnej rzeczywistości, w krainie Shu, dotkniętej licznymi nieszczęściami. Nie dość, że wyniszczonej przez wojny domowe, to jeszcze nękanej przez potworne istoty. Jako wojowniczka Wuchang mierzymy się z niebezpieczeństwem, a przy okazji próbujemy odkryć własną przeszłość, bo protagonistka cierpi na amnezję. Zgrana to opowieść, podana w formie, która niczym szczególnym też się nie wyróżnia. Soulslike'owy średniak.

FOT. MATERIAŁY PRASOWE

★★★★☆☆

Ale dość rozsądnie wyceniony i do ogrania w Game Passie. ©℗

Radosław Wojtas

- ***Gatunek:*** *RPG, TPP*
- ***Platforma:*** *PS5, XSX, PC*
- ***Producent, dystrybutor:*** *Leenzee; 505 Games*

eprasa.pl d112db2444

Alpy, mój dom

KINO

Lód się topi, świat truchleje. Paul Auster, Marguerite Duras, Peter Handke, Alejandro Jodorowsky i Tadeusz Konwicki w pewnym momencie życia doszli do przekonania, że nikt nie zekranizuje ich twórczości lepiej niż oni sami. Teraz do grona literatów reżyserów dołączył Paolo Cognetti. Zachęcony sukcesem „Ośmiu gór" stanął za kamerą, by przekonać ostatnich wątpiących, że powyżej 2 tys. metrów człowiek staje się nadczłowiekiem. Polski tytuł sugeruje, że obcujemy z sequelem, ale to raczej 75-minutowy aneks. Autor rezygnuje z awatara oraz plejady na wpół fikcyjnych postaci. Zrzuca maskę, wychodzi na środek sceny i mówi: „Patrzcie, jaki jestem wspaniały".

Cognetti, niczym syn marnotrawny, po dłuższej nieobecności wraca do miejsc, w których zostawił serce. Z rozkoszą patrzy, jak z nadejściem wiosny przyroda budzi się do życia. Zdobywa majestatyczne szczyty, trawersuje lodowiec, brodzi w górskim jeziorze, zagląda do opuszczonych budynków, w których niegdyś warzono sery. Stałym towarzyszem tych wypraw jest pies Laki, okazjonalnymi – podobni pisarzowi entuzjaści. Cognetti prowokuje ich do zwierzeń, by uzyskać rozpisaną na chór apoteozę prostego życia na odludziu, wypełnionego codzienną krzątaniną i pracą zgoła nie umysłową. Wieczorami, gdy ogień buzuje w kominku, można napić się wina, złapać za gitarę i wspólnie roztrząsać kwestie związane z onomastyką i etymologią (ku zdumieniu Włochów masyw Monte Rosa nie ma nic wspólnego z różem, za to sporo z lodem).

Zawinione przez człowieka zmiany klimatyczne tudzież dewastację planety Cognetti i spółka przyjmują z filozoficznym spokojem. Wierzą, że matka natura straci w końcu cierpliwość i ludzkości się pozbędzie. Być może ocaleje garstka najbardziej świadomych i zaradnych. W rozmowie z nepalskim kucharzem pojawia się wątek Mount Everest, jednak „Kwiat ośmiu gór" jest przede wszystkim reklamą Alp Pennińskich, wegetarianizmu i jogi. Przymykając oczy na nijaką dramaturgię oraz narcyzm autora, można się jednak tym filmem zachwycić. Wystarczy skoncentrować uwagę na zapierających dech w piersiach widokach. Spoiler: najlepsze kadry Cognetti zachował na sam koniec. ©℗

Wiesław Chełminiak

★★★☆☆☆

REŻ. PAOLO COGNETTI
„KWIAT OŚMIU GÓR" („FIORE MIO")
WŁOCHY/BELGIA 2024

wyst. Paolo Cognetti, Remigio Vicquery, Marta Squinobal

LORETTA W OPAŁACH

max

Od „Poszukiwaczy zaginionej Arki" do „Zaginionego miasta" wiedzie droga prosta jak strzelił, nie licząc przystanku pod nazwą „Miłość, szmaragd i krokodyl". Film, nakręcony podczas pandemii, jest rozbrajająco głupiutki. Bracia Nee stanęli do boju z odsłoniętą przyłbicą. Elektorat zmęczony upałem, pracą, rodziną, polityką, odchudzaniem, ewentualnie ratowaniem zdrowia łaknie bezpretensjonalnej rozrywki. Dlatego bohaterka w obsypanej brokatem kiecce i butach na wysokich obcasach przemierza dżunglę w asyście cierpiącego na wodowstręt osiłka. Zanim okaże się, że Alan nie jest bezdennym idiotą, a Loretta skończoną zołzą, czeka ich przygód wiele. ©℗

★★★☆☆☆

REŻ. AARON NEE, ADAM NEE
„ZAGINIONE MIASTO" („THE LOST CITY")
USA 2022

wyst. Sandra Bullock, Channing Tatum, Daniel Radcliffe

RADOSŁAW WOJTAS

DO ZOBACZENIA

Koleją przez II RP

Dworce budowane w okresie międzywojennym nie były zwykłymi elementami infrastruktury kolejowej, miały do spełnienia misję propagandową, były znakiem odradzającego się państwa, jego (i miast) wizytówką, dworcowa architektura miała integrować kulturowo zjednoczone na nowo ziemie znajdujące się latami pod trzema różnymi zaborami. W poszukiwaniu idealnej formy inspirowano się wcześniejszymi nurtami, formami polskiego renesansu, baroku, klasycyzmu. Na początku II RP dworce często przyjmowały formy zbliżone do dworu szlacheckiego, z czasem poddały się modzie, skręcając w kierunku modernizmu.

Wystawa „Architektura dworców kolejowych 1918–1939", składająca się z archiwalnych fotografii, planów architektonicznych, makiet oraz elementów multimedialnych, ilustruje ewolucję dworców kolejowych II RP. Od arcypolskiego dworku szlacheckiego ku modernizmowi, nowemu modelowi polskiego patriotyzmu. ©℗

FOT. BIBLIOTEKA NARODOWA

GDZIE? ***Stacja Muzeum, Warszawa***
KIEDY? ***do końca 2025 r.***

eprasa.pl d112db2444

MOJA PÓŁKA

Zza krat cuchnęło mordem

KRZYSZTOF MASŁOŃ

Wznowienie „Na stracenie", najważniejszej – obok „Twarzą do ściany" – książki Janusza Krasińskiego, zasługuje na uwagę ze względu na dołączony do niej szkic Agaty Kłopotowskiej (autorki wydanej w 2021 r. monografii „Żyć dla pisania prawdy. O twórczości literackiej Janusza Krasińskiego").To pozycja wyjątkowa. Nie znajdziemy bowiem w całej literaturze polskiej – powiada Kłopotowska – „równie doskonałego pod względem artystycznym oraz równie poruszającego i kompleksowego świadectwa o stalinowskim terrorze w powojennej Polsce, o jego zaślepionych oprawcach i ofiarach stawiających opór".

Janusz Krasiński (1928–2012) w swoim opus magnum, którym jest jego pentalogia („Na stracenie", „Twarzą do ściany", „Niemoc", „Przed agonią", „Przemoc"), opowiedział dramatyczną historię swego życia, na które cieniem położył się wyrok 15 lat więzienia, na jaki skazał go za rzekome szpiegostwo w 1948 r. Wojskowy Sąd Rejonowy. Nie miał jeszcze 20 lat, za sobą piekło obozów w Auschwitz, gdzie zginęła jego matka, i Dachau, przed sobą dziewięć lat pobytu w katowniach więzienia Informacji Wojskowej, więzienia na Rakowieckiej, zakładów karnych w Rawiczu i we Wronkach. Na swobodę (nie na wolność, co podkreślał jeden ze współwięźniów) wyszedł w maju 1956 r. na mocy amnestii. Ale – co mówił mi z goryczą w wywiadzie, który przeprowadziłem z nim w 2000 r. – „szpiegiem – ujętym i skazanym – wymienianym w tajnych drukach MSW, zaopatrzonym w aparat fotograficzny i bardzo szczegółową instrukcję nakazującą mi rozpracowanie: lotnictwa, marynarki wojennej, gospodarki oraz partii politycznych, byłem aż do roku 1998. Dopiero w tym roku uniewinniony zostałem przez Izbę Wojskową Sądu Najwyższego".

Absurdalność zarzutów, przypisywanie Krasińskiemu związków z amerykańskim wywiadem i antykomunistyczną emigracją wywołuje szok. O winie oskarżonego świadczyć miały takie dowody jak np. fotografia, którą zrobił dziewczynie na tle mostu. A śledczy, namawiając go do podpisania zeznań, dobrotliwie tłumaczył: „[…] działałeś z pobudek czysto ideowych, co stawia cię w znacznie korzystniejszym świetle. Twoją bezinteresowność… sąd z pewnością weźmie ją pod uwagę. Nie będę ci już mówił o współpracy z Niemcami. Należałeś do Armii Krajowej i łatwo byłoby ci ją przypisać. Nie podlegałbyś wtedy amnestii. Ale byłeś jeszcze dzieckiem i nie mogłeś wiedzieć o tajnych konszachtach tej reakcyjnej organizacji z hitlerowskim okupantem. Naprawdę nie masz krzywdy". W końcu mógł dostać czapę... A tak pozostawała wiara: w Boga, ale i w coś jeszcze. „[…] niech będzie wojna! Wielka antybolszewicka wojna! Ta obłąkańcza myśl zrodzona z beznadziei i rozpaczy miała mu towarzyszyć przez wiele lat. I było mu z nią znacznie lżej" – pisał w powieści „Na stracenie".

Powieść ta ma nie tylko wymiar osobisty. Pisarz podjął bowiem – jak pisze Kłopotowska – „świadomą decyzję, by nie koncentrować się wyłącznie na sobie, lecz by zdać również sprawę z dramatycznych doświadczeń innych osób – autentycznych postaci z krwi i kości – które spotkał na swojej drodze". A współtowarzyszy niedoli miał niezwykłych, m.in. zamordowanego potem we Wronkach płk. Wacława Lipińskiego, którego głos pamiętał jeszcze, obok głosu prezydenta Warszawy Stefana Starzyńskiego, z września 1939 r., gdy słuchał komunikatów radiowych; przyjaciela kpt. Ryszarda Jamonta Krzywickiego, Witolda Pileckiego, adiutanta kolejnych dowódców polskiej armii podziemnej; Kazimierza Gorzkowskiego, oficera AK, wsławionego brawurowymi akcjami w czasie okupacji; profesorów Władysława Tarnawskiego, szekspirologa i Jana Radożyckiego, tłumacza Józefa Flawiusza, a także w powieści występującego pod postacią studenta Kalickiego – Władysława Bartoszewskiego. Czytelnik trafi tu także na wątki sławnego „Zapory" i jego żołnierzy, jak również na sprawę rozbicia przez komunę PSL.

Jeden z bohaterów Krasińskiego powie: „Antykomunizm to najpiękniejsza choroba". Ale pisarz, odwołując się do swoich doświadczeń, dopowie w cytowanym już wywiadzie: „Tak, ale antykomunistą stałem się dopiero w areszcie Informacji, gdy w celi zobaczyłem granatowego człowieka. To był efekt przesłuchania. Później, na Mokotowie, widziałem prowadzonych nocą na egzekucję najlepszych Polaków". „Na stracenie" to prawda o tym, czym była komunistyczna Polska w najgorszych w swej historii latach: „Zza krat cuchnęło mordem. Każdą egzekucję poprzedzało wkroczenie specjalnego patrolu, który bojowym szykiem otaczał pawilon i z wymierzoną w okna bronią trwał nieruchomo na posterunku aż do stracenia skazańców. Ponury ten patrol zjawiał się dwa, trzy razy w ciągu nocy i wiadomo już było, że przynosi ze sobą zapowiedź następnej śmierci".

Powieść ta zadaje kłam natrętnie podsuwanej tzw. ludowej historii PRL, jak też groteskowej wizji komunizmu. ©℗

★★★★★★
JANUSZ KRASIŃSKI
„NA STRACENIE"
ARCANA, KRAKÓW 2025

eprasa.pl d112db2444

PIOTR GOCIEK

POCZYTANKI

Miami, czyli kocioł

Książka pełna paradoksów. Joan Didion jest wyśmienitą reportażystką i pisarką, „ponieważ nie tylko widzi, ale potrafi przejrzeć" (jak pisze o niej we wstępie Wendell Steavenson – domyślam się, że „na wskroś"). „Miami" to opowieść o południowej Florydzie czasów Reagana i serialu „Policjanci z Miami" oraz próba uchwycenia ducha dekady – tak jak reportaże z „Dryfując do Betlejem" uchwyciły ducha lat 60.

Paradoksy, paradoksy: w jednym miejscu odnotowuje pisarka, że z Kuby do Miami uciekali po rewolucji Castro najpierw zwolennicy reżimu Batisty, potem ludzie, którym zabrano majątki, a na końcu ci, którzy nie mogli w Hawanie kupić już nawet pasty do zębów. A jednocześnie dziwi się, że gdy nadarzyła się okazja, kubańscy rodzice wysyłali swoje dzieci do USA, do prowadzonych przez jezuitów ośrodków wychowawczych, aby oszczędzić im uroków życia w realnym socjalizmie. Dziwi się też, że kubańscy uchodźcy traktowali każdą walkę z socjalistami czy komunistami (w Salwadorze, Grenadzie, Panamie) jako swoją zastępczą wojnę o wyzwolenie ojczyzny. Mnie to nie dziwi. Każdy, kto żył pod komunistycznym butem, wie, że jedyną droga ratunku jest walka, zawsze i wszędzie, z marksistami, neomarksistami, postmarksistami. Inaczej kończy się tak, jak w ostatniej dekadzie w Wenezueli.

Kwestia kubańska znajduje się w centrum „Miami" nie tylko jako problem asymilacji (tej akurat brak) i zrozumienia aspiracji mniejszości kubańskiej (tego też brak), lecz także jako problem polityczny. Celnie definiuje Didion największą traumę Kubańczyków jako poczucie bycia nieustannie zdradzanymi. Drugim najbardziej znienawidzonym po Castro człowiekiem w Miami jest John F. Kennedy, bo nie wsparł amerykańskim lotnictwem inwazji w Zatoce Świń. Zresztą – jak wytykają wygnańcy – zdradzały ich wszystkie kolejne administracje. Czarnym charakterem w opowieści Didion zostaje jednak Reagan, który ponoć nic nie rozumie i kieruje się tylko tym, by dobrze wypaść w mediach, a strategia powstrzymywania komunizmu na świecie, wskazująca na zagrożenie także ze strony nowojorskich elit i Hollywood, to bredzenie konserwatywnych paranoików. Oko nie zawodzi Didion w tych reportażach. Widzi wiele. To z „przejrzeniem na wskroś" bywa gorzej. ©℗

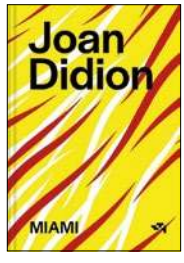

★★★★☆

JOAN DIDION „MIAMI" GRUPA WYDAWNICZA RELACJA 2025

NOWOŚCI KSIĄŻKOWE

Pod nijakim polskim tytułem kryje się „Dylan Goes Electric!", fascynująca książka, która zainspirowała Jamesa Mangolda do nakręcenia filmu „Kompletnie nieznany" o artystycznej przemianie Dylana w rockmana.

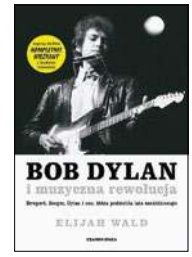

ELIJAH WALD „BOB DYLAN I MUZYCZNA REWOLUCJA" CZARNA OWCA

Autobiografia intelektualna, wspomnienia wojenne – z kolei we wstępie do wznowienia Oksana Zabużko widzi w książce noblisty rzecz wyprzedzającą o dekady esej Kundery „Zachód porwany albo tragedii Europy Środkowej".

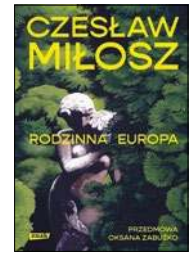

CZESŁAW MIŁOSZ „RODZINNA EUROPA" ZNAK

Jedna z najgłośniejszych postmodernistycznych książek europejskich drugiej połowy XX w. znów na półkach. Niby eksperyment, a przecież błyskotliwa przypowieść o niemożności porozumienia bez powrotu do klasyków literatury.

ITALO CALVINO „ZAMEK KRZYŻUJĄCYCH SIĘ LOSÓW" PIW

„10 lat w kraju Wschodzącego Słońca" – mówi podtytuł. W porównaniu z książkami Alexa Kerra czy Ruth Benedict to opowieść bardzo błaha, autor zaś zbyt skoncentrowany na sobie. Ale za to lekko napisana, w sam raz na lato. ©℗ *Piotr Gociek*

CHRIS BROAD „ANGLIK W JAPONII" INSIGNIS

KOMIKS TYGODNIA: WALKA Z KRAKENEM

Xaviera Dorisona poznaliśmy w Polsce dzięki serii „Trzeci testament", potem m.in. zastąpił Van Hamme'a jako autor scenariuszy do serii „Thorgal". Obszerny album „Asgard" to zbiorcze wydanie dyptyku stworzonego wraz z Ralphem Meyerem. Pierwotnie miała być to jedna z opowieści właśnie o Thorgalu, ostatecznie ukazała się jako osobna historia osadzona w świecie wikingów. ©℗ *Piotr Gociek*

XAVIER DORISON, RALPH MEYER „ASGARD" TAURUS MEDIA 2025

eprasa.pl d112db2444

Z europosłem hiszpańskiej partii Vox, Hermannem Tertschem, po jego wizycie w Warszawie na czele delegacji Komitetu na rzecz Poszanowania Wolności i Demokracji („Komitet Tarcza Wolności")

rozmawia Olivier Bault

W Polsce Tuska pod auspicjami Brukseli niszczona jest demokracja

FOT. WOJCIECH STRÓŻYK/REPORTER

eprasa.pl d112db2444

OLIVIER BAULT: Kieruje pan Komitetem na rzecz Poszanowania Wolności i Demokracji, powołanym przez Patriots.eu, którego członkami są partie należące do grupy w Parlamencie Europejskim Patrioci dla Europy. Dlaczego Patrioci powołali ten komitet?

HERMANN TERTSCH: Utworzyliśmy ten komitet, ponieważ jesteśmy świadkami poważnej degradacji jakości demokracji w Unii Europejskiej – zarówno ze strony Brukseli, jak i wielu rządów. Z niepokojem obserwujemy, jak demontowane są instytucje, podejmowane są decyzje całkowicie poza zasadami i traktatami, by narzucić kryteria sprzeczne z decyzjami podjętymi przez narody w różnych krajach. Widzimy, jak dochodzi do manipulowania wyborami, jak kandydaci są wetowani i pozbawiani zdolności do sprawowania funkcji, jak nawet wybory są zawieszane już po ich rozpoczęciu, gdy dostrzega się niekorzystny wynik.

W przypadku Polski byliśmy świadkami masowych ingerencji w 2023 r. ze strony Parlamentu Europejskiego, Komisji Europejskiej i rządu niemieckiego. Podobne działania obserwowaliśmy w Austrii, a już rozpoczęto agresję wobec Viktora Orbána i rządzącej na Węgrzech partii Fidesz przed przyszłorocznymi wyborami. Tak jak w Polsce, tak na Węgrzech próbuje się narzucić kogoś, kto rzekomo jest centrystą lub reprezentantem Europejskiej Partii Ludowej, a tak naprawdę jest człowiekiem Brukseli i Berlina. W przypadku Węgier jest to Péter Magyar, w przypadku Polski – Donald Tusk. Obaj otrzymują ogromne wsparcie od Komisji Europejskiej, która przeistoczyła się w coś na kształt rządu, karzącego jedne kraje i faworyzującego określone ideologie, a represjonującego inne. W tym sensie zagrożenie dla demokracji europejskich jest poważne – uważamy, że głównym wrogiem demokracji europejskich jest Komisja Europejska, i dlatego musimy to nagłaśniać.

Najlepszym sposobem, by stawić temu opór, jest informowanie społeczeństwa, narodów, aby zareagowały. I widzimy, że reagują – coraz więcej ludzi głosuje na patriotów, a coraz mniej na socjalistów i partie należące do Europejskiej Partii Ludowej. Oni mają do dyspozycji potężną machinę, mają wszystkie środki finansowe Komisji, budżet unijny, który teraz chcą podwoić. Wykorzystują media publiczne, by zagwarantować swoją supremację ideologiczną i polityczną w Europie, a my musimy przeciwstawiać się tym mechanizmom represji, które w istocie są czystym socjalizmem.

Dlaczego Polska była celem pierwszej podróży państwa delegacji?

Ponieważ Polska była pierwszą wielką ofiarą tych działań: dezinformacji, nękania, manewrów ekonomicznych, blokowania pomocy itd., mających na celu uwarunkowanie sytuacji politycznej rządzących. Polska była polem doświadczalnym, ale nie tylko przed wyborami, jeśli chodzi o ingerencję Unii Europejskiej – po wyborach stała się modelem procesu niszczenia demokracji z rozkazu Unii Europejskiej i Komisji. Ich celem jest zniszczenie statusu państwa narodowego, spójności narodowej, którą mają Polska i Węgry, ponieważ nie przyjęły masowej, zwłaszcza muzułmańskiej imigracji.

Celem Komisji Europejskiej jest zniszczenie statusu państwa narodowego i spójności narodowej

Muzułmańska imigracja jest jednym z kluczowych narzędzi do rozbijania narodów europejskich. Tak robiła Merkel z jasno określonym celem. To samo dzieje się dziś w Hiszpanii – rząd wspiera inwazję migracyjną, co jest absolutnie niewiarygodne. I to nie przypadek, że w Polsce pojawia się ta imigracja, która jest dodatkowo wspierana i napędzana przez Niemcy, o czym świadczą skandaliczne przypadki niemieckiej policji wchodzącej na terytorium Polski, by przywozić imigrantów, i przypadki samoobrony polskich obywateli.

We wszystkich krajach Europy rosną oburzenie i reakcja wobec tego, co coraz więcej ludzi dostrzega – próbę zniszczenia narodów przez sprowadzaną imigrację. Nie tylko się jej nie zatrzymuje, lecz także sprowadza. I temu przeciwstawiała się Polska i przeciwstawiają się nadal Węgry. Dlatego tak ważne było w Polsce rozbrojenie instytucji i stworzenie jednolitego przekazu, by wszystkie partie mieściły się w nurcie „woke", globalistycznym, który w gruncie rzeczy jest socjaldemokratyczny. Od komunistów do Europejskiej Partii Ludowej – wszyscy mają te same cele.

Najpoważniejszym zjawiskiem jest to, że Europejska Partia Ludowa odgrywa kluczową rolę w represjach. Donald Tusk, jako członek EPL, działa jak prawdziwy komunista – stosuje represje, aresztuje ludzi, zastrasza, łamie ich, by składali zeznania przeciwko liderom opozycji. Praktyki wobec sędziów Trybunału Konstytucyjnego, Krajowej Rady Sądownictwa i Sądu Najwyższego są tymi samymi, które obserwujemy w Hiszpanii pod rządami koalicji socjalistyczno-komunistycznej współpracującej z Wenezuelą, Kubą i Teheranem. A dziś praktycznie to samo robi Europejska Partia Ludowa.

To przymierze EPL i socjalistów w Brukseli wynika z paniki, w którą wpadli, widząc wzrost sił konserwatywnych, patriotycznych i suwerenistycznych. Po raz pierwszy w historii PE i UE istnieje realna szansa, by stracili większość. Tak naprawdę inna większość byłaby już teraz możliwa, gdyby EPL nie była związana z lewicą, lecz z prawicą. Istnieje już większość zdolna do rządzenia z prawicą, a tymczasem EPL rządzi z Zielonymi i socjalistami, kontynuując politykę, która zawiodła, i prowadzi nas do biedy oraz utraty wolności.

Dlatego naszym obowiązkiem jest zatrzymać ten dryf ku katastrofie – jak najszybciej i głośno to demaskować przed narodami.

Jakie spotkania były dla państwa w Polsce najważniejsze?

To były dwa bardzo intensywne dni. Spotkaliśmy się z wieloma stowarzyszeniami, wieloma sędziami, przedstawicielami wymiaru sprawiedliwości i prokuratury, a także z dziennikarzami, aby rozmawiać o represjach wobec dziennikarzy opozycyjnych. Widzieliśmy się z przedstawicielami społeczeństwa obywatelskiego. Między innymi spotkaliśmy się z Ordo Iuris, a także z wieloma ofiarami represji w Polsce. Wszystkie te rozmowy dały spójny obraz: chęć represji, nerwowość z powodu zwycięstwa Karola Nawrockiego w wyborach prezydenckich. Obecnie prezydent ma

eprasa.pl d112db2444

poparcie większości społeczeństwa i posiada ważne prerogatywy, które poważnie utrudnią wdrożenie planowanego procesu.

Proces totalitarny w Polsce byłby nie do zatrzymania, gdyby wynik wyborów był inny. Dlatego w Brukseli są nerwowi i robią to, co robią. Tak jak robili w Rumunii czy Austrii, gdzie naciskali, by nie dopuścić do rządów z udziałem FPÖ, podejmując wiele działań. Ale myślę, że coraz wyraźniej widać, iż obecna większość zmierza ku porażce i jesteśmy już w procesie zmiany. Nasz komitet ma za zadanie przeciwstawić się tej totalitarnej „bunkeryzacji" obecnej większości.

nii, miasta są przejmowane przez grupy młodych muzułmanów, którzy są de facto poza prawem i narzucają własne prawo oraz ogólną przestępczość. Jesteśmy w trakcie procesu, który przypomina dryf Wenezueli pod rządami Hugona Cháveza, reżimu przestępczego, gdyż na dodatek hiszpański rząd też jest przeżarty korupcją.

Wielka zagadka polega na tym, że w tej chwili sondaże dają znaczną większość potencjalnemu sojuszowi centroprawicowej z nazwy Partii Ludowej i prawicowej partii Vox, ale wszyscy podejrzewamy, że tak jak stało się w Niemczech, tak jak stało się w innych miejscach, np. w Austrii, ostatecznie Partia Ludowa nie będzie rządziła z prawicą, tylko z lewicą. To jest ten nurt Donalda Tuska czy Pétera Magyara, czyli Partia Ludowa, która tylko słowem jest centrowa lub centroprawicowa, ale w rzeczywistości jest lewicowa, jest socjaldemokratyczna i jest sprzymierzona z Zielonymi i komunistami, wspiera unijny Zielony Ład i wszystko, co czyni nas biedniejszymi i mniej wolnymi w Europie.

Proces totalitarny w Polsce byłby nie do zatrzymania, gdyby wynik wyborów był inny. Dlatego w Brukseli są nerwowi i robią to, co robią

A jeśli chodzi o spotkanie w siedzibie Ordo Iuris z ofiarami rządów Donalda Tuska, to myślę szczególnie o byłej urzędniczce Ministerstwa Sprawiedliwości, o współpracownicy byłego premiera Mateusza Morawieckiego oraz o adwokacie ks. Michała Olszewskiego, a także o prezesie Fundacji Mamy i Taty. Jakie wrażenie zrobiły na was ich świadectwa?

Były wstrząsające. Przypominają inne, dawne czasy. Znałem Polskę lat 80., stan wojenny, porwanie Popiełuszki. Metody stosowane wobec tych kobiet i wielu innych osób, które chcą zastraszyć, złamać, wymusić zeznania przeciw innym – to metody typowo socjalistyczne najgorszego sortu, czyli komunistyczne.

Wspomniał pan o tym, co dzieje się w Hiszpanii, jako o czymś, co jest podobne do sytuacji w Polsce.

To, co dzieje się w Hiszpanii, jest rzeczywiście bardzo poważne. W Hiszpanii mamy rząd, który nie ma budżetu od trzech lat, który może go nie mieć w przyszłym roku, który tym samym nie spełnia wymogów konstytucji. Jest on sprzymierzony ze wszystkimi wrogimi siłami Hiszpanii, z którymi idzie na wszelkiego rodzaju ustępstwa w zamian za głosy, aby nie zostać obalonym. Jak już powiedziałem, inwazja masowej nielegalnej imigracji jest ogromna, sytuacja bezpieczeństwa załamuje się w wielu obszarach Hiszpa-

Jeśli chodzi o imigrację, to co pan sądzi jako Hiszpan o Europejskim Pakcie Migracyjnym? Czy to rozwiąże problem Hiszpanii z masową nielegalną imigracją?

To niczego nie rozwiąże. Potrzebujemy zamknąć granice i odesłać nielegalnych imigrantów. Trzeba zacząć masowo deportować tych imigrantów – to zadanie, które stoi przed wieloma państwami Europy, by przywrócić minimalną normalność i przestrzeganie prawa. Należy postąpić jak Donald Trump – dać możliwość dobrowolnego opuszczenia kraju z premią i wnioskowania o legalny wjazd z ojczyzny, ale ci, którzy zostaną deportowani, nie mogą nigdy wrócić ani zostać zalegalizowani.

Hiszpańska Partia Socjalistyczna i hiszpańska Partia Ludowa legalizują nielegalnych. Socjaliści, tracąc hiszpańskich wyborców, chcą ich „importować". Imigranci z Afryki Północnej, po zalegalizowaniu ich pobytu i nadaniu im obywatelstwa, głosują na socjalistów, bo nie przybywają, by pracować, lecz by pobierać zasiłki. To nie to samo co imigracja zarobkowa z Ameryki Łacińskiej: ci ludzie chcą rzeczywiście pracować w Hiszpanii. Imigranci z Maghrebu przyjeżdżają po zasiłki, żeby im zapewniano dach nad głową, pieniądze na dzieci, a czasem wracają np. do Maroka i dalej pobierają świadczenia z Hiszpanii.

To imigracja pasożytnicza i zarazem forma podboju terytorialnego. Muzułmanie są coraz bardziej asertywni – nie chcą się integrować, chcą narzucać swoje zasady. Najpierw przejmują przestrzeń publiczną, jak we Francji, w Niemczech, Hiszpanii, a potem zdobywają władzę. Widzimy to w Anglii.

Tego właśnie chce Komisja Europejska – dlatego atakowano Polskę, aż pojawił się rząd, który otwiera granice.

Wśród prześladowanych są również Matteo Salvini, Marine Le Pen i my wszyscy. Ofensywa wobec nas nie będzie miała granic. W Niemczech trwa de facto zamach stanu, by przejąć Trybunał Konstytucyjny i zdelegalizować AfD. Myślę, że to się nie uda – AfD zmierzałaby ku bezwzględnej większości w niemieckim społeczeństwie, gdyby ją zdelegalizowano.

Ale oni zrobią wszystko. Prowadzą bezpardonową wojnę, by nie stracić monopolu, jaki mieli przez lata, udając, że jedna partia jest centroprawicą, a druga centrolewicą – podczas gdy obie robiły to samo. My jesteśmy nowym ruchem politycznym, który demaskuje ten mafijny układ. I tego nie mogą nam wybaczyć.

Olivier Bault jest pracownikiem Instytutu Ordo Iuris

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

Hermann Tertsch – Hiszpan (niemiecko brzmiące nazwisko odziedziczył po austriackim ojcu), z zawodu dziennikarz, wiceprzewodniczący grupy Patrioci za Europą w Parlamencie Europejskim. W latach 80. był korespondentem hiszpańskiej agencji prasowej w Wiedniu, zajmując się Europą Środkową i Wschodnią, a następnie korespondentem „El País" w Bonn i Warszawie. Od lat 90. do 2019 r. współpracował z wieloma dużymi hiszpańskimi mediami.

eprasa.pl d112db2444

Warzecha, czyli miło nie będzie

Jan Fiedorczuk

Pandemia, wojna na Ukrainie, Unia Europejska – to tylko kilka z tematów, które w najnowszej książce porusza Łukasz Warzecha. „Jestem od tego, żeby wytrącać z dobrego samopoczucia" – deklaruje publicysta „Do Rzeczy", co mogłoby zarazem być mottem tej publikacji

Książka „Tak uważam" to wywiad rzeka, który z publicystą „Do Rzeczy" przeprowadził Łukasz Karpiel. Praca jest podzielona na sześć części, w których Warzecha opisuje, jak widzi przemiany świata medialnego oraz polityki polskiej, a także światowej. Pracę zdominował rozdział „Wolność, państwo i inne wartości" (książka ma 340 stron, z czego rzeczony rozdział to blisko stron 150), gdyż to właśnie szeroko pojęta aksjologia polityczna, sfera wartości i idei jest tym, czemu poświęcono najwięcej uwagi. Czołowym pojęciem w publicystyce Warzechy jest wolność, przez której pryzmat analizowane są poszczególne tematy. Wolność, którą wszystkie stronnictwa polityczne, redakcje i think tanki mają na sztandarach, jednak którą mało kto próbuje definiować.

Warzecha wychodzi tutaj od rozróżnienia na wolność pozytywną, czyli „wolność do", oraz wolność negatywną, czyli „wolność od" (do filozofii politycznej wprowadził ten podział Isaiah Berlin w XX w.). Publicysta „Do Rzeczy" jednoznacznie staje po stronie tego drugiego rozumienia, twierdząc, że przez doświadczenia XIX w. Polacy utożsamili wolność z walką o niepodległość, czyli wzniosłymi celami, zapominając o tej wolności „małej" dotyczącej przyziemnych spraw, które wpływają na nasze życie.

Jako przykład odbierania nam tej „przyziemnej" wolności podaje coraz bardziej opresyjną politykę UE, która ideologiczną ofensywę prowadzi pod pompatycznymi hasłami, podczas gdy w rzeczywistości forsuje agendę klimatystów i stopniowo ogranicza swobody obywateli. Jak mówi Warzecha: „Tu w imię ochrony klimatu od teraz nakrętka jest przyczepiona do butelki, tam zapłacimy dziesięć groszy od plastikowego opakowania, tu jakaś opłata emisyjna, tam ETS2. Elementy, których nikt nie zbiera w jedną całość. Ludziom jest zatem znacznie trudniej dostrzec, o co chodzi. Idę o zakład, że gdyby wszystkie mechanizmy Zielonego Ładu zostały zebrane w jednym, przejrzystym dokumencie, jasno mówiącym o kosztach – obywatele UE byliby autentycznie przerażeni".

UKRAINA I COVID

Z kolei analizując dekadę Andrzeja Dudy i dwie kadencje Zjednoczonej Prawicy, Warzecha sporo miejsca poświęca polityce państwa polskiego wobec Ukrainy. „To jest być może największy, najpoważniejszy, najbardziej obciążający zarzut wobec tej prezydentury: leżenie plackiem przed Kijowem – tego się po prostu nie da określić inaczej" – podkreśla. Publicysta zarzuca władzom, a zwłaszcza głowie państwa, krótkowzroczność i utożsamienie interesów Polski z interesami Ukrainy: „Nigdy nie zapomnę mu słów skierowanych do księdza Isakowicza-Zaleskiego w 2023 r.: »Niech ksiądz waży słowa«. To było głupie, butne i skrajnie bezczelne. I będzie się ciągnąć za panem Dudą". W jego opinii właśnie taka postawa władz doprowadziła do ostentacyjnego lekceważenia Polski przez ekipę Wołodymyra Zełenskiego.

ŁUKASZ WARZECHA, ŁUKASZ KARPIEL „TAK UWAŻAM" ESPRIT 2025

W książce mocno wybrzmiał również temat pandemii i restrykcji, które wprowadzano w drugiej kadencji Zjednoczonej Prawicy. „Grozą napawa to, że większość regulacji covidowych w Polsce wprowadzano, łamiąc obowiązujące prawo. Podstawą ograniczeń były rozporządzenia, tylko że rozporządzenia powinny posiadać umocowanie co najmniej w ustawie" – wskazuje, dodając, że do dzisiaj nikt za te bezprawne działania nie odpowiedział. Jego zdaniem najbardziej wstrząsające jest, że w czasie pandemii pojawili się ludzie, którzy nie tylko godzili się na bezprawne restrykcje, lecz także wręcz czerpali radość z odbierania wolności innym.

Pandemia ujawniła też, jak groźny może się okazać nowoczesny, cyfrowy świat. Przykładem jest walka z gotówką i próba narzucenia społeczeństwom pieniądza cyfrowego. Warzecha w jednym miejscu opisuje np. historię kanadyjskich kierowców ciężarówek, którym zablokowano dostęp do pieniędzy, gdy ci zaczęli protestować przeciwko covidowym restrykcjom. Jakkolwiek płatności bezgotówkowe są wygodne, to ograniczenie działań finansowych tylko do takiego sposobu płacenia wiąże się z konkretnym ryzykiem: „Tutaj wkracza Unia Europejska ze swoimi regulacjami z pakietu AML (Anti-Money Laundering), czyli przeciwko praniu pieniędzy. Tam pojawiają się absurdalne, wspólne dla całej UE limity płatności gotówkowych" (m.in. dotyczące zakazu przyjmowania płatności gotówkowych od 10 tys. euro wzwyż). Jak dodaje, postawienie całkowicie na cyfrową walutę da władzy bezprecedensową kontrolę nad obywatelami.

Takie wypowiedzi – czy to na temat restrykcji, polityki wobec Ukrainy czy poczynań UE – za każdym razem wywoływały opór dziennikarskiego mainstreamu. Sam publicysta odpowiada na zarzuty w następujący sposób: „Nie jestem od tego, żeby było miło. Jak ktoś chce pozytywnego przekazu, to niech sięgnie po rządowe media, jeśli lubi rząd. Albo po któryś z kolorowych magazynów. Ja jestem od tego, żeby wytrącać z dobrego samopoczucia".

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl d112db2444

FOT. ALASTAIR GRANT/REUTERS/FORUM

Trump gra w golfa, Europa płaci rachunki

Wojciech Golonka

Rola USA pozostaje w tej wojnie co do istoty niezmieniona, natomiast ich wkład nie jest już świadczony bezpośrednio, jak wcześniej, a w formie outsourcingu, za pośrednictwem krajów NATO. Nie za darmo ani nie w formie pożyczek dla samej Ukrainy – za broń płacą kraje NATO-wskie, ewentualnie zadłużając się w tym celu u Amerykanów, jak Polska

W swej „Lekcji historii klasycznej" Jacek Kaczmarski być może nieco na wyrost zestawił ujarzmianie Galii ogniem i mieczem przez Juliusza Cezara z tegoż ćwiczeniami lapidarności stylu, niemniej to ten dość skontrastowany obraz przywołało we mnie ostatnie granie Donalda Trumpa w golfa pośród jego trudów rozwiązywania węzłów gordyjskich naszego globu i konsolidacji pax americana. Ma się rozumieć, ta prywatno-publiczna, urlopowo-państwowa, sportowo-polityczna wizyta prezydenta Stanów Zjednoczonych w ojczyźnie jego matki, Szkocji, miała kilka poważnych zalet – wśród których, po czterech latach zmowy milczenia wokół demencji Joe Bidena, samo potwierdzenie kondycji zdrowotnej „lidera wolnego świata" nie należy do błahych. Jednak uwagę mediów w tej nagłośnionej eskapadzie Trumpa za ocean skupiło, przede wszystkim, przeczołganie przed kamerami premiera Wielkiej Brytanii, Keira Starmera, w temacie niekontrolowanej imigracji i terroryzującej cenzury wymierzonej we własny naród, a zwłaszcza zupełny hołd gospodarczy złożony w imieniu Unii Europejskiej przez Ursulę von der Leyen – w tym sowity trybut do opłacenia w postaci gigantycznych inwestycji europejskich w amerykański przemysł energetyczny i zbrojeniowy – zwiastujący ekonomiczną wasalizację naszego obszaru gospodarczego na najbliższe lata.

Na tle pasma tych sukcesów – zarówno na polu golfowym, jak i poza nim – także pozytywnie miało wybrzmieć skrócenie ultimatum wobec Rosji i jej partnerów gospodarczych, którym Donald Trump dał ostatecznie czas do 8 sierpnia na sfinalizowanie rozejmu na Ukrainie, grożąc im w innym razie wojną celną. Prawdę mówiąc, ruch ten był po części wyrazem słabości, do której między wierszami Donald Trump zresztą się przyznał. Otóż prezydent Stanów Zjednoczonych komentował, że dotychczas już trzy–cztery razy spodziewał się nastania rozejmu na Ukrainie, nad którym rzeczywiście jego dyplomaci i wysłannicy pracują intensywnie od początku jego prezydentury. Dając tym samym do zrozumienia, że albo był dotychczas przez Rosjan grzecznie zwodzony, albo nie chciał (on lub jego dyplomaci) przyjąć do wiadomości stosunkowo jasnych warunków stawianych przez Kreml celem zakończenia wojny. Te warunki bowiem (abstrahując od wiarygodności Rosjan), przy jednoczesnym twardym stanowisku Zachodu, czyniły na razie rozejm niemożliwy do osiągnięcia: neutralny status Ukrainy z ograniczonymi siłami zbrojnymi, bez przynależności do NATO, oraz uznanie, oprócz Krymu, również – przynajmniej w praktyce – czterech anektowanych przez Rosję wschodnich obwodów, czyli wycofanie z nich ukraińskich sił zbrojnych. Pomijam tu przy tym samo stanowisko Kijowa, a to dlatego, że choć jest ono oczywiste, to sama Ukraina jest obecnie państwowo i militarnie skrajnie uzależniona od koalicji krajów zachodnich, z USA na czele (co warto podkreślić). Jak daleko uzależniona? Przymusowe przywrócenie „niezależnych" instytucji antykorupcyjnych na Ukrainie, których autonomia została skasowana 22 lipca przez ukraiński parlament, a którą to ten sam parlament przywrócił w podskokach już 31 lipca, po zupełnie niezawoalowanym ultimatum ze strony Ursuli von der Leyen, po prostu potwierdza tajemnicę poliszynela,

eprasa.pl d112db2444

że Kijów ma sposobność prowadzić swoją własną politykę jedynie dlatego, że jest ona częścią polityki zachodnich ośrodków wpływu, które przejawiają nad nim ewidentną, do bólu, sprawczość.

WSZYSTKO PO STAREMU?

Jeśli wygrana Donalda Trumpa, który anonsował przecież zerwanie z nonsensowną jego zdaniem polityką Joe Bidena względem wojny rosyjsko-ukraińskiej, postawiła chwilowo pod znakiem zapytania dalsze trwanie tego antagonizmu, to USA na razie nie wycofały się ze swego wsparcia materialno-wywiadowczego dla Ukrainy, które – jak konstatowały Londyn, Paryż czy Berlin – jest w tej wojnie nie do zastąpienia. I tak to skądinąd odmienione, w ostatnim czasie, podejście USA podręcznikowo wręcz ilustruje maksymę Lampedusy, że „wszystko musi się zmienić, aby wszystko pozostało po staremu". W rzeczy samej: rola USA pozostaje w tej wojnie co do istoty niezmieniona, natomiast ich wkład nie jest już świadczony bezpośrednio, jak wcześniej, a w formie outsourcingu, za pośrednictwem krajów NATO; nie za darmo ani nie w formie pożyczek dla samej Ukrainy – za broń płacą kraje NATO-wskie, ewentualnie zadłużając się w tym celu u Amerykanów, jak Polska, a wedle zapisów ramowych partnerskiej umowy między Waszyngtonem a Kijowem wsparcie wywiadowcze dla Ukrainy miało być wycenianie i zaliczane jako wkład USA w fundusz odbudowy Ukrainy.

Bilansując tę wojnę, Trump w pewnym sensie robi dobrą minę do złej z jego punktu widzenia gry – od początku powtarza, że to wojna Joe Bidena, w której USA nie powinny być zaangażowane, i robi, co może, aby nie były, co w praktyce oznacza jedynie, że przestały do niej dopłacać, a zaczęły na niej zarabiać. Natomiast jego wysunięcie gróźb dodatkowych ceł wobec krajów wspierających gospodarczo Rosję ma – zdaje się – także szerszy kontekst w ogóle negocjacji celnych prowadzonych przez USA w zasadzie z całym światem. Nie jest chyba przypadkiem, że jego ultimatum padło akurat w chwili, kiedy Waszyngton dopiero co zapewnił sobie bardzo dobre warunki współpracy gospodarczej z Brukselą – stąd najwyraźniej ta demonstracja siły i próba konfrontacyjnego otwarcia indyjskiego rynku na owoce amerykańskiej gospodarki, dość szczelnie przed nią chronionego tamtejszą polityką celną. Tak, w obecnej sytuacji to nie Rosja, a zasadniczo Indie stawiane są pod coraz większym pręgierzem, tym razem pod pretekstem kupowania przecenionej ropy od Rosji. Jak bowiem spójnie tłumaczyć, że Biały Dom zamierzał od 9 sierpnia nałożyć dodatkowe cła na partnerów gospodarczych Rosji z jednoczesną, praktycznie w tym samym czasie opublikowaną informacją, że USA przedłużają o kolejne 90 dni (!) obecny status quo celny z Chinami, w ramach prowadzonych z nimi negocjacji, wyłączając je tym samym z gróźb zapowiadanych sankcji celnych? I jak w ogóle połączyć celowość tych sankcji z jednoczesnym wyznaniem Trumpa, że bardzo możliwe jest, iż te cła w ogóle nie zmuszą Rosji do czegokolwiek?

ULTIMATUM GRĄ POZORÓW?

W tym posunięciu nie brak zresztą elementów teatralnych: podczas gdy Dmitrij Miedwiediew sugeruje Donaldowi Trumpowi, aby się miarkował, gdyż Rosja jest potęgą, z którą wojna ze strony USA może doprowadzić tylko do konfrontacji atomowej, prezydent Stanów Zjednoczonych odpowiada wysłaniem w pobliże Rosji dwóch okrętów podwodnych z bronią nuklearną, delegując jednocześnie swego specjalnego wysłannika Steve'a Witkoffa na spotkanie z Władimirem Putinem. Ci zaś szanujący się nawzajem panowie mają zwyczaj rozmawiać bez obecności amerykańskiego tłumacza i raczej dokonują rzeczywistych ustaleń niż li tylko kurtuazyjnych odwiedzin sezonowych, tak że nie można nawet wykluczyć, iż to Trump szuka u Putina pomocy w nacisku na samego Modiego, oczywiście w ramach polityki transakcyjności, którą USA z Rosją jak najbardziej prowadzą, nie tylko w dziedzinie surowców rzadkich. Ba! Po wizycie Witkoffa w Rosji nastąpił kolejny wysyp sensacyjnych anonsów o planowanym bliskim spotkaniu Trumpa z Putinem, podsycanych przez jednych, studzonych przez innych, co może oznaczać rzeczywiście zarówno rychłe zamrożenie konfliktu, jak i kolejne dekorum teatralne dla niekończącego się rozlewu krwi.

Tym posunięciom towarzyszą jednak ruchy o rzeczywistych konsekwencjach – jakkolwiek Trump, swoją ulubioną metodą ograniczonej przewidywalności, będzie licytował to z Indiami, to z Rosją, stawkę to w górę, to w dół, to jednak, po pierwsze, położył podwaliny pod warunki, w których do osi geopolitycznej Moskwa-Teheran-Pekin mogłoby równie dobrze dołączyć pod pręgierzem USA właśnie Delhi. Po drugie, i mniej hipotetycznie, w ramach toczącego się wyścigu zbrojeń Chiny po cichu wprowadzają embargo na metale rzadkie i inne surowce, uderzając w zachodni przemysł zbrojny. Nie pozostając w tyle, Rosja zapowiedziała wznowienie produkcji i rozmieszczania rakiet balistycznych i pocisków manewrujących o średnim zasięgu (500–5500 km), z możliwym wykorzystaniem zarówno dla głowic konwencjonalnych, jak i jądrowych. Czy trzeba tłumaczyć, że jest to zasięg o wiele bardziej zagrażający Europie niż kontynentalnym Stanom Zjednoczonym?

Innymi słowy, jeśli wierzyć cokolwiek doniesieniom o możliwym spotkaniu na szczeblu Trump-Putin, to albo czeka nas spektakularny reset na linii Moskwa-Waszyngton, którego częścią będzie, siłą rzeczy, i pewien reset Rosji z Unią Europejską, co skądinąd totalnie ośmieszy „deklarację polską" Jarosława Kaczyńskiego, która deklinuje opieranie się na USA przez wszystkie przypadki przy jednoczesnej odmowie jakichkolwiek ustaleń z „putinowską" Rosją; albo ta wojna będzie trwać nadal, ale na warunkach, gdzie ciężar finansowy i ryzyka (w tym eskalacji bądź odpowiedzialności za porażkę) został zręcznie scedowany z USA na Europę. Europę, która w swej dotychczasowej bezalternatywności – powstrzymanie Rosji za każdą cenę – stała się wobec Stanów Zjednoczonych pod rządami Donalda Trumpa petentem gotowym właśnie na „każdą cenę", a której ewidentny ciężar pcha ją być może właśnie do kompromisu z Federacją Rosyjską, nie wspominając o niezwykle ciężkim położeniu coraz bardziej otoczonych głównych ukraińskich twierdz na całej obecnej linii obrony (Kupiańsk, Siewiersk, Czasiw Jar, Pokrowsk). Jak mawiał klasyk, przyjaciele płacą najwięcej, zwłaszcza ci, bezalternatywni.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl d112db2444

Polska dla Polaków i...?

Krystian Kratiuk

A może to już czas, by otrząsnąć się z politpoprawności i ruszyć z ofensywą na miarę Donalda Trumpa? Wielu analityków podkreśla, że jesteśmy w historycznym momencie. Może więc jest to pora na historyczne, nieoczywiste decyzje?

FOT. ADOBE STOCK

To oczywiście nie jest pytanie dla zahukanych unijczyków z obecnie rządzącej koalicji. To pytanie do szykujących się do przejęcia władzy polityków prawicy.

Fala migracji już raz wyniosła polską prawicę do władzy. Pamiętają państwo?

Wszak największy kryzys migracyjny w Unii Europejskiej miał miejsce w 2015 r. Wtedy to do Unii Europejskiej przybyło ponad milion uchodźców i migrantów, głównie z krajów takich jak Syria, Afganistan, Irak czy Erytrea. Większość migrantów przybywała przez szlaki bałkańskie i Morze Śródziemne, co doprowadziło do poważnych napięć politycznych wewnątrz UE oraz kryzysu humanitarnego.

Unię Europejską uosabiał wówczas w Polsce Donald Tusk, w tamtym akurat czasie szef Rady Europejskiej. Słabnącą podówczas Platformę Obywatelską dodatkowo zatopiło utożsamianie jej właśnie ze wzbudzającą nad Wisłą zdumienie polityką otwartości Angeli Merkel i innych liderów tamtejszych lat. Wybory – w dużej mierze na tej fali – wygrało zdecydowanie Prawo i Sprawiedliwość, wówczas, delikatnie mówiąc, niekojarzące się jeszcze z entuzjazmem do przyjmowania migrantów nad Wisłę.

Polska prawica może teraz powtórzyć ten manewr, wszak nasze społeczeństwo pozostało nieufne wobec migrantów z odległych cywilizacji, a ostatnie wydarzenia na granicy zachodniej oraz coraz liczniejsze przykłady agresji przybyszów wobec Polaków tylko to potwierdzają. Prawica, zarówno z PiS, jak i ta z obojga Konfederacji, doskonale zdaje sobie z tego sprawę – o czym świadczy jej ogromna aktywność w tej sprawie.

Jeśli Polacy ponownie powierzyliby jakiemukolwiek prawicowemu układowi stery rządów, to tym razem do sprawy migracji należałoby jednak podejść na poważnie – nie tak jak Prawo i Sprawiedliwość, którego dziwaczne manewry z legalnymi i nielegalnymi migrantami zostały już szeroko opisane. Należałoby więc opracować, najlepiej jeszcze przed wyborami, naprawdę ambitny program migracyjny dla Polski.

KTO NIE?

Taki plan zakładałby w pierwszej kolejności, rzecz jasna, nieimplementowanie paktu migracyjnego, ze wszystkimi tego konsekwencjami. Najmniejszą z nich będzie płacenie kar przewidzianych przez Komisję Europejską, ale to Polacy zrozumieją – a haracz dla Brukseli za to, by polskie kobiety mogły bezpiecznie czuć się na ulicach swych rodzinnych miejscowości, sprawi, że spadnie co najwyżej euroentuzjazm Polaków, a nie poparcie dla polskiego rządu.

W drugiej kolejności taki plan wymagałby zamknięcia granic dla przybyszów z krajów najbardziej odrębnych nam kulturowo. Szczegółowa lista oparta na konkretnych wytycznych musiałaby oczywiście zostać opracowana przez

eprasa.pl d112db2444

ekspertów, ale nie powinny znaleźć się tam wyłącznie kraje islamskie czy te, w których religią panującą jest, dajmy na to, hinduizm.

To bowiem za mało. Głośny, przerażający przypadek z Torunia, gdzie młodej dziewczynie wydłubał oczy Wenezuelczyk, coraz częstsze akty agresji ze strony Kolumbijczyków czy Gruzinów sprawiają, że oto kończy się narracja mówiąca o tym, że „przyjmować możemy, ale tylko z krajów chrześcijańskich". Wszak i Wenezuela, i Kolumbia, i Gruzja to kraje chrześcijańskie. Mimo wszystko są to jednak zdecydowanie odrębne od naszego kręgi cywilizacyjne.

Należałoby stworzyć więc skalę punktów, sprawdzając chociażby poziom przestępczości w danych państwach – i skreślać z automatu wnioski o pobyt tych, którzy pochodzą z państw o wysokim wskaźniku przestępczości. Polska znajduje się wśród krajów o najniższym wskaźniku przestępczości w Europie – ok. 0,68 zabójstwa na 100 tys. mieszkańców. W przypadku Gruzji ta liczba – 2,4 – może wydawać się niewielka, ale to aż trzy razy wyższy wskaźnik niż w Polsce. Kolumbia natomiast odnotowuje... 37 razy zabójstw więcej niż w Polsce (25,3 na 100 tys.), a Wenezuela aż… 60 zabójstw na 100 tys. mieszkańców!

Ktoś powie, że taki system punktowy oceniania krajów pochodzenia przypomina obowiązujące niegdyś dla Polaków wizy do USA? I bardzo słusznie!

Przecież staliśmy się dziś dla wielu narodowości poniekąd tym, czym USA były dla Polaków przed dekadami. Polska należy dziś do najszybciej rozwijających się gospodarek spośród krajów OECD poza Azją Południowo-Wschodnią i charakteryzuje się wyjątkową odpornością na zawirowania gospodarcze, co potwierdza np. spadek bez recesji w światowym kryzysie 2008–2009 oraz stosunkowo szybkie odbicie po pandemii COVID-19.

Polska w ciągu ostatnich 30 lat dokonała jednego z największych skoków gospodarczych na świecie – PKB per capita (PPP) wzrosło ponad czterokrotnie, z ok. 9 tys. dol. w 1990 r. do ponad 45–55 tys. dol. w 2023 r. (IMF, World Bank). W relacji do Niemiec Polska zwiększyła swój PKB per capita z 30 proc. niemieckiego poziomu w 1990 r. do ponad 75–80 proc. w 2023 r. (Eurostat, IMF), jednocześnie osiągając 78 proc. średniej unijnej (PIE). Bank Światowy uznał ją za najbardziej udany przypadek transformacji postkomunistycznej, a „Financial Times" nazwał jej rozwój „cudem gospodarczym" (World Bank, Financial Times). W latach 1995–2020 produktywność pracy rosła tu kilkukrotnie szybciej niż w krajach starej UE (OECD), a eksport – stanowiący dziś ponad 50 proc. PKB – znacząco wzrósł względem lat 90. (World Bank).

Poza tym panuje u nas, jak już zauważyliśmy, jeden z najniższych wskaźników zabójstw, a czystość i porządek naszych ulic, miast, a nawet stacji kolejowych i metra wzbudzają entuzjazm wśród turystów z całego świata. Internet pełny jest takich świadectw.

Rzadko o tym myślimy, ale tak, jesteśmy dziś silnym i dość bogatym krajem. Wobec tego tak, to my możemy dziś stawiać warunki tym, którzy chcą stać się częścią naszego społeczeństwa. I nie wolno nam dać się przekonać, że powinno być inaczej.

A KTO TAK?

Dobrze, powie ktoś, wszystko pięknie, ale przecież jako naród wymieramy!

Polska od lat zmaga się z głębokim kryzysem demograficznym, który prowadzi do systematycznego kurczenia się populacji. Eksperci wskazują, że bez migracji nasze społeczeństwo po prostu wkrótce zakończy byt. Dlatego nalegają, by sprowadzać tu ludzi do pracy, mieszkania oraz… rodzenia dzieci. Te postulaty również powinien uwzględniać ambitny plan budowy Polski w XXI w.

Kogo więc należałoby tu sprowadzać? Otóż przede wszystkim… Polaków.

Jednym z najważniejszych wyzwań na nadchodzące lata powinno być opracowanie i wdrożenie ogólnokrajowej strategii repatriacyjnej – kompleksowego programu, którego celem będzie skuteczne i zorganizowane przywracanie Polaków z zagranicy do życia w ojczyźnie.

Setki tysięcy naszych rodaków, którzy opuścili kraj w poszukiwaniu lepszych warunków ekonomicznych po 2004 r., coraz częściej wyrażają gotowość do powrotu – rozczarowani realiami życia na Zachodzie, narastającą przemocą, imigrantami, napięciem społecznym i absurdalną ideologiczną presją LGBT i politpoprawności. Polska może dziś stanowić dla nich nie tylko atrakcyjną alternatywę, lecz także po prostu bezpieczną przystań w coraz bardziej niestabilnym świecie.

Realizacja takiej strategii wymaga jednak aktywnej postawy ze strony państwa. Konieczne jest stworzenie systemu zachęt i ułatwień – począwszy od programów mieszkaniowych i wsparcia przy relokacji, przez dostosowaną edukację dla dzieci powracających rodzin, a skończywszy na uproszczonych procedurach uznawania kwalifikacji zawodowych i korzystnych rozwiązaniach podatkowych.

I KTO JESZCZE?

Ale narodowość nie jest jedynym czynnikiem, który mógłby być decydujący w kwestii możliwości osiedlenia się w Polsce. Wszak coraz więcej ludzi z Europy i innych części Zachodu zaczyna dostrzegać w Polsce kraj, w którym – w przeciwieństwie do ich ojczyzn – panuje porządek, życie toczy się spokojnym rytmem, a podstawowe wartości kulturowe i religijne wciąż są respektowane. W porównaniu z metropoliami zachodnimi, gdzie gangi nieletnich migrantów i agresywna kultura uliczna stały się codziennością, polskie miasta jawią się jako oazy normalności, której dziś tak brakuje w upadającej Europie.

To się da jeszcze uratować! A Polska ma dziś szansę stać się nowym centrum przyciągania dla tych Europejczyków, którzy nie odrzucili jeszcze własnych korzeni, którzy chcą żyć w kraju opartym na tradycji, pracy, kulturze i chrześcijańskich wartościach.

Trzeba tylko odważnego, ambitnego projektu, nie tyle ustanawiającego na nowo jakąś tożsamość Polaków, ale przypominającego światu i nam samym, po co jest Polska. Już bowiem w czasach I Rzeczypospolitej byliśmy narodem, do którego chętnie przybywali ludzie z innych stron Europy – Niemcy, Ormianie, Węgrzy, Włosi czy Francuzi. Przybywali, by stać się częścią Rzeczypospolitej i nierzadko w pełni się spolonizować. Przyjeżdżali, bo widzieli tu miejsce wolności, a z czasem przyjmowali polskie język, obyczaj i wiarę.

Polska nie była wtedy „dla wszystkich" w dzisiejszym rozumieniu, ale dla tych, którzy chcieli stać się Polakami – i takich właśnie gości zawsze potrafiliśmy przyjąć. Czy damy radę i tym razem?

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

Autor jest redaktorem naczelnym PCh24.pl.

eprasa.pl d112db2444

Kiedy Sobór Watykański III?

Paweł Chmielewski

Z nadziei na to, że papież Leon XIV dokona po 13 latach pontyfikatu Franciszka konserwatywnej katolickiej kontrrewolucji, zostaje coraz mniej

FOT. IPA/ABACA/EAST NEWS

Niewykluczone, że gwóźdź do trumny oczekiwań tradycjonalistycznych katolików został przybity 7 lipca. Sekretariat Generalny Synodu Biskupów opublikował tego dnia dokument pt. „Ścieżki dla fazy implementacji synodu". Nowy papież zdecydował, że będzie kontynuować Synod o synodalności swojego poprzednika.

Od jesieni roku 2021 r. Kościół katolicki kroczy „drogą synodalną". Odbywają się cykliczne spotkania, w których biskupi, księża i świeccy debatują o kształcie katolicyzmu. Zachęca się wiernych do tego, by wsłuchiwali się w głos protestantów, prawosławnych, niechrześcijan albo nawet niewierzących. Debatuje się o dopuszczeniu kobiet do kapłaństwa, nowej libertyńskiej moralności seksualnej albo egalitarno-demokratycznym sposobie podejmowania decyzji. Ogłoszony przez Franciszka Synod o synodalności zakończył się z przytupem w październiku 2024 r. Krótko przed śmiercią papież ogłosił, że przedłuża go o dalsze trzy lata i synodalność będzie trwała aż do roku 2028. Wtedy biskupi i świeccy zbiorą się na czymś, co zostało nazwane Zgromadzeniem Synodalnym, i będą radzić o reformie Kościoła.

NIEPOKÓJ KONSERWATYSTÓW

Proces synodalny od początku wzbudzał wielki zachwyt środowisk progresywnych. Jego adherenci widzieli w nim szansę na to, by rozluźnić więzy między Kościołem w swoich krajach a nauczaniem Watykanu. Nie wymyślili sobie tego sami. Papież Franciszek już w swoim programowym dokumencie „Evangelii gaudium" napisał, że trzeba się pożegnać z „monolityczną doktryną", a narodowe episkopaty muszą otrzymać „autentyczny autorytet doktrynalny". W nowym paradygmacie Stolica Apostolska naucza normy ogólnej, ale później na poziomie lokalnym biskupi interpretują to sobie szczegółowo, tak żeby „zgadzało się" z ich własnym kontekstem kulturowym.

W praktyce dotyczy to takich kwestii jak Komunia Święta dla rozwodników i protestantów, błogosławienie par jednopłciowych czy dopuszczanie świeckich, w tym kobiet, do nowych posług i urzędów kościelnych. Ta zasada różnorodności doktrynalnej i moralnej była silnie obecna na całym Synodzie o synodalności i zamanifestowała się również w „Dokumencie finalnym", który ten synod przyjął jesienią ubiegłego roku.

Konserwatyści byli bardzo zaniepokojeni zmianami synodalnymi. W ich ocenie z tradycyjnym nauczaniem Kościoła nie da się pogodzić ani całej tej różnorodności w doktrynie, ani też samego nowatorskiego modelu podejmowania decyzji. W końcu Kościołem rządzą biskupi – tak postanowił Pan Jezus; tymczasem na synodzie Franciszka otrzymali prawo głosu na równi ze świeckimi. W ocenie krytyków Synod o synodalności, niezależnie od intencji papieża, był od początku do

eprasa.pl d112db2444

końca wielkim błędem, intelektualnie i strukturalnie zdominowanym przez liberalnych teologów z krajów, gdzie silne są wpływy teologii niemieckojęzycznej – samych Niemiec i Austrii, a także Belgii, Brazylii czy postępowych diecezji USA. Krytykę wobec Synodu o synodalności prezentowali nie tylko zadeklarowani tradycjonaliści, jak kard. Raymond Leo Burke czy bp Athanasius Schneider, lecz także bardziej „umiarkowani" konserwatyści, jak Gerhard Ludwig Müller czy na ogół dość centrowy bp Robert Barron. Stąd istniało na szeroko pojętej kościelnej „prawicy" dość powszechne oczekiwanie, że nowy papież wstrzyma proces synodalny albo przynajmniej nada mu bardziej umiarkowaną interpretację.

Wspomniany dokument z 7 lipca nie oznacza jednak ani wstrzymania, ani nowej interpretacji. Ogłosił go kard. Mario Grech – ten sam człowiek, który sterował całym dotychczasowym Synodem o synodalności. Purpurat, wyraźnie odwołując się do autorytetu Leona XIV, który zaaprobował tekst, wezwał wszystkich biskupów na świecie do wdrożenia w życie nakazów synodalności, tak jak wykłada się je w „Dokumencie finalnym" z 2024 r. Wskazał, że w kolejnych latach będą odbywać się dalsze spotkania synodalne, zarówno na szczeblu krajowym, jak i kontynentalnym, a ostatecznie – tak jak postanowił Franciszek – rzecz zakończy się egalitarystycznym Zgromadzeniem Kościelnym.

PROGEJOWSKA OFENSYWA

Jakby tego było mało, papież Leon XIV postanowił dorzucić do synodalności nieco paliwa. Zgodnie ze wskazaniami „Dokumentu finalnego" utworzył dwie specjalne synodalne komisje badawcze, które dołączyły do już istniejących 11 utworzonych za Franciszka. Jedna z tych „Leonowych" komisji ma się zająć – to nie żart – odczytaniem liturgii w kluczu synodalnym, cokolwiek miałoby to w praktyce znaczyć (prawdopodobnie: większa rola świeckich podczas Mszy Świętej). Druga będzie obradować nad kompetencjami konferencji episkopatów. Istnieje oczywiście teoretyczna szansa, że Leon XIV w kolejnych miesiącach będzie krok po kroku „rozbrajać" proces synodalny, ale na razie niewiele na to wskazuje. Papież podjął bardzo konkretną, twardą decyzję: synodalizacja Kościoła rozpoczęta przez jego poprzednika trwa dalej.

Wygląda zresztą na to, że Ojciec Święty w pełni akceptuje pryncypium synodalności, które stanowi opisana przeze mnie wcześniej różnorodność doktrynalna i moralna. Leon XIV dał temu wyraz w dyskusji wokół deklaracji „Fiducia supplicans", która w grudniu 2023 r. wprowadziła do Kościoła katolickiego „pozaliturgiczne" błogosławieństwa par tej samej płci. Pytany o ten problem jesienią 2024 r. kard. Robert Prevost odwołał się do autorytetu episkopatu, wskazując, że biskupi powinni sami decydować o sposobie wdrażania w życie tego bliskiego sercom środowisk LGBT rozwiązania duszpasterskiego. W ten sposób kardynał poparł tę ideę synodalną, na której najbardziej zależało progresistom zależnym intelektualnie od teologii niemieckojęzycznej. Pomimo znajomości tej jego wypowiedzi wielu konserwatystów spodziewało się, że Leon XIV usunie problem „Fiducia supplicans", tekst ten odwołując albo korygując. Na początku lipca wpływowy watykański kardynał ogłosił, że tak się jednak nie stanie. Powiedział o tym sam Victor Manuel Fernández, prefekt Dykasterii Nauki Wiary i autor „Fiducia supplicans". Według jego słów zmian w sprawie udzielania błogosławieństw parom LGBT po prostu nie będzie.

Tego samego zdania są chyba biskupi w Kościele katolickim w Niemczech. Już za pontyfikatu Leona XIV rozpoczęli prawdziwą progejowską ofensywę. Przewodniczący Episkopatu bp Georg Bätzing ogłosił w swojej diecezji wytyczne, zgodnie z którymi można błogosławić pary tej samej płci albo nawet pary transpłciowe, bez jakiegokolwiek wymagania nawrócenia czy choćby zmiany stylu życia. To samo zrobił bp Klaus Krämer z diecezji Rottenburga-Stuttgartu, dodając jeszcze całą listę modlitw, które można wypowiadać nad błogosławionymi gejami, lesbijkami czy biseksualistami. Niemcy zakładają przy tym całkowitą dopuszczalność moralną aktów intymnych podejmowanych przez te pary. Biskupi zza Odry są najwyraźniej przekonani, że Leon XIV nie będzie mieć z tym problemu. Zobaczymy, czy mają rację, ale w świetle słów kard. Fernándeza i wcześniejszej wypowiedzi samego Roberta Prevosta – najprawdopodobniej tak.

Dla katolicyzmu oznacza to wszystko kolejne poważne trudności. I to nie tylko z perspektywy tradycjonalistycznej. Konserwatyści mogą wskazywać na stopniowe odchodzenie przez Kościół od prawa naturalnego oraz na negowanie podstawowej zasady jedności wiary. Jak można mówić o wspólnocie chrześcijan, skoro zależnie od szerokości geograficznej wyznaje się diametralnie sprzeczne poglądy na ważne sprawy moralne? Również umiarkowani progresiści mogą być zaniepokojeni, bo bezkrytyczna kontynuacja Synodu o synodalności albo pozostawienie sprawy „Fiducia supplicans" w stanie nienaruszonym oznacza, że Kościół nadal będzie rozrywany potężnymi napięciami i sporami wewnętrznymi. Leon XIV rozpoczynał pontyfikat, mówiąc o jedności i pokoju. Powszechnie odbierano to jako zapowiedź ułożenia spraw w Kościele w taki sposób, by katolicy tradycyjni mogli uznać, że „są w domu". W sytuacji postawienia na różnorodność doktrynalną i moralną tak nie będzie, a to oznacza dalszą wojnę domową.

Warto postawić pytanie o możliwy sposób zakończenia tego konfliktu, bo poziom rozgoryczenia i wzajemnej niechęci stał się w Kościele wyjątkowo wysoki – ze zrozumiałych przyczyn, chodzi w końcu o starcie dwóch całkowicie przeciwstawnych perspektyw eklezjologicznych. Od dłuższego czasu mówi się, że Sobór Watykański II odniósł klęskę – nie tylko dlatego, że wprowadził do nauczania kościelnego wiele elementów wątpliwych, lecz także przez to, że otworzył głębokie dyskusje, nie kończąc ich w sposób autorytatywny i jednoznaczny. W związku z tym rozbrzmiewają coraz głośniej postulaty mówiące o konieczności zwołania Soboru Watykańskiego III, który stałby się swoistym dopełnieniem poprzedniego zgromadzenia i „ostatecznym słowem" w wielkich dyskutowanych dziś kwestiach. Synod o synodalności Franciszka, z całym swoim rozmachem, bywa oceniany jako rozłożone w czasie przygotowanie do takiego soboru. Niewykluczone, że Leon XIV, decydując się na kontynuację prac synodalnych, widzi to właśnie w tych kategoriach, a Zgromadzenie Kościelne roku 2028 będzie ostatnim aktem poprzedzającym zwołanie soboru.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

Autor jest publicystą portalu PCh24.pl.

eprasa.pl d112db2444

Zbrodniarze z Jednostki 731

Piotr Włoczyk

Tajna jednostka japońskiej armii prowadziła w trakcie drugiej wojny światowej bestialskie eksperymenty na ludziach. Po 1945 r. Amerykanie zrobili wiele, by ci mordercy w lekarskich kitlach nie ponieśli kary

Zdjęcie eksperymentu przeprowadzonego w Chinach przez członków Jednostki 731, listopad 1940 r. FOT. JILIN PROVINCIAL ARCHIVES

Ciała zanurzone były w formaldehydzie, aby nie straciły nic ze swojej „świeżości". Niektóre były rozcięte w poprzek, inne pocięte na kawałki. Ofiarami byli Chińczycy i alianccy jeńcy wojenni.

Ten makabryczny obraz, który wciąż prześladuje go nocami, przywołał w rozmowie z „The New York Timesem" 95-letni dziś Hideo Shimizu.

Jego historia to fragment tekstu opublikowanego w nowojorskim dzienniku z okazji zbliżającej się wielkimi krokami 80. rocznicy zakończenia wojny na Pacyfiku. Wśród zaprezentowanych w nim relacji ostatnich żyjących żołnierzy Cesarskiej Armii Japońskiej jego wspomnienia są najbardziej wstrząsające. Trudno jednak, żeby było inaczej, skoro tylko on w tym gronie należał do Jednostki 731 – tajnej struktury w ramach japońskiej armii, która pracowała nad bronią biologiczną i chemiczną. W trakcie tych badań japońscy naukowcy robili rzeczy, które porównać można chyba jedynie do eksperymentów prowadzonych w Auschwitz przez dr. Josefa Mengele i jego opętanych kolegów po fachu.

KOŃSKA KREW

Hideo Shimizu miał zaledwie 14 lat, gdy został na siłę wcielony do jednej z „brygad młodzieżowych" japońskiej armii. Był początek 1945 r., Japończycy sięgali po ostatnie rezerwy i nie wahali się wciągać do armii nawet dzieci, by służyły upadającemu imperium w pozafrontowych rolach. Czternastolatek przerzucony został z Wysp Japońskich na teren okupowanej Mandżurii, niedaleko miasta Harbin, gdzie swoją siedzibę miały Naczelne Biuro Zapobiegania Epidemiom i Departament Oczyszczania Wody Japońskiej Armii Kwantuńskiej, czyli właśnie Jednostka 731. Po latach nadawano jej różne inne przydomki, które dużo lepiej oddawały jej charakter. Jedną z najczęściej pojawiających się nazw było „Laboratorium diabła", co jednak nie wydaje się zbyt przesadzonym mianem.

Szukając najbardziej zabójczych zarazków i trucizn, japońscy lekarze dokonywali wiwisekcji – wciąż żyjących ludzi zarażonych najgroźniejszymi bakteriami i wirusami lub otrutych chemikaliami medycy kładli na stole operacyjnym i rozcinali ich ciała, by zabezpieczyć „materiał badawczy". Lekarzom z Jednostki 731 chodziło o to, by zdążyć przed pojawianiem się bakterii gnilnych, których obecność zakłóciłaby wyniki ich badań.

Na temat wiwisekcji przeprowadzanych w laboratoriach wiele miejsca poświęcił Hal Gold w swojej książce pt. „Jednostka 731. Okrutne eksperymenty w japońskich laboratoriach wojskowych. Relacje świadków".

eprasa.pl d112db2444

Lekarz wojskowy Yuasa Ken tak wspominał lata po wojnie swoją pierwszą wiwisekcję przeprowadzoną na chińskim chłopie:

„Jedna z pielęgniarek zwróciła się do niego łamaną chińszczyzną: »Stosujemy eter. Nie będzie bolało, połóż się«. Mówiąc to, uśmiechnęła się do mnie krzywo. Zaczęła się operacja. Mężczyźnie podano eter i go otwarto. Wyrostek miał tak mały, że szukanie go było jak wydłubywanie robaka z ziemi. Musiałem kilka razy robić nacięcia i szukać głębiej. Zatamowano krwawienie, przecięto nerwy, przepiłowano kości, wykonano tracheotomię. Krew i powietrze uszły z ciała, krew zaczęła się pienić. Ćwiczenia trwały dwie godziny. Mężczyzna zmarł, jego ciało wrzucono do dołu i zakopano. Cmentarzysko w pobliżu sali operacyjnej było pełne, więc musieliśmy nieco dalej wykopać kolejny dół".

W Jednostce 731 nie tylko testowano na ludziach zarazki i zabójcze środki chemiczne, lecz także zbrodniom tym towarzyszyły inne, często zupełnie bezsensowne eksperymenty, jak przyszywanie przełyku bezpośrednio do jelit (po uprzednim wycięciu żołądka), wstrzykiwanie powietrza do żył czy przetaczanie człowiekowi końskiej krwi. W tamtejszym laboratorium znajdowała się komora ciśnieniowa, gdzie japońscy oprawcy sprawdzali m.in., w jakich warunkach gałki oczne wyskakują z oczodołów.

Japońska armia żywo interesowała się także kwestią odmrożeń, w związku z ewentualnym konfliktem ze Związkiem Sowieckim. Stąd serie eksperymentów z mrożeniem i odmrażaniem kończyn.

Podobnie jak w Auschwitz Japończycy z Jednostki 731 przeprowadzali bezsensowne, okrutne eksperymenty na kobietach w ciąży, zarażanych chorobami wenerycznymi, i ich nienarodzonych dzieciach. W książce Hala Golda przeczytać możemy następującą relację pielęgniarki Akamy Masako:

„U matek chorych na kiłę porody dzieci maruta [pogardliwe japońskie określenie więźniów – przyp. red.] odbierał lekarz, który kierował naszym zespołem. Kazał mi odcinać dopływ krwi od matki do dziecka. Lekarz pobierał próbkę tej krwi, a następnie ja upuszczałam jej niewielkie ilości, a on pobierał kolejne próbki. Probówki stały w rzędzie na półce. Lekarz chciał określić, w jakim stopniu matka zaraziła kiłą dziecko i jak choroba rozwija się od momentu narodzin".

Gehenna ludzi porwanych przez Japończyków miała miejsce nie tylko w laboratorium. Cytowany przez Hala Golda żołnierz Jednostki 731 Ohara Takeyoshi zapamiętał następującą scenę:

„Widziałem testy, podczas których maruta byli przywiązywani do krzyży rozstawionych wzdłuż obwodu dużego okręgu, a nad nimi przelatywały samoloty, zrzucając bomby bakteriologiczne na obszar wewnątrz tego okręgu. Nogi maruta były skute łańcuchami, a ciała mocno przywiązane. Obserwowaliśmy te testy z odległości około dwustu metrów. Nosiliśmy specjalne kombinezony zapinane z przodu na zamek błyskawiczny i osłaniające nas od stóp do głów. Mieliśmy na sobie maski przeciwgazowe, gumowce i gumowe rękawice. Ponieważ znajdowaliśmy się na obszarach skażonych bakteriami, nie mogliśmy pójść do toalety".

IMMUNITET USA

W samych laboratoriach i obozowych celach zbudowanych na potrzeby Jednostki 731 zginęło co najmniej kilka tysięcy osób (możliwe jednak, że ofiar było nawet kilkadziesiąt tysięcy), ale japońscy odpowiednicy dr. Mengele odpowiadają również za śmierć być może nawet 200 tys.

Zbrodniarz wojenny Shirō Ishii, dowódca Jednostki 731 Cesarskiej Armii Japońskiej

FOT. DOMENA PUBLICZNA

Japońskim badaczom broni biologicznej nie wystarczały eksperymenty na pojedynczych ludziach

Chińczyków żyjących w miejscowościach „zbombardowanych" zarazkami.

Japońskim badaczom broni biologicznej nie wystarczały bowiem eksperymenty na pojedynczych ludziach. Kierownictwo Jednostki 731 wysyłało nad chińskie miasta samoloty ze śmiercionośnymi zarazkami. Taki los spotkał w 1940 r. miasto Ningbo, nad którym samoloty zrzuciły pchły zarażone dżumą, powodując tam epidemię.

Szef Jednostki 731, demoniczny mikrobiolog dr Shirō Ishii, miał jednak jeszcze dalej idące plany. W 1945 r. zaproponował japońskiemu Sztabowi Generalnemu przeprowadzenie ataku biologicznegp na zachodnim wybrzeżu USA. Dostarczone balonami zarazki miały obezwładnić Amerykanów i zapewnić Japonii zwycięstwo. Jednak dowództwo japońskich sił zbrojnych odrzuciło ten pomysł. Uznano bowiem, że planowana przez dr. Shirō Ishii epidemia nie tylko mogła unicestwić naród amerykański, lecz także zaraza miała potencjał, by rozlać się na cały świat i zagrozić również Japończykom.

Ogrom zbrodni dokonanych w laboratoriach Jednostki 731 nie pozostawiał żadnych wątpliwości – ludzie zaangażowani w te bestialskie eksperymenty byli zbrodniarzami. A jednak zwycięski Waszyngton – mimo że wśród ofiar dr. Shirō Ishii byli też amerykańscy jeńcy wojenni – nie pozwolił, by morderców z Jednostki 731 dosięgnęła sprawiedliwość. Powód był prozaiczny – amerykańska armia chciała zapoznać się z wynikami badań zespołu dr. Shirō Ishii i w zamian za współpracę zaoferowała japońskim badaczom bezkarność. I podobnie jak w przypadku czołowych niemieckich naukowców, znających tajniki hitlerowskiego programu rakietowego, również japońscy specjaliści od zabójczych zarazków i chemikaliów trafili do USA, by wzbogacić wiedzę Wuja Sama w tych kwestiach.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl d112db2444

LESZEK ŻEBROWSKI

KOMUCHOŻERCA

Neokomuna

W Polsce legalnie działa potwór polityczny, czyli Komunistyczna Partia Polski. Została zarejestrowana w 2002 r. i od tej pory regularnie wchodzi w sojusze (nie tylko wyborcze) z popłuczynami po PZPR, które co jakiś czas zmieniają nazwy. Tak działa kamuflaż. Nie jest to nagłaśniane, bo nie ma się czym chwalić publicznie, ale samo współdziałanie z jawnymi spadkobiercami moskiewskich agentur – KPP, PPR i PZPR – jest po prostu haniebne.

KPP powstała w II RP już w grudniu 1918 r. i osławiła się współdziałaniem z bolszewikami podczas wojny 1920 r. (szpiegostwo i sabotaże!), następnie brutalnymi działaniami, które miały prowadzić do destrukcji państwa polskiego. Na koncie KPP ma zamachy terrorystyczne (nawet te najbardziej krwawe, gdzie ginęło jednorazowo po kilkadziesiąt osób), morderstwa popełniane na przedstawicielach władzy państwowej (głównie policjantach) oraz „czyszczenie" własnych szeregów z towarzyszy podejrzewanych o współpracę z policją, tzw. sypaków. Istniały w tym celu w strukturach KPP specjalne komórki morderców przeznaczone do takich działań. Sporo o tym wiemy, choćby z własnoręcznego życiorysu towarzysza Mendla Kossoya vel „Wacława Komara", który w Polsce Ludowej pełnił bardzo wysokie funkcje w aparacie terroru.

W 1938 r. Stalin, kierowany przeczuciem, nakazał likwidację KPP i większości jej czołowych działaczy, podejrzewając ich o działania na dwa fronty. Wiele się nie pomylił, bo polska policja była sprawna i miała swoją rozległą agenturę w jej szeregach. Następnie odtwarzana partia komunistyczna (od 1941 r.) ukrywała już swe prawdziwe oblicze i agenturalne powiązania z Moskwą. Pisał o tym obszernie gensek Władysław Gomułka w swych pamiętnikach.

Komuniści nie uznawali suwerenności, niepodległości oraz integralności Polski i tak było do końca ich organizacyjnego istnienia. Mogło się wydawać, że w Polsce po 1989 r. nie będzie dla nich miejsca, a ich zbrodnie zostaną politycznie i prawnie rozliczone. Tak się jednak nie stało. Reaktywowana w 2002 r. KPP nie tylko nazwą nawiązała do czerwonego potwora. Uważa się ona za „historyczną i ideową spadkobierczynię" swej poprzedniczki z lat 1918–1938 oraz jej kontynuacji od 1941 r. Jest przeciwko uczestnictwu Polski w NATO i UE, krytykuje „obalenie PRL"!

Jak to jest możliwe, że taki twór polityczny działa jawnie i bez problemów? Otóż zadeklarowali, że pozytywnie odnoszą się do komunistycznej ideologii, pomijając metody i praktyki komunizmu! A gdzie i kiedy partie totalitarne od początku deklarowały, jakie są naprawdę i co jest ich zamiarem? ©℗

SŁAWOMIR KOPER

HISTORIA WIECZNIE ŻYWA

Kierunek Pomorze!

Od początku samodzielnych rządów Bolesław Krzywousty skoncentrował działania zbrojne na Pomorzu. Tamtejsze plemiona zrzuciły zależność od Polski w czasach Chrobrego i próby ich podporządkowania kończyły się niepowodzeniem. Nad Bałtykiem kwitło pogaństwo, rosły święte drzewa i stały świątynie bogów. Młody Bolesław jako rycerz miał obowiązek szerzenia wiary chrześcijańskiej, a jako książę Polski musiał zapobiegać napadom rabunkowym. O powadze sytuacji przekonał się osobiście arcybiskup gnieźnieński, Marcin. Gdy Pomorzanie zdobyli i splądrowali gród, w którym przebywał, sędziwy dostojnik schował się za ołtarzem w miejscowym kościele. Na szczęście dla niego najeźdźcy nie podpalili drewnianej świątyni.

Krzywousty lubił wojnę, kochał walkę, szczęk mieczy i niebezpieczeństwo. W jego otoczeniu dorastała grupa wojowników żyjących dla wojny i własnej chwały, z których niejeden zapłacił życiem za swoją odwagę. Podczas koncentracji wojsk na granicy pomorskiej Bolesław w otoczeniu drużyny udał się na łowy i w pobliżu natknął się na przeważające siły przeciwnika. Zanim przybyła pomoc, na polu walki poległo 50 młodzieńców z najlepszych polskich rodów. Dowodzący odsieczą palatyn Skarbimir również nie uszedł bez szwanku, ponieważ pomorska strzała pozbawiła go oka.

Nie wiadomo, jak odwdzięczył się Bolesław swojej drużynie i rodzinom poległych, ale można przypuszczać, że nie żałował złota oraz kosztowności. Pod tym względem przypominał swojego stryja – Bolesława Szczodrego. Kiedy podczas wyprawy na Czechy stracił rękę komes Żelisław, książę ufundował mu w zamian rękę ze szczerego złota!

Latem 1109 r. zorganizował wyprawę na Pomorze w celu zabezpieczenia północnych granic w obliczu zbliżającego się najazdu władcy Niemiec, Henryka V. Podczas oblężenia Nakła udało się sprowokować Pomorzan i 10 sierpnia 1109 r. doszło do walnej bitwy. Polacy rozbili wroga i zajęli gród, co miało odegrać decydującą rolę podczas zwycięskiej wojny z cesarstwem.

Wkrótce potem Krzywousty najechał Czechy, by osadzić tam swojego kandydata na tronie. Polskie wojska odniosły wówczas świetne zwycięstwo nad rzeką Trutiną, którego jednak nie wykorzystano. Jednak głównym kierunkiem działań Bolesława pozostało Pomorze. Działania księcia przyjęły inny charakter i nie myślał już wyłącznie o łupach oraz sławie, ale dążył do stałego podporządkowania sobie tej krainy. Ostatecznie osiągnął sukces, ale zajęło mu to ponad dekadę wypraw wojennych. ©℗

eprasa.pl d112db2444

REPUBLIKA

Cotygodniowy przegląd najciekawszych, najzabawniejszych i najbardziej wiralowych filmów, zdjęć i postów z internetu. Widzowie zagłosują także na niechlubne Oskary Tygodnia – **najlepszy hit z sieci.**

HITY w sieci

SOBOTA 11:11 w Republice

Zapraszają Mirona Hołda i Oskar Szafarowicz

www.radiotvrepublika.pl | Telewizja Republika | @RepublikaTV | RepublikaTV | @RepublikaTV

Republikę oglądać można na ogólnopolskim multipleksie naziemnej telewizji cyfrowej tzw. MUX-8 na pozycji 51 listy kanałów. Niezbędna do tego jest antena kierunkowa np. typu YAGI, ustawiona, w zależności od miejsca zamieszkania, poziomo lub pionowo. Ustawienie anteny sprawdź w aplikacji EmiMaps. Ósmy multipleks dociera prawie do 95% Polaków i jest nadawany w zakresie VHF. Dodatkowo można nas oglądać przez satelitę (Polsat Box, CANAL+, Orange), w sieciach kablowych, IPTV oraz w lokalnych multipleksach z Ornontowic – MUX L2 oraz Lubina i Głogowa – MUX L7. Republikę obejrzysz na żywo także na serwisie www.tvrepublika.pl, a wszystkie programy znajdziesz na oficjalnym kanale YouTube: @Telewizja_Republika.

SKANUJ KOD QR
WSPIERAJ DOM WOLNEGO SŁOWA

eprasa.pl d112db2444

Przyzwyczajeni

Maciej Pieczyński ze Lwowa

Rosjanie kontynuują masowe bombardowania ukraińskich miast na terenie całego kraju. Jak z tym zagrożeniem radzą sobie cywile?

W ostatnim czasie Rosjanie coraz częściej i intensywniej ostrzeliwują ukraińskie miasta. Rakiety i drony spadają głównie na Kijów, Odessę czy wschodnie regiony. Atakowane są jednak również zachodnie obwody. Syreny alarmowe słychać na terenie całego kraju. Czasem, ale nie zawsze w ślad za nimi słychać również wybuchy.

MORZE FLAG NAD GROBAMI

Wojny nie sposób nie zauważyć nawet tysiąc kilometrów od linii frontu. Pod koniec lipca trzy dni i trzy noce spędziłem we Lwowie. Centrum miasta, jak zawsze, pełne jest turystów. Inaczej jednak niż przed wojną, są to przede wszystkim sami Ukraińcy. W tym żołnierze, którzy przyjeżdżają na urlop z rodzinami. Widać też wielu weteranów z metalowymi protezami zamiast nóg. Na Polu Marsowym niedaleko cmentarza Łyczakowskiego pochowano ponad tysiąc żołnierzy poległych podczas aktualnej wojny z Rosją. Nad grobami powiewa morze flag – niestety, obok barw narodowych czy pułkowych mnóstwo jest też czerwono-czarnych.

Godzina policyjna jest raczej przestrzegana – przed północą lwowski Rynek pustoszeje, zamykane są bary i restauracje. Najdobitniej jednak o wojnie przypominają syreny alarmowe. W ciągu całego pobytu we Lwowie alarm zawył tylko jednej nocy. Za to kilka razy. Najpierw o 0.22, pół godziny później odwołany. Kolejny o 2.58 i trwał aż do 5.49. Cztery minuty po jego odwołaniu syrena włączyła się ponownie, by

eprasa.pl d112db2444

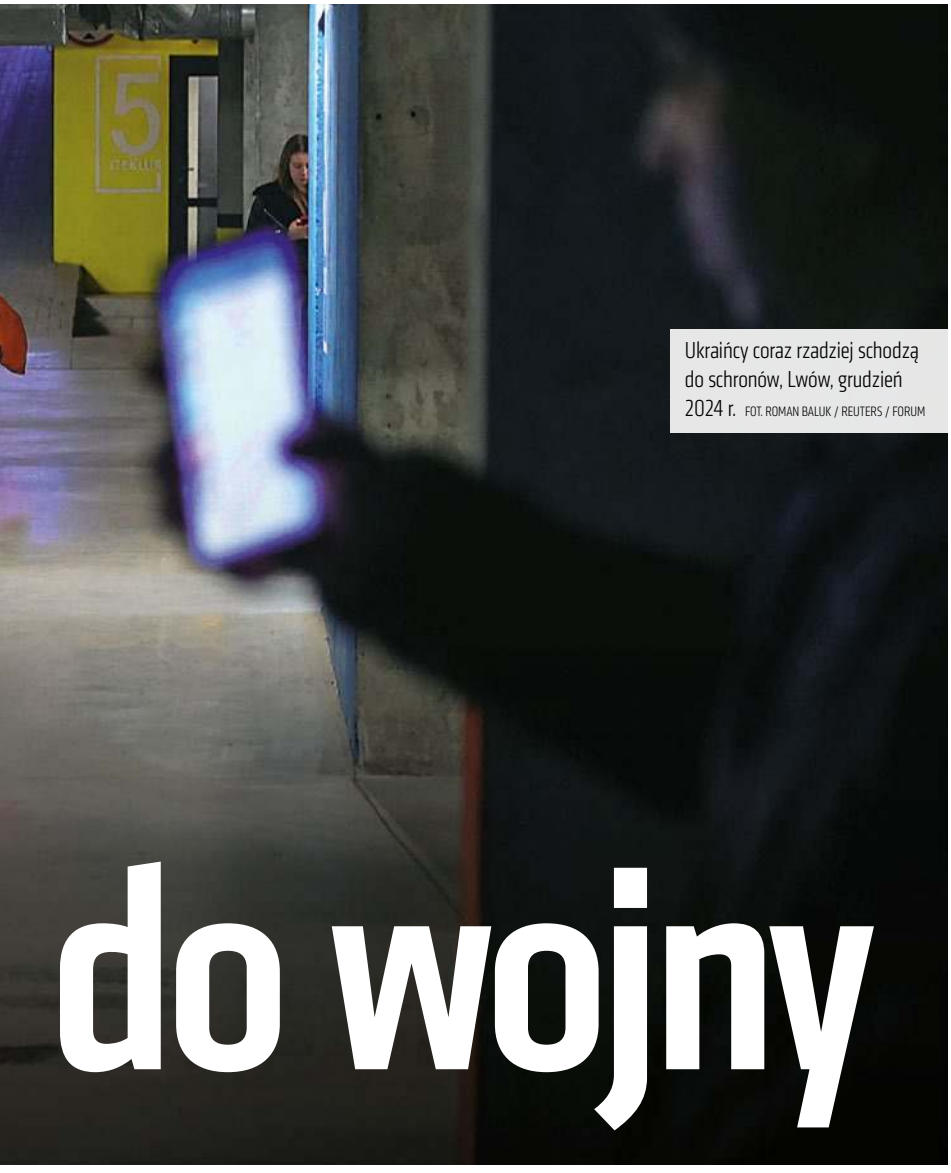

Ukraińcy coraz rzadziej schodzą do schronów, Lwów, grudzień 2024 r. FOT. ROMAN BALUK / REUTERS / FORUM

do wojny

wyłączyć się o 6.19. Dwadzieścia minut później – kolejny alarm, odwołany o 7.22. Oprócz samej syreny słychać komunikat o treści: „Uwaha, powitriana trywoha, projdit` w najbłyżcze ukryttja" (ukr. Uwaga, alarm powietrzny, idź do najbliższego schronu). To wszystko jednak nie oznacza nieuchronności bombardowania. System działa następująco. Najpierw radary wykrywają nadciągający nad Ukrainę obiekt (samolot, rakietę, drony). Oceniana jest jego trajektoria z uwzględnieniem zmiany kursu w lewo lub w prawo.

Armia przesyła informację o zagrożeniu miejscowym władzom, które włączają syreny na ulicach. Te nie zawsze i nie wszędzie da się usłyszeć (również w zależności od tego, kto jak twardy ma sen), dlatego Ukraińcy korzystają ze specjalnych aplikacji na telefon. Można w nich ustawić sobie powiadomienie o alarmie w konkretnym obwodzie. Aplikacje oferują też mapy Ukrainy, na których można zobaczyć, gdzie jest zagrożenie z powietrza, a gdzie np. toczą się walki miejskie. Mnie za pierwszym razem obudziła syrena telefoniczna właśnie.

Alarmem obejmowane są całe obwody – nie tylko miejscowości, w których kierunku leci rakieta, lecz także regiony, nad którymi najpewniej będzie przelatywać. Uwzględniając dodatkowo działanie ukraińskiej obrony przeciwlotniczej, można dojść do oczywistego wniosku, że sama syrena oznacza – tylko i aż – potencjalne zagrożenie. Dlatego Ukraińcy śledzą dodatkowo sytuację na Telegramie. Szczegóły na temat zagrożenia z powietrza publikują zarówno dobrze poinformowani blogerzy, jak i oficjalne konto Sił Powietrznych Ukrainy. Oto przykładowe komunikaty: „Shahedy w centrum obwodu czernihowskiego – kurs na zachód!"; „Drony na granicy obwodów mikołajowskiego i kirowohradzkiego, kurs północno-zachodni"; „Siedem dronów leci przez rejon połtawski w kierunku obwodu dniepropietrowskiego"; „Uwaga! Wystartował myśliwiec, przenoszący hipersoniczną rakietę Kindżał"; „Cztery skrzydlate rakiety zmierzają w stronę Iwano-Frankiwska"; „Na ten moment nad Ukrainą znajduje się 30 skrzydlatych rakiet". Właśnie tego typu informacje śledziłem na Telegramie, przebywając w schronie. A dokładniej – w piwnicy hotelu Antares, kilka minut od apartamentu, który wynajmowaliśmy wraz z żoną. Właściciel obu obiektów jest ten sam, dlatego mogliśmy skorzystać. Klasycznego schronu w okolicy nie ma, więc mieszkańcy albo chowają się w piwnicach, albo wcale. Panuje tzw. zasada dwóch ścian. Jeśli w okolicy nie ma żadnych podziemi, to w razie ataku trzeba schować się w głębi mieszkania, najlepiej tak, aby być oddzielonym od okna dwiema ścianami.

LUDZIE SĄ JUŻ ZMĘCZENI

Gdy po pierwszej syrenie o godz. 0.22 przyszliśmy do hotelu, okazało się, że jesteśmy w „schronie" jedyni. Po drugiej syrenie dołączyła do nas jedna osoba. Niemal przez całą noc alarm był włączony we wszystkich obwodach. Z komunikatów na Telegramie wynikało, że rakiety i drony nadciągały również na zachód kraju. Tej nocy miał miejsce najpoważniejszy od wybuchu wojny ostrzał Iwano-Frankiwska. Ale Lwów był bezpieczny. Jedynie przez chwilę nad ranem radary zarejestrowały pojedynczy obiekt we wschodniej części obwodu lwowskiego, który jednak zaraz potem zawrócił w stronę obwodu iwanofrankiwskiego. Z jednej więc strony trudno się dziwić mieszkańcom Lwowa, którzy wolą minimalne jednak ryzyko od nieprzespanej nocy w piwnicy. Z drugiej strony, żeby wiedzieć, że nie ma realnego zagrożenia, trzeba dyżurować przy telefonie

eprasa.pl d112db2444

i sprawdzać szczegółowe informacje. Czyli też czuwać, tyle że w mieszkaniu, a nie w schronie. Z trzeciej strony w 2025 r., jak do tej pory, tylko trzy razy (dwa razy w czerwcu, raz w lipcu) Lwów został ostrzelany dronami lub rakietami. Uszkodzonych zostało kilka budynków, nikt nie zginął. Tak czy inaczej, wojna odczuwalna jest nawet tutaj. A przecież we Lwowie panuje wręcz sielanka w porównaniu z innymi częściami kraju.

Łącznie w całym obwodzie lwowskim od początku pełnoskalowej wojny zginęły 33 osoby (z tego siedem we Lwowie), a 135 zostało rannych. W Łucku na Wołyniu w tym samym czasie zginęło pięciu cywilów. W Równem i obwodzie rówieńskim straty sięgają 25 zabitych. To jednak wciąż bardzo niewielka skala. Zupełnie inaczej wygląda sytuacja w stolicy. W nocy z 30 na 31 lipca w rezultacie nalotu shahedów i skrzydlatych rakiet na Kijów zginęło 31 osób, a 159 zostało rannych. Ogółem, według oficjalnych statystyk, przez pierwsze trzy lata inwazji w rezultacie ostrzałów rosyjskich życie straciło 210 kijowian. Ostatnio stolica Ukrainy ostrzeliwana jest coraz częściej. Nie ma dzielnicy Kijowa, która nie ucierpiałaby po 24 lutego 2022 r.

Ukraińcy zdążyli się w dużej mierze przyzwyczaić do trudnych wojennych warunków. Również do ostrzałów z powietrza. Nie tylko we Lwowie nie reagują na każdy alarm, pędząc do najbliższego schronu. Tym bardziej że nie zawsze jest dokąd. Nawet nie wszystkie szkoły w kraju są wyposażone w schrony. Takim zabezpieczeniem dysponuje jedynie ok. 75 proc. Wciąż ok. 1,8 tys. placówek nie ma swoich schronów. W centrum Kijowa rolę ukrycia odgrywa – zresztą skutecznie – tamtejsze metro. Według oficjalnych statystyk schronów na Ukrainie wystarczy dla niecałej połowy mieszkańców. Nie wszyscy chętnie schodzą do piwnic.

W Internecie można znaleźć mnóstwo artykułów, których ukraińscy autorzy, opierając się na opiniach ekspertów, zachodzili w głowę, dlaczego ich rodacy z czasem przestali reagować na alarmy przeciwlotnicze. W największym skrócie odpowiedź na to pytanie jest następująca: ludzie przyzwyczaili się do dźwięku syren, zauważyli też, że nie zawsze oznaczają one bezpośrednie zagrożenie dla nich samych, a ponadto, w zasadzie przede wszystkim, są zmęczeni wojną. I chcą żyć normalnie, ignorując ryzyko, które w zależności od miejsca zamieszkania może być ogromne (Charków, Sumy), bardzo duże (Kijów, Winnica, Odessa) albo minimalne (Lwów, Iwano-Frankiwsk).

MECHANIZMY OBRONNE

„Dlaczego Ukraińcy przyzwyczajają się do alarmów i co z tym robić?" – takie pytanie już półtora roku po wybuchu wojny stawiała na łamach „Ukraińskiej Prawdy" Wiktoria Andriejewa. W warunkach inwazji ludzie żyją w permanentnym stresie. W pierwszych miesiącach tak bardzo bali się ostrzału, że wręcz niecierpliwie czekali, aż zawyje syrena. Uspokajali się zaś dopiero wówczas, gdy słyszeli wybuchy. – Nie wiemy, kiedy zawyje syrena, a nasz system nerwowy w chronicznym stresie jest ciągle w stanie oczekiwania. Wyczerpuje się mentalnie i fizjologicznie. Dlatego gdy wreszcie zawyje syrena, mózg otrzymuje realizację swojej prognozy. Jest nam przyjemnie, bo przewidzieliśmy pewne zdarzenie – tłumaczy na łamach „Ukraińskiej Prawdy" neurobiolog Wiktoria Krawczenko.

Stres, związany z ryzykiem ostrzału, powoduje przyspieszenie pulsu i rozszerzenie źrenic

Z psychologicznego punktu widzenia reakcje na alarm przeciwlotniczy mogą być różne. Zazwyczaj organizm błyskawicznie produkuje adrenalinę, która mobilizuje do działania i pozwala szybko znaleźć się w bezpiecznym miejscu, oraz noradrenalinę, która wywołuje przypływ energii. Paradoksalnie stres powoduje ponadto wydzielanie endorfin, polepszających nastrój i obniżających próg bólu. W ten sposób organizm ubezpiecza się na wypadek odniesienia ran czy obrażeń podczas ucieczki. Celem nadrzędnym jest dotarcie do schronu – choćby ze złamaną nogą. Mózg zawsze szuka związku przyczynowo-skutkowego.

Przed wojną dźwięk wybuchu kojarzony był z fajerwerkami albo burzą. Obecnie – z dronami czy rakietami. Analogicznie alarm przeciwlotniczy w pierwszych miesiącach inwazji zaczął być postrzegany jako przyczyna, której skutkiem będzie wybuch. Po pewnym czasie jednak pojawiła się świadomość, że nie każdy alarm oznacza nieuchronność bombardowania. System „szybkiego reagowania" organizmu zaczął więc słabnąć. – Ludzie się przyzwyczajają, ponieważ mózg jest elastyczny w swoich reakcjach – tak neurobiolog tłumaczy, dlaczego sygnał alarmu przeciwlotniczego przestał wywoływać wydzielanie „stresowych" ilości adrenaliny i noradrenaliny. Człowiek wciąż zdaje sobie sprawę, że skoro wyje syrena, to gdzieś leci dron lub rakieta, wciąż może więc odczuwać strach przed nalotem, jednak fizjologia już nie daje „paliwa" do walki czy ucieczki z potencjalnym zagrożeniem – taką ocenę psychologów przytacza „Ukraińska Prawda". Ich zdaniem ludzie ignorują alarm również dlatego, że nie zawsze widzą wybuchy na własne oczy. Często strach wynika z tego, że nie wiadomo, gdzie rakieta lub dron uderzy. Wówczas dźwięk wybuchu działa kojąco na skołatane nerwy – bo wiadomo, że gdzieś coś spadło, ale na szczęście nie na mnie. Chwilowa ulga nie jest jednak równoznaczna z odpoczynkiem, którego potrzebujemy, żeby w warunkach permanentnego stresu nie zwariować.

Pomagają mechanizmy obronne. Na przykład poczucie humoru (oglądanie memów w Internecie, żartowanie, śmiech bez przyczyny) albo próby logicznego wyjaśniania samemu sobie, dlaczego nie warto się bać (np. „W mój blok na pewno nie trafią, za to los tego sąsiedniego jest przesądzony"). To ostatnie praktykują ci, którzy czują się pewniej, gdy kontrolują sytuację albo przynajmniej mają takie wrażenie.

Stres, związany z mniejszym lub większym ryzykiem ostrzału, powoduje przyspieszenie pulsu i rozszerzenie źrenic, wszystko wokół wydaje się bardziej jaskrawe. Dlatego też, paradoksalnie, im poważniejsze zagrożenie z powietrza, tym bardziej wielu Ukraińcom wydaje się, że żyją pełnią życia. Ryzyko śmierci mobilizuje do działania i wyostrza zmysły.

©℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl d112db2444

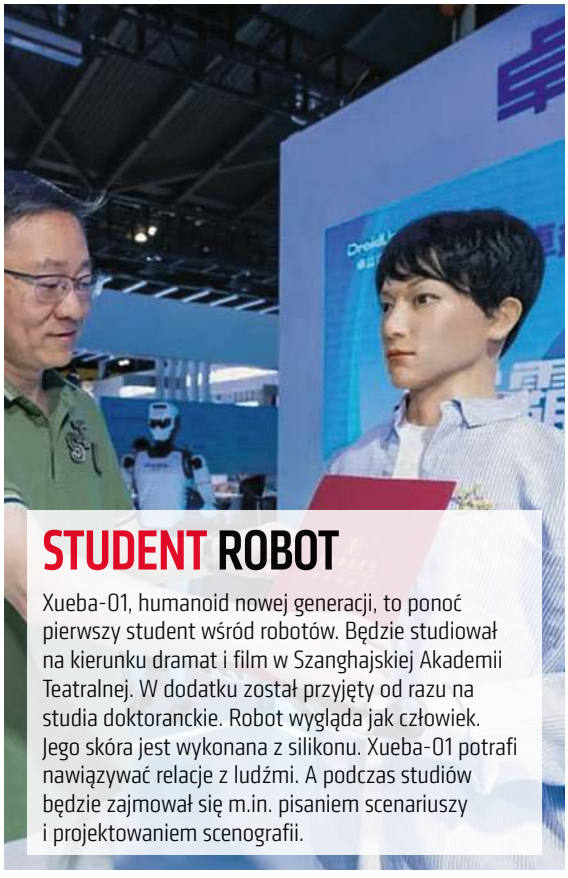

FOT. SCMP

STUDENT ROBOT

Xueba-01, humanoid nowej generacji, to ponoć pierwszy student wśród robotów. Będzie studiował na kierunku dramat i film w Szanghajskiej Akademii Teatralnej. W dodatku został przyjęty od razu na studia doktoranckie. Robot wygląda jak człowiek. Jego skóra jest wykonana z silikonu. Xueba-01 potrafi nawiązywać relacje z ludźmi. A podczas studiów będzie zajmował się m.in. pisaniem scenariuszy i projektowaniem scenografii.

JAK ELVIS

Amerykański wokalista Travis Allen naśladuje Elvisa Presleya – zarówno wizerunkowo, jak i śpiewając przeboje króla rock and rolla. Poza tym jest szczęśliwym mężem swojej żony. Kariera muzyczna artysty niesie jednak konsekwencje, które dotykają jego życia osobistego. Allen jest bowiem traktowany jak Presley. Nie może się opędzić od kobiet, które za nim szaleją i próbują z nim nachalnie flirtować. Nie robią one sobie nic z tego, że mężczyzna jest żonaty.

CO KRAJ, TO OBYCZAJ

W algierskim mieście Chetaïbi wprowadzono zakaz noszenia przez mężczyzn zbyt krótkich i obcisłych kąpielówek. Ten śródziemnomorski kurort przyciąga turystów z krajów zachodnich, dla których skąpy ubiór na plaży jest oczywistością. Tymczasem do głosu doszły opinie lokalnej ludności muzułmańskiej. Jej zdaniem obyczaje przybyszów są nieprzyzwoite. Po dwóch dniach burmistrz miasta cofnął rygorystyczny przepis, stwierdzając, że zależy mu na zachowaniu „spokoju i harmonii".

ZAROBIĆ NA AMPUTACJI

Neil Hopper, chirurg naczyniowy z Wielkiej Brytanii, amputował sobie obie nogi. Jak twierdzi, stało się to w wyniku sepsy. Tymczasem brytyjska policja powiadomiła opinię publiczną, że lekarz dokonał samookaleczenia, żeby wyłudzić gigantyczne kwoty pieniędzy z ubezpieczenia. Zanim wobec Hoppera pojawiły się podejrzenia, był on na krótkiej liście kandydatów do konkursu Europejskiej Agencji Kosmicznej na astronautę z niepełnosprawnością.

NAGI INTRUZ

W Oklahoma City małżeństwo zostało zaskoczone przez mężczyznę, który wtargnął do domu pary. Intruz był nagi. Wrażenie robiły też jego cechy fizyczne: wzrost – prawie 1,9 m oraz waga – ok. 180 kg. Gdy skonsternowani gospodarze zagrozili mu bronią, uciekł tylnymi drzwiami i wskoczył do pobliskiego stawu, w którym roiło się od węży. Mężczyzna spędził w wodzie mniej więcej godzinę, po czym został z niej wyciągnięty przez policję. Przeżył. ©℗

Filip Memches

JACEK PRZYBYLSKI

GLOBALNE OCHŁODZENIE

Polska przed MEGA szansą

Gdy Karol Nawrocki oficjalnie obejmował urząd Prezydenta Rzeczypospolitej Polskiej, przed Sejmem zgromadziły się tłumy jego sympatyków z biało-czerwonymi flagami. Aby wspólnie świętować ten historyczny moment, do Warszawy zwolennicy konserwatywnego prezydenta, który wbrew woli Brukseli i Berlina pokonał kandydata obozu rządzącego i pokrzyżował „proeuropejskiemu" rządowi Donalda Tuska plany przejęcia pełni władzy, przybyli nie tylko z różnych rejonów Polski.

Do Warszawy na zaprzysiężenie prezydenta, który nie ukrywa, że jest zwolennikiem Donalda Trumpa, przyleciała delegacja z USA.

Nawrocki może być gwarantem dobrych relacji z Trumpem. Ale nie tylko. Na inaugurację przybyli też sympatycy ruchu MEGA („Make Europe Great Again"). Było to już piąte – po zorganizowanych przez rumuńską partię AUR konferencjach w Belgii, Grecji, Rumunii i Mołdawii – spotkanie ruchu, który choć inspiruje się Trumpowskim hasłem „Make America Great Again", to skupia konserwatystów, eurorealistów czy eurosceptyków, którzy wcale nie marzą o Stanach Zjednoczonych Europy. Przeciwnie: chcą tak zreformować UE, aby umożliwiała jak najszybszy rozwój gospodarczy europejskich narodów bez pozbawiania ich suwerenności, tożsamości czy chrześcijaństwa.

Tego właśnie wydaje się chcieć też prezydent Nawrocki, który w orędziu zapowiedział, że będzie bronił Polski przed nielegalnymi imigrantami, a także że nie zgodzi się na pozatraktatowe rozszerzanie kompetencji Unii czy zmuszenie Polaków do przyjęcia euro. Polska za prezydentury Nawrockiego ma więc MEGA szansę stanąć na czele rosnącego w siłę ruchu odnowy UE. ©℗

eprasa.pl d112db2444

FOT. ADOBE STOCK

Firmy cenniejsze niż państwa

Jacek Przybylski

Microsoft to już druga amerykańska spółka, której kapitalizacja przekroczyła symboliczną barierę 4 bln dol. Wcześniej rekord ten ustanowiła NVIDIA. Dla porównania: nieco powyżej 4 bln dol. wynosi produkt krajowy brutto Japonii, czyli piątej gospodarki świata. Nominalny PKB Polski jest zaś wciąż kilkukrotnie niższy

Jeżeli wszystko pójdzie zgodnie z prognozami Międzynarodowego Funduszu Walutowego, to PKB Polski sięgnie w tym roku ok. 1 bln dol. Tym samym już w tym roku polska gospodarka prześcignie szwajcarską (trzeba jednak pamiętać, że bogatą Szwajcarię zamieszkuje zaledwie 8,9 mln mieszkańców) i pod względem nominalnego PKB w przeliczeniu na dolary znajdzie się w grupie 20 największych gospodarek na świecie. Mimo to tylko na amerykańskiej giełdzie jest już 11 spółek o kapitalizacji przekraczającej poziom 1 bln dol. Największe z nich są zaś warte więcej, niż wynosi PKB tak rozwiniętych państw jak Francja czy Włochy. Część z nich – jak choćby Amazon – nie tylko rynkową wycenę, ale i roczne przychody ma zaś na poziomie wyższym, niż wynosi PKB takich krajów jak choćby Słowacja.

BIG TECH PRZEBIJA SUFIT

Dlaczego te liczby robią takie wrażenie? Jeszcze na początku XX w. – dokładnie w roku 1901 – światowe media zachwycały się, gdy pierwsza spółka w historii przekroczyła kapitalizację wynoszącą miliard dolarów. Obecnie nie starczyłoby miejsca, aby je wszystkie w tygodniku opisać. Amerykańscy giganci biją zaś rekordy, które nie tylko 100 lat temu, lecz także dwie dekady temu byłyby trudne do wyobrażenia. W lipcu 2025 r. amerykańska NVIDIA jako pierwsza firma w historii globalnych rynków finansowych przekroczyła poziom 4 bln dol. (słownie: czterech bilionów dolarów), co jest równowartością ponad 14,6 bln zł.

Producent chipów wykorzystywanych m.in. w coraz popularniejszych systemach sztucznej inteligencji wyceniany był na 4,004 bln dol. Aby łatwiej można było sobie tę kwotę wyobrazić, ta jedna amerykańska spółka stała się warta więcej niż wszystkie

eprasa.pl d112db2444

spółki notowane na parkiecie w Wielkiej Brytanii lub też więcej, niż wynosi łączna wartość spółek notowanych na parkietach w Kanadzie i w Meksyku.

W tym przypadku imponujące jest również niebywałe wręcz tempo wzrostu wartości – jeszcze w połowie 2023 r. kapitalizacja spółki NVIDIA pierwszy raz osiągnęła wartość 1 bln dol. A następnie błyskawicznie jej rynkowa wycena wzrosła o kolejne 3 bln dol. Tempo wzrostu wartości Nvidii, która początkowo znana była głównie jako producent układów scalonych do gier, następnie ulubionego producenta sprzętu „górników" kopiących kryptowaluty, a dopiero później stała się dominującym graczem w sektorze sztucznej inteligencji, było szybsze niż w przypadku nawet takich gwiazd Wall Street jak Microsoft czy Apple. Inwestor, który wydał 1 tys. dol. na zakup akcji Nvidii w kwietniu 2005 r., obecnie miałby już portfel wart ponad milion dolarów.

Wzrost kapitalizacji rynkowej amerykańskiego producenta chipów nie wynika wyłącznie z mody czy marzeń inwestorów o szybkim zarobku. NVIDIA odnotowuje rekordowe zyski, które wciąż szybko rosną, ponieważ korporacje inwestują gigantyczne pieniądze w tworzenie dużych modeli językowych, przetwarzanie danych w chmurze i w ogromne centra danych. W ciągu ostatniej dekady przychody spółki wzrosły więc o 3,72 tys. proc., a jej dochód netto – o 72 tys. proc. Tylko w pierwszym kwartale obecnego roku NVIDIA odnotowała przychód w wysokości 44,1 mld dol., co oznaczało wzrost aż o 69 proc. w porównaniu z tym samym okresem roku ubiegłego.

Gdy w czwartek zamykaliśmy to wydanie „Do Rzeczy", NVIDIA była już przez inwestorów wyceniana na 4,37 bln dol. Jeśli NVIDIA nadal będzie zyskiwać w takim tempie, to już niebawem może być warta co najmniej tyle, ile wyniesie w całym roku 2025 produkt krajowy brutto Niemiec. PKB największej pod względem wielkości gospodarki Europy oraz trzeciej gospodarki świata, po Stanach Zjednoczonych i Chinach, ma bowiem według prognoz wynieść 4,53 bln dol.

A to wcale nie koniec optymistycznych wieści dla tej amerykańskiej korporacji. Według prognoz niektórych analityków kapitalizacja rynkowa spółki NVIDIA może pod koniec obecnego roku przekroczyć poziom aż 5 bln dol. Według analityków takich jak Beth Kindig kapitalizacja rynkowa producenta chipów do roku 2030 może zaś wzrosnąć do trudnego do wyobrażenia poziomu aż 10 bln dol., czyli połowy prognozowanego na obecny rok nominalnego PKB Chin.

MICROSOFT ZYSKUJE I... ZWALNIA

Drugą najcenniejszą spółką na Wall Street jest Microsoft. Producent popularnych systemów operacyjnych oraz oprogramowania biurowego na przełomie lipca i sierpnia rozbił bank, gdy ogłosił znakomite wyniki finansowe za drugi kwartał 2025 r. (czyli czwarty kwartał obrachunkowy). Spółka pochwaliła się przychodami w wysokości aż 76,4 mld dol. Niezłe dla spółki były jednak nie tylko ostatnie trzy miesiące, lecz także cały rok obrotowy zakończony 30 czerwca 2025 r. Przychody wzrosły bowiem o 15 proc. do 281,7 mld dol., a dochód netto zwiększył się o 16 proc. do 101,8 mld dol.

Inwestorzy oszaleli, widząc ogromny potencjał w roli

REKLAMA

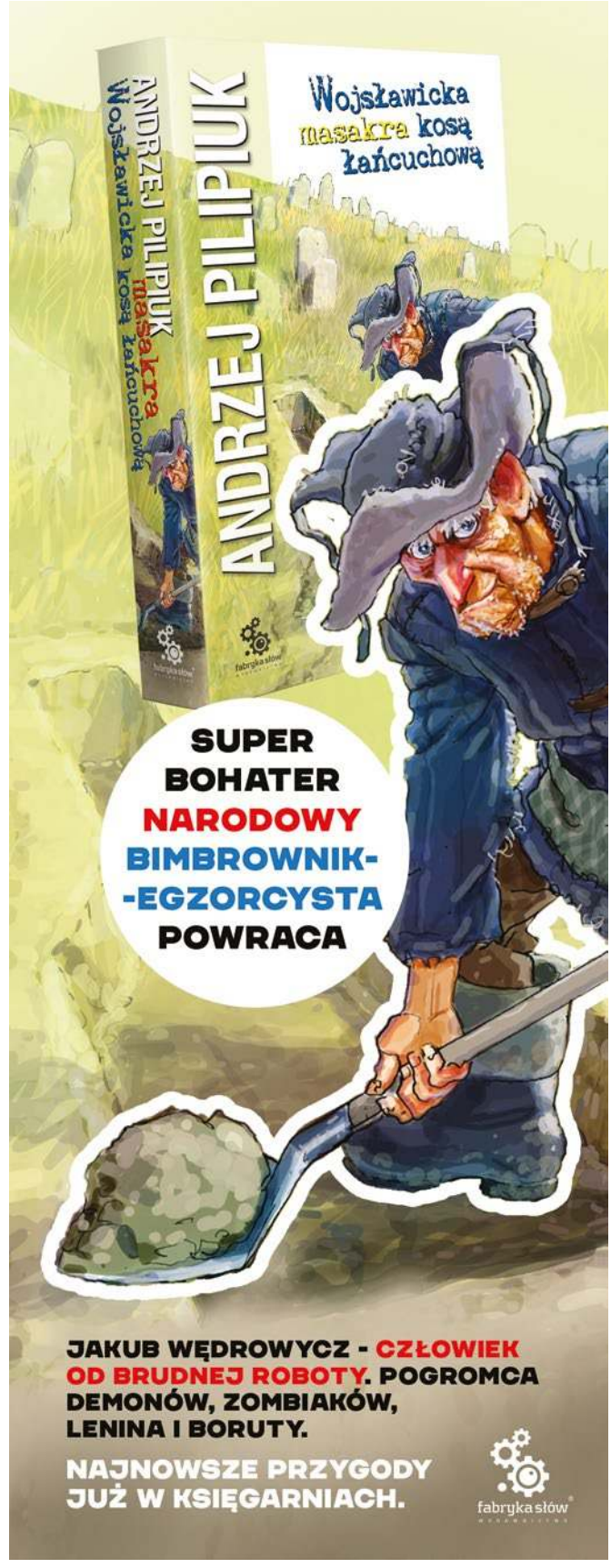

eprasa.pl d112db2444

Microsoftu w rozwoju sztucznej inteligencji, a także w potężnej chmurze obliczeniowej o nazwie Azure, będącej platformą do tworzenia, wdrażania i zarządzania innowacyjnymi rozwiązaniami. Tylko w przypadku platformy Azure Microsoft odnotował aż 39-procentowy wzrost sprzedaży. Efekt? Po skokowym wzroście wartości akcji do powyżej 550 dol. kapitalizacja rynkowa firmy wzrosła do ok. 4,1 bln dol.

Co prawda, wycena akcji w ubiegłym tygodniu spadła do 3,91 bln dol., ale według analityków spółka ma szansę niebawem powrócić do prestiżowego klubu korporacji wycenianych przez inwestorów na ponad 4 bln dol. W ujęciu rocznym przychody spółki mogą bowiem wzrosnąć w dwucyfrowym tempie.

Amerykański gigant technologiczny bardzo ostro tnie koszty zatrudnienia. Na początku lipca Microsoft zapowiedział zwolnienie kolejnych 9 tys. pracowników, co stanowi ok. 4 proc. globalnej załogi według stanu na zeszły rok (wówczas spółka na pełen etat zatrudniała niemal 230 tys. pracowników). To już kolejna wielka fala zwolnień. Wcześniej spółka na masową skalę żegnała się z zatrudnionymi w maju (6 tys. pracowników) oraz w czerwcu (300 osób).

Zamiast wydawać pieniądze na ludzi, spółka woli rozwijać sztuczną inteligencję (według prognoz dalszy rozwój narzędzi AI ma bowiem jeszcze bardziej zmniejszyć zapotrzebowanie na programistów, wymagających snu, pożywienia i miesięcznych pensji). Microsoft planuje m.in. wydać ogromne pieniądze na inwestycje. Aby sprostać ogromnemu popytowi na usługi związane ze sztuczną inteligencją, spółka tylko w pierwszym kwartale fiskalnym 2026 r. planuje zainwestować w zwiększenie mocy obliczeniowej centrów danych aż 30 mld dol. W całym roku fiskalnym 2025 spółka przeznaczyła zaś na inwestycje w rozwój infrastruktury niezbędnej do obsługi projektów związanych ze sztuczną inteligencją aż 88,2 mld dol. Dla porównania: prognozowany produkt krajowy brutto Białorusi w całym 2025 r. ma wynieść według Międzynarodowego Funduszu Walutowego równowartość 71,6 mld dol.

APPLE JAK FRANCJA

Pierwszą trójkę amerykańskich spółek o największej kapitalizacji zamyka Apple. W 2018 r. firma ta zapisała się na kartach historii światowej gospodarki, stając się pierwszą spółką, której kapitalizacja przekroczyła bilion dolarów. W ubiegłym tygodniu rynkowa wycena producenta iPhone'ów, iPadów, MacBooków etc. wyniosła 3,18 bln dol. Kapitalizacja Apple była więc tylko nieco niższa niż szacowany na 2025 r. PKB zamieszkanej przez niemal 70 mln osób Francji (3,21 bln dol.).

W pierwszej piątce najbardziej wartościowych amerykańskich spółek są jeszcze Amazon oraz Alphabet (spółka matka Google) z wycenami na poziomie 2,37 bln dol. oraz 2,36 bln dol. Każda z tych firm ma więc rynkową wartość dwukrotnie wyższą, niż ma wynieść rekordowy w tym rok PKB Polski lub też – być może łatwiej będzie to sobie wyobrazić – wyższą niż produkt krajowy brutto łącznie Polski, Węgier, Czech oraz Słowacji.

Również wycena amerykańskiego konglomeratu technologicznego Meta Platforms (należą do niego m.in. Facebook, Instagram, WhatsApp, Oculus etc.) od kilku dobrych lat jest wyższa od PKB Polski. W ubiegłym tygodniu wynosiła 1,92 bln dol. W gronie notowanych w USA spółek, których rynkowa wartość jest wyższa od polskiego produktu krajowego brutto, znalazły się też Saudi Aramco (wart 1,57 bln dol.), Broadcom (działająca w obszarze półprzewodników firma wyceniana jest na 1,42 bln dol.), TSMC (tajwańskie przedsiębiorstwo specjalizujące się w produkcji układów scalonych z kapitalizacją 1,2 bln dol.), kierowana przez Elona Muska Tesla (z wyceną 1,03 bln dol.) czy słynny wehikuł inwestycyjny Warrena Buffetta, Berkshire Hathaway (o giełdowej wartości 1,01 bln dol.).

Oczywiście zestawienie kapitalizacji największych globalnych spółek z PKB różnych państw rozwiniętych służy jedynie pobudzeniu wyobraźni. Trudno jest uznać, że zachowane są tu te same zmienne, czyli że rzeczywiście porównujemy „jabłka z jabłkami". Być może bardziej miarodajne byłoby porównywanie przychodów spółek z wynikami poszczególnych gospodarek (tak jak w przypadku spółki Amazon i nominalnego PKB Słowacji).

Warto jednak czynić podobne zestawienia choćby po to, aby uzmysłowić sobie, dlaczego menedżerowie amerykańskich spółek określanych od kilku lat popularnym skrótem GAFAM (od pierwszych liter Google, Amazon, Facebook, Apple i Microsoft) stają się coraz potężniejsi nie tylko pod względem finansowym. Za rosnącą wartością rynkową globalnych gigantów technologicznych idą również coraz silniejsze wpływy polityczne oraz społeczne.

Bardzo wpływowi są nie tylko szefowie korporacji z pierwszej trójki spółek o największej kapitalizacji, lecz także wielu innych. Inwestorzy z Wall Street, zainspirowani słynnym westernem o „Siedmiu wspaniałych", ukuli już nawet termin „Magnificent Seven", który odnosi się do grupy najpotężniejszych spółek technologicznych. W jej skład wchodzą Alphabet, Amazon, Apple, Broadcom, Meta Platforms, Microsoft oraz NVIDIA. W tym przypadku nawet krajowe rządy mogą okazać się mniej wpływowe niż zarządy poszczególnych spółek.

A CO Z GPW?

Na warszawskim parkiecie giełdowym również mamy swoich rekordzistów, chociaż – rzecz jasna – na dużo mniejszą skalę. 18 marca 2025 r. na kartach historii zapisał się choćby PKO Bank Polski. Właśnie tego dnia giełdowa wycena tej spółki przekroczyła poziom 100 mld zł. 9 lipca obecnego roku do grona polskich gigantów o kapitalizacji przekraczającej 100 mld zł dołączył zaś multienergetyczny koncern PKN Orlen, który oprócz rafinerii w Polsce, Czechach i na Litwie posiada również sieć stacji paliw w Polsce, w Niemczech, Austrii, na Węgrzech i na Słowacji.

Porównanie giełdowej wartości amerykańskich gigantów, na których przychody pracują przecież nie tylko Amerykanie, ale którzy zyski czerpią z działalności na dużej części globu, do spółek z krajów takich jak Polska, dobrze ukazuje rosnącą przepaść między innowacyjną gospodarką Stanów Zjednoczonych a coraz mniej znaczącymi gospodarkami Starego Kontynentu. Choćby dlatego potrzebujemy wielkich planów i wielkich inwestycji.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl d112db2444

PIOTR GABRYEL

PROSTO ZYGZAKIEM

Rumuński krach w Polsce?

Rumuni właśnie budzą się ze snu o „przyrodzonym prawie do konsumowania owoców wzrostu", który zafundowali im – rzecz jasna, za ich własne pieniądze – ich politycy spod znaku dewizy „pieniądze na wszystko zawsze muszą się znaleźć". I jest to koszmarne przebudzenie.

Podstawowa stawka podatku VAT idzie w Rumunii w górę z 19 do 21 proc., a stawki obniżone (m.in. na żywność, leki i ogrzewanie) z 5 i 9 proc. do 11 proc. Rosną także akcyzy na paliwa, alkohol i papierosy oraz podatki zdrowotny, bankowy i od nieruchomości. A po stronie wydatków: hamowane są podwyżki emerytur, redukowana liczba i wysokość stypendiów dla młodzieży, zamrażana wysokość wynagrodzeń w budżetówce, zwalniani są urzędnicy, wydłużany jest czas pracy nauczycieli itd.

Jak do tego wszystkiego doszło? Jak to się stało, że „rumuński cud gospodarczy" właśnie wali się niczym domek z kart? „Rumuński cud gospodarczy", o którym tak chętnie rozpisywano się w ostatnich latach, zwykle przymykając oko na to, że jest to „cud" mocno na kredyt? Ano cóż, wystarczy popatrzeć na rumuńską (czy aż tak bardzo różną od polskiej, zainicjowanej przez PiS w 2015 r.?) wersję polityki „pieniądze na wszystko zawsze muszą się znaleźć". To właśnie ta polityka sprawiła, że rumuński dług publiczny w ciągu zaledwie pięciu lat – między latami 2019 a 2024 – eksplodował z 35 do aż 55 proc. PKB (dług publiczny Polski pewnie już w tym roku przekroczy 60 proc. PKB). W tym czasie deficyt finansów publicznych wynosił: w 2019 r. – 4,3 proc. PKB (w Polsce – 1,8 proc.), w 2020 r. – 9,2 proc. PKB (w Polsce – 1,2 proc.), w 2021 r. – 7,1 proc. PKB (w Polsce – 1,9 proc.), w 2022 r. – 6,4 proc. PKB (w Polsce – 3,4 proc.), w 2023 r. – 6,6 proc. PKB (w Polsce – 5,3 proc.) i w 2024 r. – 9,3 proc. PKB (w Polsce – 6,6 proc.). A w 2025 r. Rumunia zaplanowała deficyt finansów publicznych na poziomie 7 proc. PKB, podczas gdy Polska swój… na poziomie 7,3 proc.

Czyż więc nie zmierzamy dokładnie rumuńską drogą zarówno ze swoim deficytem finansów, jak i długiem? A jeśli tak, to kiedy ta droga zakończy się dla nas rumuńskim krachem? Bo przecież polityka „pieniądze na wszystko zawsze muszą się znaleźć" obowiązuje u nas nadal – i w wydaniu PiS, i Platformy. A nowy prezydent, jak niemało na to wskazuje (np. niektóre szykowane projekty ustaw obniżających podatki i tym samym wpływy budżetowe bez obniżania wydatków budżetowych), będzie w tej grze licytował raczej w górę zamiast w dół, tak że „rumuński deficyt finansów publicznych" w wysokości 9 proc. PKB coraz bardziej jest „w zasięgu" Polski, a więc rumuński krach także. ©℗

ŁUKASZ WARZECHA

NOTATNIK MALKONTENTA

Hołownia jak Gowin

Nigdy nie jesteśmy w stanie przeniknąć w pełni motywacji polityków. Wiemy o nich tyle, ile powiedzą nam oni sami albo zrelacjonują, oficjalnie lub nieoficjalnie, ich współpracownicy czy świadkowie danej sytuacji. Trzeba jednak pamiętać, że nie siedzimy w głowach decydentów. Dlatego najlepiej jest komentować nie domniemane motywacje, ale efekty.

Nie mam pojęcia, co działo się w głowie marszałka Hołowni przed 6 sierpnia. Mogę jedynie spekulować, że motywy jego decyzji, aby zwołać Zgromadzenie Narodowe i odebrać przysięgę od Karola Nawrockiego, były złożone. Była wśród nich zapewne myśl o własnej politycznej przyszłości, może związanej z dzisiejszą opozycją. Był być może strach przed przyszłą odpowiedzialnością karną, gdyby zachował się inaczej, a zapewne także świadomość, że jest przez koalicjanta podpuszczany, żeby ostatecznie być jedynym kozłem ofiarnym. Jednak chciałbym wierzyć, że była też myśl o tym, jak się kiedyś będzie o nim pisać i po prostu o polskim państwie.

Bywali w najnowszej historii Polski polityczni bohaterowie, dzięki którym kraj nie pogrążył się w chaosie

Tak czy owak, rezultat jest jasny: ostatecznie mamy nowego prezydenta, wybranego w wyborach powszechnych przez naród. I za ten rezultat całkiem serio należy Szymona Hołownię docenić. Takie bowiem mamy czasy, że nierzadko doceniać trzeba za niezrobienie czegoś lub po prostu za normalne zachowanie.

Bywali w najnowszej historii Polski nieco zapomniani już polityczni bohaterowie, dzięki którym kraj nie pogrążył się w chaosie. Szymona Hołownię można dzisiaj postawić obok Jarosława Gowina, który stawiając na szali swoją karierę – i przegrywając ją – zapobiegł realizacji szaleńczego pomysłu Jarosława Kaczyńskiego, aby przeprowadzić w 2020 r. kopertowe wybory prezydenckie. Okrutna ironia losu w tym, że Kaczyński, który swoimi głupimi planami mógł wywrócić państwo, zasiada dzisiaj nadal w Sejmie i przewodzi największej partii opozycyjnej, a Jarosław Gowin pogrąża się w zapomnieniu. ©℗

eprasa.pl d112db2444

Cezary Gmyz

Do Czerwińska z pielgrzymkami przybywali zarówno Jagiellonowie, jak i Wazowie. A tradycję tę kontynuowały już niekoronowane głowy państwa polskiego, jak Ignacy Mościcki i Andrzej Duda. Dlaczego?

Potężna romańska świątynia w Czerwińsku nad Wisłą imponuje wielkością, zwłaszcza razem z okazałym klasztorem FOT. ADOBE STOCK

Wielka historia małego miasteczka

Czerwińsk nad Wisłą to jedno z tych miast Rzeczypospolitej, które odcisnęło trwały ślad na dziejach Polski. Urokliwe miasteczko położone między Zakroczymiem a Wyszogrodem ma potencjał turystyczny nieustępujący Kazimierzowi Dolnemu. Jednak fakt, że jest znacznie słabiej skomunikowane, sprawia, że pozostaje na uboczu tras turystycznych. A szkoda.

Mało kto zdaje sobie sprawę, że za czasów Władysława Jagiełły nie ustępował on swoim znaczeniem Warszawie. W dużej zaś mierze zawdzięczał swój ówczesny rozwój żegludze wiślanej, przez wieki pozostając ważnym portem śródlądowym na wiślanym szlaku. Choć ustępował znaczeniem Płockowi, gdzie rezydowali książęta mazowieccy, to odegrał w historii rolę zarówno militarną, jak i polityczną, i to do tego stopnia, że można pokusić się o nazwanie go kolebką polskiej demokracji. Ale o tym za chwilę.

PUNKT NAWIGACYJNY

Z epoki Jagiellonów musimy się bowiem cofnąć do początków państwa polskiego. Po raz pierwszy w piśmie Czerwińsk wzmiankowany został w tzw. falsyfikacie mogileńskim datowanym pierwotnie na 1065 r. Nazwa „falsyfikat" jest nieco myląca, bo dokument, który zachował się do dziś, jest jak najbardziej prawdziwy. Tyle tylko, że w rzeczywistości powstał 90 lat później. Mylne datowanie zawdzięczamy Janowi Długoszowi, który uznał, że dokument powstał w czasach Bolesława Śmiałego zwanego też Szczodrym. Historycy stawiają jednak tezę, że dokument opisywał wcześniejsze nadania ziemskie benedyktynom z Mogilna na Kujawach. I właśnie w tym kontekście został wymieniony Czerwińsk. Jednak to nie benedyktyni odegrali najważniejszą rolę w historii Czerwińska, lecz kanonicy regularni św. Augustyna, myleni często z innym zakonem – augustianów.

Kanonicy ok. 1124 r. wznieśli tutaj potężną romańską świątynię, która do dziś imponuje wielkością, zwłaszcza razem z potężnym klasztorem. Budowlę w całej jej okazałości najlepiej widać z rzeki lub z przeciwległego brzegu. Przez wieki stanowiła jeden z najważniejszych i najbardziej charakterystycznych punktów nawigacyjnych na szlaku Wisły. Zespół kościelno-klasztorny pełnił też bardzo ważną funkcję obronną. Dość powiedzieć, że ostał się podczas najazdów litewskich i ruskich na Mazowsze, kiedy to z ziemią równano grody na Jazdowie i w Płocku. Stosunkowo długo Czerwińsk pozostawał pod zwierzchnością Piastów. Jednak do największego znaczenia doszedł za pierwszego króla z dynastii Jagiellonów, czyli Władysława Jagiełły, choć prawa miejskie uzyskał wcześniej, bo w 1373 r.

SPRYTNY PLAN JAGIEŁŁY

Kluczową rolę Czerwińsk odegrał w latach 1409–1411, kiedy to toczyła się wielka wojna z zakonem krzyżackim, której szczytowym punktem była bitwa pod Grunwaldem. Agresorem byli Krzyżacy, którzy zdobyli ziemię dobrzyńską i zaczęli atakować Mazowsze.

Trzeba przyznać, że Jagiełło w tej wojnie wykazał się niebywałym wręcz geniuszem strategicznym oraz umiejętnościami logistycznymi. Przygotowania do rozprawy z Krzyżakami rozpoczęły się od zgromadzenia potężnych zapasów. Urządzano wielkie polowania, m.in. na tury i żubry. Mięso solono i transportowano Wisłą w beczkach do Płocka. Dziś powiedzielibyśmy, że te transporty

eprasa.pl d112db2444

były elementem wojny informacyjnej, ponieważ gromadzenie zapasów w tym mieście było zabiegiem maskującym. Jak się okazało – skutecznym. Krzyżacy byli przekonani, że to właśnie Płock będzie miejscem przeprawy i koncentracji wojsk polskich.

Jagiełło miał jednak inny plan. Równocześnie z dostawami do Płocka trwał wielki wyrąb drzew w Puszczy Kozienickiej. Tamtejsi drwale, a następnie szkutnicy pracowali dniem i nocą, przygotowując jedną z najbardziej niezwykłych konstrukcji inżynieryjnych średniowiecza – most pontonowy czy, jak niektórzy mówią, łyżwowy. Nad budową czuwał starosta radomski Dobrogost z Odrzywołu, głównym inżynierem projektu był mistrz Jarosław. Wszystkie elementy mostu ukończono w sześć miesięcy. Głównym elementem konstrukcyjnym było 150 płaskodennych łodzi o długości 5 m i szerokości 1,5 m. Łodzie ustawiono wzdłuż nurtu rzeki i zakotwiczono przy użyciu 400 kotwic. Następnie na łodziach ułożono drogę z dębowych desek o szerokości 3,5 m, a po bokach zamontowano bariery. Tę absolutnie unikalną konstrukcję zamontowano w osiem godzin. Przypomnijmy, że w 2017 r., kiedy wojsko budowało tymczasowy most po awarii Czajki, trwało to dwa razy dłużej. Owszem, podczas zaplanowanych ćwiczeń dzisiejsze wojska inżynieryjne są w stanie rozstawić przeprawę w niemal godzinę, jednak przy zupełnie innych możliwościach technicznych niż te, którymi dysponowali średniowieczni inżynierowie.

A teraz spójrzmy na liczby z 1410 r. Mostem w Czerwińsku przeszła kolumna wojsk licząca prawie 140 km, z czego jazda była rozciągnięta na 90 km, tabory na 48 km, artyleria na 0,6 km, a piechotna na 1 km. Nic dziwnego, że kolumna ta poruszająca się z szybkością ok. 3 km/h pokonywała przeprawę pełne trzy doby. Kiedy już całe wojsko się przeprawiło, most został zdemontowany i spławiony do Płocka. Powtórnie został zamontowany podczas powrotu wojsk Jagiełły we wrześniu pod Przypustem nieopodal Ciechocinka.

Po przeprawie urządzono w Czerwińsku trzydniowy postój, podczas którego do Polaków dołączył książę litewski Witold (u Długosza nazywany imieniem Aleksander, które otrzymał na chrzcie). W Czerwińsku zgromadziło się wówczas ok. 30 tys. wojsk. Dla porównania szacuje się, że stolica państwa, którą był wówczas Kraków, liczyła dwa razy mniej mieszkańców.

Wojska wyruszyły z Czerwińska 3 lipca, kierując się na północ, omijając Płock i nie atakując ziemi dobrzyńskiej, czego spodziewali się Krzyżacy. Dopiero dwa dni później, 5 lipca, do obozu Jagiełły sprowadzono krzyżackiego posłańca Kristoffa von Gersdorffa, któremu Jagiełło postawił twarde warunki, m.in. zwrotu ziemi dobrzyńskiej i Żmudzi. Krzyżak wyruszył w drogę powrotną dzień później i dopiero po dotarciu do Malborka powiadomił Wielkiego Mistrza, że wojska Jagiełły są znacznie bliżej, niż się spodziewano, a w dodatku nadchodzą z innego kierunku, niż przewidywano. Co wydarzyło się później, wie chyba każdy Polak. Niestety, zwycięstwo grunwaldzkie nie zostało w pełni wykorzystane, gdyż nie zdobyto Malborka.

OPŁACALNE POROZUMIENIE

Ponownie wojska polsko-litewskie pojawią się w Czerwińsku 23 lipca 1422 r., co związane jest z kolejnym konfliktem zbrojnym z zakonem znanym jako wojna golubska. Wówczas w tzw. kole wojennym (można przypuszczać, że jego obręb stanowiły tabory) odbywa się pierwszy sejm obozowy. Choć do śmierci Jagiełły pozostało jeszcze 12 lat, to jest to już schyłek jego panowania. Sędziwy władca, choć nadal potężny, musi znaleźć sposób, by skłonić księcia Witolda do udziału w kolejnej wyprawie przeciw Krzyżakom. W tle pojawia się kwestia sukcesji tronów – zarówno królewskiego w Krakowie, jak i książęcego w Wilnie. Witold występuje jako rzecznik całego rycerstwa, nie tylko litewskiego. Ostatecznie zostaje zawarte porozumienie, które dziś określilibyśmy jako sytuację win-win – król nadaje szlachcie przywilej nazwany czerwińskim. To dokument o randze ustrojowej, porównywalny chyba tylko z angielską Magna Carta. To właśnie tutaj powstaje słynna zasada neminem captivabimus, choć sama taka nazwa pojawi się później. Zasada ta stanowi, że żaden rycerz (szlachcic) nie może być pozbawiony majątku bez wyroku sądowego. Potem rozszerzono ten przywilej również na wolność osobistą.

Ale to nie wszystko. W Czerwińsku zostaje wprowadzona zasada podziału władzy. Ponad trzy stulecia wcześniej, zanim Monteskiusz sformułuje ją w swym dziele „O duchu praw". W Czerwińsku zapada bowiem decyzja, by władzę sądowniczą oddzielić od władzy wykonawczej. A konkretnie zabrania się obejmowania przez starostów funkcji sędziego ziemskiego. Do tego dochodzi jeszcze zasada, że sądzić można jedynie w oparciu o prawo pisane. Jeśli jeszcze dodamy, że przywilej czerwiński obejmował zakaz bicia monety bez zgody Rady Królewskiej, to mamy coś w rodzaju ustanowienia kompetencji dziś przynależnej bankom centralnym. To wszystko sprawia, że przywilej czerwiński może się jawić jako akt prawa ustrojowego, a więc konstytucyjnego.

Porozumienie wszystkim jego stronom się opłaciło. Wprawdzie władza królewska osłabła, jednak kolejne przywileje de facto dały Jagiellonom władzę dziedziczną zarówno w Koronie, jak i na Litwie. Krzyżacy musieli oddać Żmudź. Nic dziwnego, że do Czerwińska z pielgrzymkami przybywali zarówno Jagiellonowie, jak i Wazowie. A tradycję tę kontynuowały już niekoronowane głowy państwa polskiego, jak Ignacy Mościcki i Andrzej Duda.

KONIEC ŚWIETNOŚCI

Jednak czasy świetności dla Czerwińska skończyły się z potopem szwedzkim, a potem rozbiorami. Miasteczko, w zemście za aktywny udział tutejszych mieszczan pod wodzą Piotra Łukaszewskiego w powstaniu styczniowym, traci prawa miejskie ostatecznie w 1869 r. Wprawdzie nadal rozwijają się tutaj żegluga i rybołówstwo, jednak czasy świetności minęły.

Miasteczko prawa miejskie odzyskuje dzięki zabiegom ówczesnego posła z tego terenu Macieja Wąsika. Dziś ma dobrych włodarzy. Władzę świecką sprawuje niegdysiejszy wójt, a dziś burmistrz Marcin Gortat, rząd dusz posiada przesympatyczny przeor salezjanów ks. Dariusz Matuszyński – obaj zakochani w Wiśle. Ale dziś Czerwińsk słynie jeszcze z czegoś, a mianowicie z najlepszych na całym Mazowszu truskawek. Co też poniekąd zawdzięcza Wiśle, której niegdysiejsze wylewy użyźniły tę ziemię.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl d112db2444

PRZEWODNIK TURYSTYCZNY PO I RZECZYPOSPOLITEJ

Tenczyn i skarby koronne

JACEK KOMUDA

Zamek Tenczyn w Rudnie na południowy zachód od Krakowa jest jednym z najbardziej malowniczych obiektów obronnych województwa małopolskiego. Przede wszystkim dlatego, że roztacza się z niego niesamowity widok na okoliczną Jurę Krakowsko-Częstochowską i na panoramę Beskidów na południu. Zamek należy do najstarszych w Polsce. Przyjmuje się, że jego budowę rozpoczął ok. 1350 r. Andrzej, syn Nawoja, kasztelana krakowskiego. Był on protoplastą rodu i pierwszym, który przybrał nazwisko Tęczyńskich. Jednak budowla jako ukończony obiekt pojawia się po raz pierwszy w dokumentach w 1402 r., w testamencie jego syna Jana, który był właścicielem wielu okolicznych wsi.

RYS. OBA

W 1410 r. na zamku uwięzieni zostali jeńcy krzyżaccy. Wkrótce stał się on siedzibą rodu Tęczyńskich posiadających ogromne włości w okolicach Krakowa. W 1570 r. Jan Tęczyński przebudował go na renesansową rezydencję. Był to ten sam szlachcic, na którego rzucił się w 1574 r. z czekanem Samuel Zborowski, raniąc w głowę kasztelana Wapowskiego i otrzymując później wyrokiem sądu banicję.

W 1638 r. po śmierci ostatniego z rodu, Jana Magnusa Tęczyńskiego, wojewody krakowskiego, zamek Tenczyn przeszedł w ręce rodu Opalińskich, gdyż córka tego pierwszego, Izabela, wyszła za mąż za Łukasza Opalińskiego młodszego. W czasie potopu szwedzkiego pozostał on wierny królowi Janowi Kazimierzowi, który uszedł na Śląsk. I właśnie z tymi wydarzeniami związana jest wstrząsająca historia. W 1655 r. najeźdźcy usiłowali przechwycić skarb koronny z Wawelu, który został wywieziony przez Jerzego Sebastiana Lubomirskiego, marszałka koronnego, do Starej Lubowli na Spiszu. Jednocześnie jednak rozpuścił on wieści, jakoby kosztowności zostały ukryte właśnie na zamku w Tenczynie.

Forteca zatem stała się celem ataku wojsk szwedzkich pod dowództwem Kurta Christopha von Königsmarcka, który liczył na zdobycie sowitych łupów i zapewne opłacenie żołnierzy, od dłuższego czasu armia szwedzka nie otrzymywała bowiem żołdu. Pod jego rozkazami przebywał niemiecki najemnik, Hieronim Chrystian Holsten. Pozostawił nam niezwykle ciekawy pamiętnik z czasów potopu. Jak podawał: na zamku rozłożyło się 200 hajduków, którymi dowodził kapitan piechoty Jan Dziuli. Oddziały szwedzkie, wśród których większość stanowili rajtarzy, zeszły zatem z koni i próbowały zdobyć Tenczyn na piechotę, jednak poniosły przy tym duże straty. „Wokół była głęboka fosa, mosty zaś z obu stron otoczone murem. Gdy tylko natarliśmy na most – u góry był on zupełnie podziurawiony – zastrzelili oni z dołu wielu naszych, co wielce rozgniewało Königsmarcka" – pisał.

Załoga broniła się dzielnie i w końcu, jak należy wnioskować z dalszych słów Holstena, zdecydowała się skapitulować na honorowych warunkach. Szwedzki generał nie dotrzymał jednak umowy kapitulacji, ale nakazał niespodziewanie uderzyć na wychodzących z twierdzy żołnierzy polskich. „Gdy wymaszerowali, wycięliśmy ich wszystkich w pień" – zapisał Holsten. Dowódcę twierdzy ponoć powieszono. Za ten haniebny czyn Königsmarck po raz pierwszy popadł w niełaskę króla Karola X Gustawa, który na razie starał się postępować łagodnie z poddającymi się pod jego władzę Polakami.

Dziś w Tenczynku usłyszeć można legendę o tym, że władca zdegradował go do szeregowego żołnierza, a później były generał zginął w jednej z bitew. Nie jest to jednak prawda, a niełaska Karola musiała być krótka, ponieważ Königsmarck wziął w 1656 r. udział w bitwie pod Warszawą na czele swego regimentu rajtarii i służył długie lata w różnych armiach, w tym Wilhelmowi Orańskiemu, późniejszemu namiestnikowi Zjednoczonych Prowincji oraz królowi Anglii. Zginął zaś przypadkowo podczas oblężenia Bonn w 1673 r.

W 1655 r. za wymordowanie załogi Tenczyna i ograbienie przebywających tam cywilów Königsmarck nie dostał nagrody. Na zamku nie było bowiem żadnych kosztowności. Dzięki fortelowi Lubomirskiego zostały one wywiezione bezpiecznie do Lubowli i po przepędzeniu wroga mogły dalej służyć królom Polski. Z zemsty jednak Szwedzi złupili doszczętnie Tenczyn, a potem go podpalili.

Po zakończeniu wojny Opaliński odbudował dawną siedzibę Tęczyńskich, zamek jednak podupadł na znaczeniu i był zamieszkiwany tylko do początków XVIII w. W 1768 r., po pożarze spowodowanym uderzeniem pioruna, zaczął popadać w coraz większą ruinę i w 1816 r. zrujnowany przeszedł w ręce rodu Potockich, pozostając przy nich aż do 1944 r. i dekretu Bieruta. Obecnie trwają prace przy jego odbudowie. ©℗

eprasa.pl d112db2444

SUZUKI VITARA 1.4

FOT. JAP

Ten crossover już od kilku dekad jest wizytówką japońskiego producenta. Surowo wyglądający model wprowadzony na rynek w roku 1988 raczej nigdy nie był spełnieniem marzeń pasjonatów motoryzacji. A jednak kolejne pokolenia chętnie Vitarę kupują. Dlaczego? Bo to solidne, niezawodne i praktyczne auto z bardzo porządnym napędem na cztery koła, które dobrze radzi sobie zarówno jako rodzinny samochód na parkingu pod hipermarketem, jak i podczas wypadów poza asfaltowe szlaki.

W najnowszej generacji Vitary, która już po raz czwarty przeszła niezbyt nachalną modernizację, pod maską może znajdować się półtoralitrowy silnik DualJet Hybrid lub 1.4 BoosterJet Mild Hybrid. Tym razem na redakcyjny parking zabraliśmy Vitarę z tą drugą jednostką, która występuje wyłącznie w wersji z sześciobiegową, manualną skrzynią biegów.

Auto ma 418,5 cm długości, 177,5 cm szerokości i 160 cm wysokości. Kabina jest przestronna. Miejsca nie brakuje zarówno z przodu, jak i z tyłu. Fotele są wygodne, ale próżno tu szukać elektrycznej regulacji. Wszystko jest tu ergonomicznie rozplanowane. Japończycy nie rozpieszczają jednak miękkimi materiałami. W środku dominują mniej lub bardziej twarde plastiki. Również system multimedialny nie wygląda na supernowoczesny, ale bez problemu współpracuje bezprzewodowo z Android Auto i Apple CarPlay. Jest też kamera cofania, choć rozdzielczość obrazu mogłaby być wyższa.

Prześwit o wielkości 17,5 cm pozwala na zjechanie z asfaltu (do wyboru są cztery tryby jazdy: Auto, Sport, Snow i Lock), a także na pokonywanie nawet bardzo wysokich krawężników podczas polowania na miejsce parkingowe w miejskiej dżungli. Moc maksymalna wynosi 129 KM. Maksymalny moment obrotowy to zaś 235 Nm. Sprint od zera do 100 km/h zajmuje 10,2 s. Prędkość maksymalna to zaś 195 km/h. I chociaż na papierze szału nie ma, to podczas codziennej jazdy zwinna Vitara robi wrażenie auta bardziej dynamicznego. Niestety, kabina jest słabo wyciszona, co jest szczególnie dokuczliwe przy podróżach autostradą.

Większy mógłby też być bagażnik. Przy podniesionych oparciach tylnej kanapy do dyspozycji są 362 l (choć na pierwszy rzut oka wydaje się, że więcej), a po ich złożeniu kufer oferuje pojemność wynoszącą 642 l. Zaletą jest dość niski próg, co ułatwia wkładanie bagaży.

Zużycie paliwa w realnym życiu wynosi w cyklu mieszanym 7,3 l/100 km (choć według producenta możliwe to 5,4–5,5 l/100 km).

Najnowsza Vitara 1.4 BoosterJet Mild Hybrid z napędem na jedną oś kosztuje w promocji zaledwie 94,9 tys. zł. Wariant z napędem na wszystkie łapy to wydatek co najmniej 114,9 tys. zł (w wersji wyposażenia Premium Plus) lub 124,9 tys. zł w najwyższej odmianie Elegance. Dla porównania: Vitara z silnikiem 1.5 DualJet z automatyczną skrzynią biegów kosztuje od 108,9 tys. zł do 135,9 tys. zł.

DYSK SSD KINGSTON IRONKEY VAULT PRIVACY 80

Kolorowy ekran dotykowy do wpisywania haseł zabezpieczony przed wzrokiem podglądaczy, certyfikat FIPS 197 z 256-bitowym szyfrowaniem XTS-AES, ochrona przed atakami metodą prób i błędów (Brute Force) i BadUSB, niezależność od systemu operacyjnego oraz prosta obsługa – to największe zalety zewnętrznego dysku SSD renomowanej amerykańskiej marki.

Pod koniec 2023 r. Polacy poznali hasło do smartfona premiera Donalda Tuska (555555), gdy kamera uchwyciła, jak odblokował iPhone'a w Sejmie. W styczniu ubiegłego roku okazało się, że jego nowe hasło było jeszcze gorsze (rząd jedynek). A ponieważ nie tylko Tusk nie uczy się na błędach, to aby chronić użytkowników przed najsłabszym ogniwem zabezpieczeń (czyli przed nimi samymi), Kingston zainstalował w IronKey Vault Privacy 80 ekran dotykowy, w którym cyfry wyświetlane są za każdym razem w losowej kolejności. To znacząco utrudnia podejrzenie hasła. I jest dużo łatwiejsze niż próba zasłaniania ekranu za każdym razem, gdy wpisuje się kod blokady (zawsze można zapomnieć o wszechobecnych kamerach).

Tego dysku nie powstydziłby się zapewne sam agent 007. Model posiada bowiem certyfikat bezpieczeństwa FIPS 197 i bezpieczny mikroprocesor z certyfikatem Common Criteria EAL5+. Urządzenie umożliwia wykorzystanie wielu haseł z trybami PIN/hasło, a także łatwe zarządzanie np. dozwoloną liczbą prób wprowadzenia hasła (po zbyt wielu błędnych próbach zawartość dysku zostanie automatycznie usunięta). W przypadku konieczności skorzystania z danych na komputerach, do których nie mamy zaufania, dysk chroni dane, korzystając z dwóch poziomów trybu „tylko do odczytu". Duże pojemności sprawiają zaś, że model ten dobrze nadaje się do regularnego tworzenia kopii zapasowych najważniejszych danych (co skutecznie chroni je przed ransomware).

Wady? Chociaż w zestawie znajduje się miękkie etui, to na samym dysku nie ma żadnych elementów chroniących np. przed upadkiem. Ponadto maksymalne prędkości odczytu i zapisu wynoszą jedynie ok. 250 MB/s przez połączenie USB 3.2 Gen 1. Nieco za mało jak na dysk SSD.

Cena za wariant o pojemności 960 GB wynosi 1121 zł. Dysk o wielkości 1,92 TB kosztuje 1,37 tys. zł, za 3,84 TB trzeba zapłacić 3,2 tys. zł, a szyfrowany dysk Kingstona o pojemności aż 7,68 TB wyceniony został na 3,7 tys. zł.

FOT. MATERIAŁY PRASOWE

STRONĘ PRZYGOTOWAŁ **JACEK PRZYBYLSKI**

eprasa.pl d112db2444

MAGDALENA M. KRUPA Z D. CHRUZIK I ANNA POPEK Z D. CHRUZIK

SIOSTRY GOTUJĄ

Bułgarskie smaki

Bułgaria bardzo przypomina nam Władysławowo z przełomu lat 80. i 90. Oczywiście nie pod względem ustroju politycznego, ale pewnego klimatu wypoczynku. W Obzorze – dokąd od kilku lat jeździmy – plaże są piękne i piaszczyste, turystów jest umiarkowanie dużo, infrastruktura turystyczna, czyli te wszystkie kramy, obnośni sprzedawcy, hałaśliwa muzyka, bary na plaży, nie występuje w nadmiarze, a pogoda jest zawsze wspaniała. Nawet gdy jest pochmurno, słońce grzeje mocno i – co najważniejsze – jest sucho i ciepło. W końcu Obzor Grecy nazwali Heliopolis, czyli Miasto Boga Słońca.

FOT. ADOBE STOCK

Jest jeszcze jeden ważny walor – bułgarska kuchnia! Znajdujemy w niej wpływy tureckie, węgierskie, a nawet włoskie! Kuchnia ta jest bogata w warzywa i grillowane mięsa, często podaje się pieczone papryki, dużą ilość pomidorów i słodkiej cebuli. Nie jest to szybka, „smażona" kuchnia, tylko wolno gotowana, a dzięki temu bardzo zdrowa. Aromatu potrawom dodają przyprawy – głównie cząber, bazylia, kozieradka oraz mięta, ostra papryczka i oczywiście czosnek, bo pomidory go uwielbiają.

Największym skarbem tego kraju jest bułgarski jogurt zawierający unikalne, bardzo cenne bakterie lactobacillus bulgaricus wykorzystywane do jego produkcji. Bułgarzy spożywają te jogurty codziennie, a zamiast kawy czy herbaty potrafią pić bułgarski ajran, czyli rozwodnioną wersję tego gęstego jogurtu z dodatkiem soli.

Lato w Bułgarii ma smak arbuza – jest on tu wyjątkowo soczysty i bardzo słodki. Doskonale nawilża i uzupełnia organizm w minerały, witaminy i antyoksydanty. Hiszpańscy naukowcy odkryli, że picie soku z arbuza ma doskonały wpływ na regenerację potreningową sportowców. Arbuzy zawierają likopen, który korzystnie wpływa na nasze serce. Jednak osoby z cukrzycą powinny jeść arbuz umiarkowanie albo w towarzystwie jogurtu naturalnego, najlepiej bułgarskiego, ponieważ białko i tłuszcz zawarte w jogurcie spowalniają wchłanianie się cukru do krwi. Zaletą arbuza jest jego niski ładunek kaloryczny, no i oczywiście doskonały smak. Arbuza możemy jeść, pić z niego sok, możemy go również dodawać do letnich, orzeźwiających sałatek idealnych na lekki lunch.

Sałatka z fetą i arbuzem

• ½ małego arbuza (jeśli się uda, to bez pestek) • 200 g sera feta lub innego owczego typu feta • 1 dojrzałe awokado • 1 średni ogórek • liście świeżej mięty • garść rukoli – opcjonalnie • garść czarnych oliwek pokrojonych • płatki migdałów lub orzeszków piniowych • 2 łyżki octu balsamicznego lub jabłkowego • 1 łyżka oliwy z oliwek

Arbuz kroimy na kwadratowe kawałki, dodajemy pokrojony w talarki ogórek, awokado pokrojone w kostkę, ser pokrojony w kostkę, liście świeżej mięty, garść rukoli, dodajemy oliwki. Płatki migdałów lub orzechy prażymy na suchej patelni. Nimi oraz świeżą miętą posypujemy sałatkę. Smacznego! ©℗

JOANNA BOJAŃCZYK

NIEPRAKTYCZNA PANI DOMU

Jak w rodzinie królewskiej

Miłość Francuzów do Rosji jest nieuleczalna. Choćby nie wiem, ile zdjęć z Buczy obejrzeli, ile książek Sołżenicyna przeczytali, to zawsze zostanie im słabość do rosyjskiej duszy. Do tej śpiewnej, nostalgicznej, ze stepów dalekich, szczerej, choć bywa, że też okrutnej.

Własnemu królowi Francuzi obcięli głowę, francuska arystokracja raczej nie jest traktowana przez współobywateli poważnie, za to Romanowowie… Okrucieństwa Iwana Groźnego dawno zapomniane. Lipcowa noc 1918 r. – straszliwy mord Mikołaja II, jego żony i pięciorga dzieci widocznie nabrał romantycznej otoczki. Rosjanie pragną odbudować swoją wielkość, a do tego potrzebny jest PR arystokratycznych źródeł. Wielkopańskie pociotki po minionej wielkości wystarczą, aby „Paris Match" (tygodnik w połowie drogi między Pudelkiem a „Newsweekiem") pochylił się nad nimi z czułością i podziwem.

Parę lat temu ekscytowano się powrotem na ojczyzny łono ciotecznego wnuka ostatniego cesarza, księcia Jerzego, urodzonego 44 lata temu w Madrycie, który z rąk Borysa Jelcyna otrzymał zaproszenie oraz rosyjski paszport. Come back uromantyczniły lata wygnania. „Przeznaczenie pozwoliło nam wrócić do Rosji – oświadczył wielki książę. – Nie mogliśmy zmarnować tej szansy. Jesteśmy to winni naszym przodkom".

Nie zmarnowali. Książę ożenił się z Włoszką Rebeccą Bettarini, która po przejściu na prawosławie stała się Wiktorią Romanową. Mają dwoje dzieci: dwuipółletniego Aleksandra Georgiewicza oraz nowo przybyłą na świat Kirę Leonidę. Dla dopełnienia rodzinnego szczęścia na kanapie w moskiewskim mieszkaniu pozuje również suczka Busia.

„Imię Kira jest hołdem oddanym przeszłości" – wyjaśnia szczęśliwy ojciec, który wygląda raczej na dziadka. „Kira to imię siostry mego dziadka, wielkiego księcia Władimira, Leonida to imię mojej babki, wielkiej księżny Leonidy Georgijewnej Bagration-Muchranskiej" – dodaje.

Mała księżniczka została ochrzczona w obrządku prawosławnym w katedrze Jezusa Zbawiciela, tej samej, gdzie kanonizowano ostatniego cesarza. Obecnych było 300 gości – kwiat arystokracji europejskiej, to nic, że cokolwiek podupadłej, ale cóż szkodzi poepatować tytulaturą. Wśród nich Emanuel Filibert Sabaudzki, książę Borys z Bułgarii, arcyksiążę Maksymilian von Habsburg, książę David z Gruzji. Nad niemowlęciem pochyliło się zatem sporo dużo dobrych wróżek.

Wróżki nie wystarczą, gdy trzeba zarobić na życie. Dlatego książę, jak przystało na współczesnego 40-latka, krąży między Moskwą, Rzymem a Dubajem i zajmuje się konsultingiem, cokolwiek to oznacza. W domu rozmawia się w trzech językach, „jak przystało na rodzinę królewską" – dodaje. ©℗

eprasa.pl d112db2444

JERZY KARWELIS

DEKAMERONKI

Zostawcie tego Szymka

Oskarżenia dotyczące przygotowywania zamachu stanu nie narodziły się w ustach Szymona Hołowni. W styczniu tego roku prezes Trybunału Konstytucyjnego Bogdan Święczkowski zgłosił zawiadomienie o podejrzeniu popełnienia przestępstwa i prokurator Michał Ostrowski wszczął śledztwo. Teraz ten sam prokurator zaprasza do siebie marszałka Hołownię, gdyż zmieniły się okoliczności – sam Hołownia zeznał, że był namawiany do zamachu stanu, są to więc okoliczności dodatkowe i dalej idące niż dedukcje PiS czy Trybunału Konstytucyjnego. Mainstream obśmiał ten proceder jako kapiszon, ale ten wybuchł teraz jak korkowiec w rękach władzy.

Mamy tu do czynienia z pewną manipulacją: cała sprawa staje się chytrze ograniczana do samego marszałka. Tak jakby to on sprawę zaczął, i to tylko w kwestii odbioru zaprzańskich propozycji. Hołownia się z tego tłumaczy, bo zorientował się, że przesadził ze środkami wyrazu i mogą mu nie pomóc jego próby wycofywania się rakiem. Nic mu to nie da, co najwyżej się wywinie, ale tylko w obecnej sytuacji wzajemnego krycia się członków koalicji.

Ale po co czekać i męczyć Szymka, pytać, kto do niego chodził? Wiadomo: z takimi propozycjami przychodzi „grupa trzymająca władzę", musiał to być bowiem ktoś na tyle potężny, żeby przeprowadzić całą operację, łącznie z siłową ochroną przed ewentualnymi protestami. Ale tu nie trzeba śledztwa, kto to szykował. Trzeba iść po sznurkach do kłębka, a te zaplatały się bezwstydnie publicznie. Szczegóły zamachu były oficjalnie referowane w środkach masowego przekazu. Wybijały się tu dwa nazwiska – dziennikarki wzmożonej, pani Wysockiej-Schnepf, i prof. Andrzeja Zolla. Obie persony jawnie namawiały ogół do akceptacji przedstawianych szczegółów, jak to ma wyglądać. Mam więc nadzieję, że prokurator popyta również m.in. o te samoujawnione persony – kto z kim i na jakim poziomie w tej sprawie knuł. I zobaczymy, co z tego wyjdzie, jak prokurator weźmie jednego z drugim na bęben i spisane zostaną czyny i rozmowy. Zoll już się wycofuje ze swych wypowiedzi, ma więcej rozumu (i nadziei?) niż wzmożona ikona uśmiechniętej TVP.

No, chyba że do prokuratora Ostrowskiego wjedzie minister Żurek z łomami i rozbebeszy kolejne szafy pancernej sprawiedliwości, tym razem z zeznaniami zamachowców. Precedens już był, kiedy tak samo zrobili bodnarowcy, wypruwając z szaf sędziów dyscyplinarnych m.in. papiery ze śledztwa dyscyplinarnego przeciwko obecnemu ministrowi (ponoć) jastrzębiowi. Wiadomo – władza polega na świadczeniu usług, nawet (a może szczególnie) tych niezbyt legalnych. ©℗

JAN POSPIESZALSKI

#WARTO

Gdy państwo zawodzi...

W „TySolu" Piotr Skwieciński („Kaukazyfikacja Jedwabnego") pisze: „Kiedy dowiedziałem się o wystawieniu w Jedwabnem »kamiennych upamiętnień« szerzących »informację« o kompletnej niewinności jakichkolwiek Polaków w wymordowaniu tamtejszych Żydów [...], poczułem się [...], jakbym wrócił na Kaukaz". Dalej opisuje proces, który ma miejsce na niewielkim obszarze Kaukazu, gdzie w tyglu narodowości i wyznań każda z obecnych tożsamości pielęgnuje własną wersję historii, uznając się za naród niewinny, krzywdzony przez wszystkich, wybrany.

Rozumiejąc intencję Piotra, ośmielam się zauważyć, że odniesienie nie zostało wybrane szczęśliwie. Porównanie relacji polsko-żydowskich do stosunków azersko-ormiańskich, gdzie źródłem konfliktu jest spór o Karabach, jest takim samym uproszczeniem jak to, co zrobił Wojciech Sumliński, decydując o treści napisów na głazach. Zdaję sobie sprawę, że na kamiennych upamiętnieniach nie ma miejsca na szczegółowy opis złożonych relacji polsko-żydowskich w latach drugiej wojny. Ale nie o to chodziło Sumlińskiemu. Jego film „Powrót do Jedwabnego", zakup terenu w pobliżu miejsca zbrodni, a następnie postawienie tablic odbieram jako akt desperacji wobec bezradności państwowych instytucji na manipulacje i kłamstwa środowiska Jana Tomasza Grossa, Jana Grabowskiego, Barbary Engelking. Po 2015 r. obóz tożsamościowy miał nadzieję, że polskie państwo w sposób zorganizowany odpowie na produkowanie i rozpowszechnianie zmanipulowanych, a często świadomie fałszowanych publikacji, z których część powstawała np. pod auspicjami PAN.

Nierzetelna (to eufemizm) „naukowa" publikacja „Dalej jest noc" powstała w 2018 r., a dopiero teraz ukazuje się książka dr. Piotra Gontarczyka obrazująca skalę fałszowania archiwalnych dokumentów przez zespół prof. Engelking. Podobnych zakłamanych publikacji jest wiele. Przykładem jest proces wytoczony w 2013 r. przez Związek Żołnierzy AK Okręg Zamość prezesowi Stowarzyszenia Panorama Kultur, które w swoich wydawnictwach podało fałszywą informację: „partyzanci, oraz mieszkańcy Uchań wymordowali w lesie opodal tej miejscowości 80 Żydów". Weterani i spadkobiercy żołnierzy musieli udowadniać, że jest to oszczerstwo, i doprowadzili do zamieszczenia w „Gazecie Wyborczej" przeprosin i zobowiązania do zamieszczenia erraty w całym nakładzie. Udowodnienie kłamstwa było zasługą lokalnych działaczy, a nie instytucji państwa.

Skoro państwo zawodzi, to będziemy skazani na mniej lub bardziej szczęśliwe społeczne inicjatywy. Piotr Skwieciński, jako były przedstawiciel państwa, powinien o tym wiedzieć. ©℗

eprasa.pl d112db2444

SŁAWOMIR JASTRZĘBOWSKI

ĆWIERKOT

Sejmolodzy w niepokoju

Dwa cytaty z orędzia prezydenckiego Karola Nawrockiego utkwiły mi w pamięci: „Walczyć trzeba z tymi, którzy naród pchają do upadku i do upodlenia!" oraz „Polska nie będzie niczyim gospodarstwem pomocniczym". Zapamiętałem je, bo w trakcie wygłaszania tych właśnie słów Donaldowi Tuskowi ręce trzęsły się tak, że odnotowały to pobliskie stacje sejsmologiczne. Stop.

Jeżeli chcesz w sposób grubiański, ordynarny i bezduszny wyszydzić Lecha Wałęsę, to poproś go o wywiad. Stop. Pan Bolek, będąc w formie constans, podzielił się przemyśleniem starannie przemyślanym: „Dopóki nie wyszły te środki, internety, to wszystko, te telefony, to ludzie wierzyli politykom". Tak, panie Bolesławie, ludzie do czasów tych, internetów i telefonów (dodałbym Cenckiewicza) wierzyli nawet panu... Stop.

Roman Giertych opowiedział o swojej niepewności: „Na obecnym etapie, na którym żeśmy się znaleźli w wyniku decyzji marszałka Sejmu, mamy zaprzysiężenie, które tworzy znowu nam stan pewnej niepewności". Stop. Niepewność Romana rozumiemy. No bo co robić? Mdleć czy zwiewać do Włoch? A i Włochy mogą się okazać niepewne, kiedy sprawa Polnordu znowu trafi pod lupę prokuratorów... Stop.

Dość interesujące prawnicze ciekawostki mają miejsce z udziałem niejakiego Jacka Dobrzyńskiego, rzecznika ministra koordynatora służb specjalnych (ten Dobrzyński to nie jest jakiś za bardzo, że się tak wyrażę). Stop. Ponieważ rządzący nie cierpią prof. Sławomira Cenckiewicza, gdyż dociera do prawdy, a ponadto ją publikuje, odebrano mu poświadczenie bezpieczeństwa, czyli dostęp do informacji niejawnych. Stop. Tę decyzję Cenckiewicz zaskarżył i Wojewódzki Sąd Administracyjny przyznał mu rację, orzekając, że decyzja była bezprawna. To nie koniec przygód Dobrzyńskiego (on jest trochę nie za bardzo), gdyż ten Dobrzyński (mówiłem, jaki jest) wystąpił i z miną triumfatora oznajmił, że orzeczenie WSA zostało zaskarżone przez Tuskowych do NSA i że teraz Cenckiewicz według niego nie ma dostępu do informacji niejawnych, co w zasadzie uniemożliwiałoby mu szefowanie Biuru Bezpieczeństwa Narodowego. Wtedy wystąpił mecenas Bartosz Lewandowski i napisał Dobrzyńskiemu, żeby nie kłamał, gdyż zgodnie z prawem o postępowaniu przed sądami administracyjnymi decyzja WSA jest wiążąca do czasu prawomocnego rozstrzygnięcia. No, sami państwo widzą, nie za bardzo...

Coś niebywałego. Tęga głowa Adam Szłapka, rzecznik rządu, obiecał: „Mierzymy się z dezinformacją na co dzień i będziemy z nią walczyć zarówno w mediach społecznościowych, jak i w mediach tradycyjnych". Żeby rzecznik rządu zapowiadał walkę z szefem rządu? No luuudzie... ©℗

DARIUSZ WIEROMIEJCZYK

SPODE ŁBA

Z uśmiechem na twarzy

Rzadką wśród polskich polityków łagodnością charakteru wykazał się pod koniec urzędowania prezydent Andrzej Duda. W ostatnich dniach lipca nadał on stopnie generalskie niewielkiej grupie wojskowych – których wyróżniać miało rodzinne pokrewieństwo z innymi generałami lub prominentnymi politykami rządzącej lewicy. Stopień generalski – generalnego inspektora Policji – nadał też komendantowi głównemu tej służby, Markowi Boroniowi. Oficer ten musi mieć wiele zasług, z których warto przypomnieć jedną. To jemu podlegała Policja w styczniu 2024 r., kiedy funkcjonariusze tej służby aresztowali, pod nieobecność gospodarza Pałacu Prezydenckiego, jego szanownych gości, posłów Kamińskiego i Wąsika. Człowiek bardziej popędliwego i pamiętliwego charakteru niż Andrzej Duda mógłby odebrać takie zachowanie policji za afront i starać się wywrzeć zemstę na przełożonym tej służby. Ustępujący prezydent za nic miał niefortunny incydent i, jak to dzisiaj widzimy, żadnych złych zamiarów wobec komendanta Boronia nie powziął.

Być może docenił on nawet, i uhonorował awansem, sprawność wysłanych do Pałacu policjantów, którzy nie tylko skoordynowali akcję z ochroną prezydenta, lecz także przeprowadzili ją skutecznie i szybko. Prezydent Duda ogłosił zaraz po fakcie, że był aresztowaniem swych gości „głęboko wstrząśnięty", gdyż zostali oni, w jego opinii, prawomocnie ułaskawieni. „Panowie ministrowie zostali zatrzymani i obecnie są w areszcie. Nie chce tutaj się rozwodzić na temat tego, jak to się odbyło, bo kiedy słyszę, że ta sprawa nie jest polityczna, to mam uśmiech na twarzy" – zaznaczył Andrzej Duda. Czyżby z tym samym uśmiechem wręczał nasz dobrotliwy prezydent nominację generalską człowiekowi, który za działania policji w styczniu 2024 r. ponosił, formalnie przynajmniej, pełną odpowiedzialność?

Innym podobnym uczynkiem było niedawne nagrodzenie przez prezydenta Dudę wieloletniego prezydenta Krakowa, prof. Jacka Majchrowskiego, Krzyżem Wielkim Orderu Odrodzenia Polski. Otoczenie Andrzeja Dudy składało się w znacznej części z krakowskich działaczy prawicy, którzy Jacka Majchrowskiego portretowali przy każdej sposobnej okazji, jako uosobienie rozplenionych w „Krakówku" patologii. To, że o takiej „złej sławie" zapomniał prezydent Duda, nie powinno nikogo dziwić. Zamilkli jednak także prezydenccy współpracownicy. Czyżby habsburska dobrotliwość i usprawiedliwiająca wszelkie przewiny wyrozumiałość, cechująca polityczne poczynania prezydenta Andrzeja Dudy, udzieliła się także dworzanom z jego świty? ©℗

eprasa.pl d112db2444

WOJCIECH ROSZKOWSKI

Z INNEJ PERSPEKTYWY

Gnicie czy rewolucja?

W połowie lat 80., a więc w głębi „stanu powojennego", słyszałem w rozważaniach o naszej sytuacji pytanie, czy jesteśmy „w stanie gnicia czy rewolucji". W rozmowach tych przeważała opinia, że jest to raczej stan gnicia. Tamten etap nie skończył się rewolucją, tylko wyłażeniem z bagna po 1989 r. Bagno z lekka osuszono, ale stan oszołomienia zmianami i dezorientacji co do celów i podstaw współżycia społecznego trwa i jest reprodukowany w kolejnych pokoleniach.

Zaprzysiężenie Karola Nawrockiego odbyło się bez przeszkód, a jego orędzie tchnęło w szeregi zwolenników patriotycznej rewolucji nową nadzieję. Była w nim masa konkretów, z zapowiedzią pracy nad nową konstytucją włącznie. Była też tak potrzebna dziś determinacja. Opór przeciw bezprawiu i szkodnictwu koalicyjnej ekipy zyskał nowy bodziec

Chociaż przed 6 sierpnia mnożono alarmistyczne zapowiedzi przewrotu, to zaprzysiężenie prezydenta Karola Nawrockiego odbyło się bez przeszkód, a jego znakomite orędzie tchnęło w szeregi zwolenników patriotycznej rewolucji nową nadzieję. Była w tym orędziu masa konkretów, z zapowiedzią pracy nad nową konstytucją włącznie, ale była też tak bardzo dziś potrzebna determinacja. Opór przeciw bezprawiu i szkodnictwu koalicyjnej ekipy zyskał nowy bodziec. Opór ten będzie narastał dopóty, dopóki nie znikną jego przyczyny. Dramatyczna dziura budżetowa, paraliż armii i policji, demolowanie praworządności, najazd migrantów, wzrost kosztów utrzymania, chaos w sądach, degrengolada w szkołach – czy trzeba więcej?

Problemem jest jednak dramatyczny podział społeczeństwa w bardzo niepewnej sytuacji międzynarodowej i realne szkodnictwo rządzącej ekipy. Coraz więcej ludzi widzi fatalne skutki jej rządów, ale nadal ma ona wiernych wielbicieli, i ta sytuacja szybko się nie zmieni. Opór społeczny łatwo zrozumieć. Trudniej pojąć postawę ok. 30 proc. wyborców, którym ta ekipa nadal się podoba i którzy są gotowi jej bronić. Szeregi beneficjentów wyrównań ubeckich emerytur można zrozumieć, podobnie jak ludzi w taki czy inny sposób korzystających z dodatków rządów koalicji 13 grudnia, ale bezinteresownych popleczników rządzącej ekipy tłumaczy jedynie niewiedza lub bezgraniczne zaślepienie, do którego ponadto wstyd się przyznać. Są jednak i tacy, którzy czują się „lepsi" i po prostu chcą górować nad całą tą ludzką „biomasą", toteż popierają rządy dyktatorskie i chętnie im służą. Z tymi będzie najtrudniej i oni nie znikną.

Zamiary Platformy Obywatelskiej i jej sojuszników nie są tożsame i różnią się od programu chylącej się ku upadkowi ekipy Jaruzelskiego. Awangardą programu antypatriotycznego jest oczywiście Platforma Obywatelska. Wśród jej sojuszników przeważa ciągle oportunizm, ale wyborcy Polski 2050 i PSL już odwracają się od tych szyldów. Popularność rządu leci na łeb na szyję. Koalicja zaczęła gnić, a społeczeństwo zaczęło się budzić, widząc, do czego zmierza dalsze trwanie rządu Tuska. Osławiona „rekonstrukcja" niczego nie zmieniła. Co najwyżej ujawniła do reszty prawdziwe zamiary rządzących. Tusk ogłosił zmiany w rządzie, nazywając jego nowy skład „zespołem komandosów". Oznacza to, że rzuca nowy skład rządu na obszar wroga, czyli Polski.

Pogarszająca się sytuacja gospodarcza, zagrożenie migrantami i kłamstwa Tuskowej awangardy zrobiły jednak swoje. Przetrwanie ekipy Tuska nie oznacza ugruntowania jej pozycji, a opór społeczny nie opadnie, gdyż nie spełnia ona oczekiwań społecznych. Gnicie koalicji będzie się pogłębiać, a opór społeczny będzie narastał. Do czego to doprowadzi – trudno przewidzieć. Tak czy inaczej, wszyscy, którym droga jest Polska, a nawet ci, którzy po prostu chcą żyć w bardziej normalnym kraju, powinni zacząć się przygotowywać do systemowego uporządkowania potwornego bałaganu, wytworzonego przez koalicję 13 grudnia. Czasu nie ma zbyt wiele. ©℗

eprasa.pl d112db2444

ORĘDZIE

FOT. W. CEJROWSKI LTD/JAROSŁAW SOSIŃSKI

Wojciech Cejrowski
korespondencja z USA

Nie będę…" – tak powinno brzmieć motto lub „refren" pierwszego orędzia prezydenta Karola Nawrockiego zaraz po zaprzysiężeniu. „Nie będę" – takie hasło powinni potem cytować w Polsce i na świecie.

***

Prezydenci rzadko sami piszą własne przemówienia. I nie ma w tym nic złego, że prezydent nie robi tego osobiście. W Białym Domu jest oficjalne stanowisko, a nawet całe biuro; wszyscy wiedzą, kto pisze dla prezydenta. Wiadomo też, który amerykański komik ozdabia przemówienia dowcipami. I potem prezydent po prostu czyta to, co dostał, albo – gdy jest mocny i samodzielny – traktuje ten tekst jako brudnopis, nanosi poprawki, a na mównicy przemawia z głowy, zaglądając w notatki tylko od czasu do czasu. Tak robi Trump, tak robił Reagan, tak też robił złotousty oszust Obama – mistrzowie przemówień, z kartką czy bez.

***

Dzień przed zaprzysiężeniem Karola Nawrockiego swoje ostatnie orędzie wygłosił ustępujący Andrzej Duda. Założył dziwaczne okulary, pasujące raczej do chłopaka, który nie bardzo wie, kim chce być, niż do dorosłego mężczyzny. Wyglądał idiotycznie, mówił za szybko, narzucał się słuchaczom, nie dawał pomyśleć nad tym, co mówi. A do tego chwalił się, chwalił i chwalił. Że te jego dwie kadencje to 10 lat sukcesów, wzrostu gospodarczego, wzrostu bezpieczeństwa w Polsce… Co za kłamliwy dziad! Wzrost bezpieczeństwa? No przecież w czasie tych 10 lat Duda i PiS sprowadzili nam do Polski 2 mln Ukraińców, a do tego kilkaset tysięcy innych LEGALNYCH imigrantów, oraz przepuścili przez granicę kolejne tłumy imigrantów nielegalnych. Zwierzchnik Sił Zbrojnych Duda nie wydał rozkazu zamknięcia granic.

Gdzie on widzi wzrost bezpieczeństwa? Liczba wypadków drogowych po pijaku wzrosła, liczba napadów wzrosła, liczba pobić wzrosła i za ten wzrost odpowiadają imigranci. Przed prezydenturą Dudy nie było w Polsce napadów z maczetą w dłoni, a czarni inżynierowie z Afryki nie robili kupy do sadzawki.

Strażnik konstytucji Duda nie stanął w obronie obywateli, którym pozamykano kościoły w czasie COVID, a przecież w konstytucji, której Duda miał strzec, zapisano swobody religijne.

Gdybym to ja pisał orędzie dla Dudy, wyglądałoby tak:

Rodacy!

W moim ostatnim Orędziu do Narodu nie będę się chwalił, będę przepraszał. Przepraszał za wszystko po kolei, co zrobiłem źle, oraz za wszystkie moje zaniechania, czyli za to, czego jako prezydent nie zrobiłem, a mogłem i powinienem był zrobić. Za rzeczy dobre niech mi dziękują inni, niech oni te rzeczy ocenią i docenią. Tymczasem ja dzisiaj przed moim Narodem składam rachunek sumienia i proszę o wybaczenie za…

***

Gdybym to ja pisał orędzie dla Karola Nawrockiego, wyglądałoby tak:

Rodacy!

W moim pierwszym Orędziu do Narodu nie będę obiecywał i kłamał, że zrobię coś, czego zrobić nie mam jak. O prezydencie RP mówi się, że jest „strażnikiem konstytucji". Ja nie będę strażnikiem konstytucji, bo Konstytucja RP nie daje prezydentowi absolutnie żadnych narzędzi do tego, by powstrzymać lub ukarać kogoś, kto konstytucję łamie. Jak więc mam strzec konstytucji, skoro nie mogę dać po łapach premierowi lub ministrowi, lub komukolwiek, kto konstytucję łamie?

Nie będę też „prezydentem wszystkich Polaków" – tak mówił każdy prezydent przede mną. I każdy z nich albo się mylił, albo kłamał, albo był naiwny. Zostałem wybrany większością głosów. Zostałem wybrany większością głosów, a to znaczy, że nie wszystkimi głosami. Czyli są w moim narodzie i w moim kraju ludzie, którzy nie chcą, abym był ich prezydentem. Głosowali inaczej, przegrali, niektórzy gardzą, inni nienawidzą. Nie należy się oszukiwać, że będę ich prezydentem. Nie będę, bo oni tego nie chcą. Chcą za to mojej porażki, mojej dymisji, niektórzy życzą mi śmierci. Nie da się być prezydentem wszystkich Polaków. Więc nie będę.

Składałem obietnice wyborcze i tego mam się trzymać nawet wbrew tej grupie Polaków, która mnie nie chce jako prezydenta i odrzuca mój program. Nie będę prezydentem tych ludzi, bo się nie da. I będę działał przeciwko nim, gdy zacznę realizować moje obietnice wyborcze. Odpowiadam przed tymi, którzy mnie wybrali, a nie przed tymi, którzy mnie odrzucili.

Jestem prezydentem RP, czy to się komuś podoba czy nie. I dlatego, że jestem prezydentem Rzeczypospolitej Polskiej – podkreślam: POLSKIEJ – nie będę się kłaniał państwu niemieckiemu (ani rosyjskiemu, ani ukraińskiemu, ani żadnemu innemu). Zacytuję „Rotę", naszą pieśń narodową: „Nie będzie Niemiec pluł nam w twarz, ni dzieci nam germanił".

Prezydent niewiele może zrobić w tej kwestii. To rząd rządzi, to premier i ministrowie zawierają umowy międzynarodowe, to oni sprzedają Polskę, zawierają niekorzystne umowy lub nie robią nic, gdy Niemcy przerzucają przez naszą granicę imigrantów. Prezydent niewiele może, ale może mówić, może też stanąć na granicy i osobiście blokować przejście graniczne, prezydent może prosić o pomoc swoich rodaków, prezydent może mówić, że sprawa reparacji wojennych NIE JEST ZAMKNIĘTA, NIGDY NIE ZOSTAŁA ZAMKNIĘTA. Prezydent może oficjalnie prezentować stanowisko odmienne od stanowiska premiera i jego ministrów.

Jestem prezydentem Polski i dlatego, że jestem prezydentem Polski, nie będę się kłaniał Unii Europejskiej. Jako prezydent nie będę odpowiadał przed Unią, a jedynie przed moim narodem i państwem. Nie będę przyjmował rozkazów ani dyrektyw, ani wskazówek, ani nawet delikatnych życzliwych sugestii ze strony Unii Europejskiej. Jestem WYŁĄCZNIE prezydentem Rzeczypospolitej Polskiej – nie będę odpowiadał przed nikim innym ani kłaniał się żadnemu innemu panu, państwu ani organizacji międzynarodowej. Tak mi dopomóż Bóg.

***

Prezydent Karol Nawrocki tego przemówienia nie wygłosił ani go nie widział na oczy. To nie są jego słowa. To tylko moje marzenia na temat prezydenta. ©℗

eprasa.pl d112db2444

Uwaga: nowe ceny na rok 2025

TYGODNIK LISICKIEGO DO RZECZY

ROCZNA PRENUMERATA

TYGODNIKA „DO RZECZY" I MIESIĘCZNIKA „HISTORIA DO RZECZY"

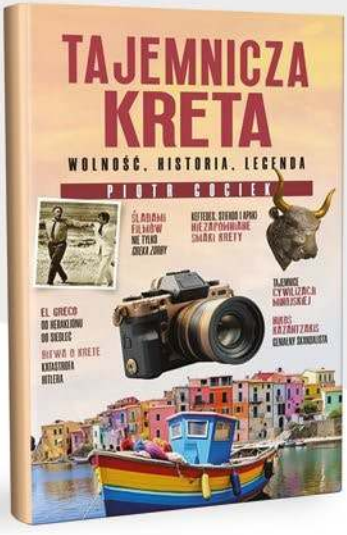

+

W PREZENCIE

KSIĄŻKA

PIOTR GOCIEK: „TAJEMNICZA KRETA" ORAZ DOSTĘP DO E-WYDANIA

~~1478~~ ZŁ

495,00 ZŁ

OSZCZĘDNOŚĆ 983 ZŁ

CO ZYSKUJESZ W PRENUMERACIE?

Niższą cenę od ceny w kiosku (nawet o 40%) | Nie przegapisz żadnego wydania | Atrakcyjne oferty z dodatkowymi produktami | Każde wydanie trafi do Ciebie pocztą bez dodatkowych opłat | W cenie dostęp do e-wydania, dzięki temu możesz czytać tygodnik już w niedzielę

JAK ZAMAWIAĆ PRENUMERATĘ:
WEJDŹ NA SUBSKRYPCJA.DORZECZY.PL, WYBIERZ I ZAMÓW W WYBRANEJ OFERCIE
WPŁATA NA KONTO: **UWAGA NOWY NUMER: 33 1600 1462 1816 5874 1000 0006**
W tytule przelewu prosimy o podanie danych adresowych oraz adresu e-mail
Do Rzeczy S.A., Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa

JEŻELI MASZ JUŻ PRENUMERATĘ:
Skorzystaj także z tej oferty, przedłużymy Ci obecnie trwającą prenumeratę, a prezent wyślemy kurierem.

ZOBACZ NASZE OFERTY: SUBSKRYPCJA.DORZECZY.PL

WIĘCEJ INFORMACJI E-MAIL: **prenumerata@pmpg.pl** TELEFON: **508 040 664, 539 953 631 (pon-pt od 10:00 do 16:00)** INTERNET: **subskrypcja.dorzeczy.pl**

eprasa.pl d112db2444

HISTORIA DO RZECZY

NAJNOWSZY NUMER JUŻ W SPRZEDAŻY!

RZYSZTOF WYRZYKOWSKI

POLACY I WĘGRZY NA WOJNIE Z BOLSZEWIĄ

Fundament wiktorii 1920 r. – Jak biedna, dopiero co odrodzona Polska wyposażyła milionową armię i jaką rolę odegrała w tym pomoc z Węgier

Czerwony sztandar nad Budapesztem – Przez kilka krwawych miesięcy 1919 r. Węgrzy na własnej skórze przekonali się, jak wyglądają bolszewickie „porządki"

Czarna noc papiestwa – Wydawać by się mogło, że pod względem etycznym i moralnym Stolica Piotrowa najniżej upadła w epoce renesansu. Nic bardziej mylnego – w wiekach IX i X papieże bywali zepsuci w sposób wręcz karykaturalny

Ratunek przed rozbiorami – Aż do samego końca istnienia I Rzeczypospolitej dało się odwrócić upadek i uratować państwo – mówi w wywiadzie Jacek Komuda, historyk i pisarz, autor głośnej książki „Upadek"

Zaginiony świat Edo – Na przełomie wieków XVII i XVIII najludniejsze miasto ówczesnego świata wcale nie znajdowało się w obrębie cywilizacji zachodniej. Tym megalopolis było japońskie Edo, siedziba szogunów z rodu Tokugawa

I WIELE, WIELE WIĘCEJ

CZYTAJ TAKŻE NA **HISTORIA.DORZECZY.PL**

eprasa.pl d112db2444